KSAWERY MONTEPIN.

MARTA.

ROMANS.



GRÓDEK JAGIELLOŃSKI.
NAKŁADEM I DRUKIEM J. CZAIŃSKIEGO W GRÓDKU JAGIELL.
Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.
1908.


BIBLIOTHECA
UNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS

I

Styczeń miał się już ku schyłkowi.

W ciągu czasu krótkiego, stało się rzeczy wiele.

Robert Verniere, otrzymawszy pieniądze od żony, mógł był zaliczyć znaczną sumę przedsiębiorcom, i roboty około odbudowy fabryki postępowały ze zdumiewającą szybkością.

Robert Verniere obrany został na głównego opiekuna, a Daniel Savanne na opiekuna przydanego Aliny Verniere przez radę familijną, w celu uregulowania interesów i zawarcia aktu spółki, zapewniającego młodej dziewczynie trzecią część zysków z przedsiębiorstwa.

Ze wszystkiemi firmami, z któremi Ryszarda łączyły interesy, Robert osobiście zawiązał stosunki. Wszędzie przyjęty został uprzejmie i otrzymał zapewnienie, że stosunki z fabryką odbudowaną trwać będą na dawnych warunkach.

Aurelia po powrocie z Alzacji i Lotaryngii okazała wielkie zadowolenie ze wszystkiego, co uczynił jej mąż. Dom w Neuilly spodobał się jej bardzo i kontrakt kupna został natychmiast podpisany

Nową siedzibę niezwłocznie objęto w posiadanie i

Pierwsza część tego opowiadania zatytułowana jest „Bratobójca".

Alina Verniere podążyła tam za stryjanką, dla której czuła wielką życzliwość i wdzięczność nieskończoną.

Jednakże nie bez żalu rozstała się z rodziną Daniela Savanne, wśród której żyła tak długo szczęśliwie obok Henryka i Matyldy. Ażeby jednak to rozłączenie wydało się jej mniej przykrem, sędzia pozwolił swej córce, ażeby jej towarzyszyła i przepędziła wraz z nią w Neuilly dwa pierwsze miesiące po przenosinach. Henryk zaś co niedzielę poświęcać im miał cały dzień. W lecie natomiast Aurelia i Alina znów miały spędzić dwa miesiące w parku Saint-Maur, gdzie sędzia śledczy posiadał ładną willę.

Filip de Nayle czuł się wielce uszczęśliwionym. Za to Henryk Savanne nie był temu rad. Przyzwyczaić się nie mógł do tego, aby Alina nie mieszkała już na bulwarze Malesherbes. Chociaż wiedział, że ta opieka stryjostwa połączona jest z polepszeniem bytu materjalnego Aliny, nie mógł jednak powstrzymać się od tej uwagi, napojonej goryczą:

— Wolałbym tysiąc razy, aby do tego nie było doszło! Co mnie obchodzi ten majątek. Ja będę dość bogatym dla dwojga!

Kataryniarz Magloire odbywał swe wędrówki codzień w towarzystwie Marty, a pończocha, to jest skarb sieroty, coraz bardziej grubiał.

Marta nie zapomniała o babce. Dwa razy ze swym opiekunem obecnym chodziła do szpitala św Ludwika. Doktor Sermet pocieszył ich zapewnieniami, ale niepozwolił się im zobaczyć z chorą. Trzeba jej było oszczędzić wszelkiego wzruszenia, trzeba więc było czekać.

Doktor dotąd sprzeciwiał się badaniu Weroniki Sollier przez Daniela Savanne. Najmniejsze znużenie, najdrobniejsze obciążenie umysłu, sprowadzić mogły zawikłania, których należało za jakąbądź cenę unikać.

Weronika odzyskała mowę. Znajdowała się w pełni kuracji, blizka wyzdrowienia. Z chwilą, gdy myśl zbudziła się w biednej głowie zbolałej, gdy usta mogły były wydać dźwięk, chciała mówić, wypytywać i wyjąkała w sposób, zaledwie zrozumiały:

— Pan Verniere?., moja mała Marta?..

Na te pytania odpowiadał doktor Sermet:

— Wszak pani chcesz żyć dla tych, których kochasz?.. A więc zabraniam pani najzupełniej myślenia i męczenia mózgu... Dowiedz się pani tylko, że pan Verniere jest ranny, ale może się wyleczyć, i że Marta znajduje się pod opieką Magloira, kataryniarza, i wkrótce, jeżeli ulegać będziesz moim poleceniom, oboje będą mogli cię widywać. Zabraniam pani rozmyślać, zabraniam mówić... Wyzdrowienie szybkie może nastąpić tylko w takim razie...

Weronice oczywiście pilno było wyzdrowieć. Nie rozmyślała wcale i zachowywała najzupełniejsze milczenie.

Polepszenie uwidoczniało się szybko. Doktor, sądząc, że jest dość silna do zniesienia ciosu, oznajmił jej z największą ostrożnością o śmierci Ryszarda Verniere i najzupełniejszem zniszczeniu fabryki.

Spodziewała się tego, i jakkolwiek wrażenie to było bolesne, nie sprowadziło następstw szkodliwych.

Doktor Sermet zwlekał jeszcze z zawiadomieniem jej

o strasznem kalectwie, które miało być następstwem rany. Co za uderzenie piorunu będzie dla niej w dniu, kiedy zdejmą bandaże, a oczy odsłonięte zobaczą tylko ciemności?.. Chirurg lękał się tej chwili.

* *
*

W ambasadzie przy ulicy Lille położenie barona Wilhelma Schwartza nie było do pozazdroszczenia.

Od czasu pożaru fabryki w Saint-Ouen, od dnia kiedy w powozie swym obecny był na pogrzebie Ryszarda Verniere, otrzymał z głównego sztabu niemieckiego depesze mniej niż pochlebne, w których wymawiano mu brak doświadczenia, niezręczność w kierowaniu podwładnymi oraz powierzonymi mu interesami.

Depesze te dotyczyły głównie sprawy Roberta Verniere, co do którego w Berlinie miano lepsze wiadomości, gdy baron Schwartz nie był w stanie nic donieść o jego postępkach.

Wiedziano już, że pani Verniere sprzedała wszystkie swe posiadłości w Alzacji i Lotaryngii i w Niemczech, ażeby dostarczyć mężowi funduszów do odbudowania fabryki w Saint-Ouen, na której czele miał stanąć. Wiedziano, że ministerjum wojny i marynarki w dalszym ciągu zawarły, z Robertem kontrakty, dotyczące robót, rozpoczętych przez brata jego Ryszarda, i że nadto Robert miał przedstawić do parlamentu armaty nowego systemu dla artylerji polowej, dla okrętów i bateryj nadbrzeżnych. To miało szczególną doniosłość.

Człowiek ten, który żył wśród warsztatów w Niemczech, czy nie zechce oddać Francji do użytku te wszystkie wiadomości i pomysły wynalazcze, w które się dzięki

swym zdolnościom wtajemniczył, podczas pobytu w Berlinie oraz innych miastach niemieckich?

Pani Verniere, dawna pani de Nayle, dziecko zabranej prowincji, nienawidziła Prus. Więc ona miałaby może dość władzy nad mężem, ażeby go przejąć swą nienawiścią? Ojciec Aurelii, rozstrzelany został w Savernie wbrew prawom ludzkim i ludzkości; jeżeli teraz dawała Robertowi pieniądze bez rachunku, czy nie dlatego to czyniła, ażeby go uczynić niebezpiecznym wrogiem dla narodu, który go dawniej miał na swym żołdzie?

Temu należało wszelkiemi sposoby zapobiedz. Trzeba było spróbować, czy ta istota sprzedajna nie da się raz jeszcze przekupić, ażeby i we Francji, gdzie osiądzie i grać będzie rolę wybitną, stał się tem, czem był w Berlinie, człowiekiem oddanym Prusom.

— Syn Aurelii, w sztabie głównym niemieckim wiedziano o wszystkiem był uczniem wybitnym szkoły sztuk i rzemiosł, dawał już dowody wysokiej inteligencji i zdolności niepospolitej. Matka wychowała go niezawodnie w nienawiści przeciwko niemcom. Ponieważ jednak był młodym, miał namiętności i pragnienia młodości, a może upodobanie do wydatków i zbytku. Złotem kupuje się wszystko! Trzeba było kupić Filipa de Nayle jak Roberta Verniere.

W Berlinie oczekiwano już oddawna żądanych dokumentów w przedmiocie uruchomienia armii francuskiej na granicy wschodniej. Z niemniejszą niecierpliwością oczekiwano modelu nowych armat. Nic nie nadchodziło. Agenci tajni Niemiec, jakkolwiek płatni sowi-

cie, pogrążali się w kompromitującej bezczynności. O'Brien, magnetyzer, używał życia, nie biorąc do serca interesów tych, którzy czynili mu byt łatwym i bardzo dostatnim. Wszystko to wyrzucano z goryczą baronowi Schwartz. Wreszcie w ostatniej depeszy cyfrowanej oświadczono mu katygorycznie:

„Niemcy są oszukiwane, płacąc drogo ludziom, którzy im nie służą, albo służą źle. Zmień pan swoich podwładnych. Stań się znów człowiekiem pomysłowym i energicznym, jakim byłeś dawniej, w przeciwnym razie będziesz w niedługim czasie pozbawiony swego stanowiska. Już wskazywany jest pański następca.“

Po otrzymaniu tej depeszy baron Schwartz przestraszył się wielce i zasmucił. Stanowisko, jakie zajmował w Paryżu, było bardzo przyjemne i jednocześnie bardzo korzystne, pozwalało mu prowadzić życie na szeroką skalę, czego nie mógłby przy bardzo małem majątku osobistym. Gdyby stracił posadę, którą uzyskał dzięki wysokim protekcjom, przyszłość dlań przedstawiała się przerażająco. Ażeby uniknąć tak fatalnego upadku, trzeba było, dopóki czas jeszcze, zaspokoić wymagania głównego sztabu.

Baron Schwartz postanowił więc przedewszystkiem, zgodnie z radą otrzymanej depeszy, zająć się zmianą lub rozruszaniem swoich podwładnych.

W tym celu zamierzył przedewszystkiem zająć się doktorem O'Brienem.

Amerykanin prowadził życie bez żadnego hamulca. Wydawał bez rachunku, wyrzucając literalnie pieniądze za okno, dla opłacania swej rozpusty. Zapomoga od

Niemiec nie wystarczała mu wcale. Nie był też dlań dostatecznym dochód z posiedzeń magnetycznych i z porad, których powodzenie nie zmniejszało się przecież.

Z dniem każdym pogrążał się coraz bardziej w otchłań długów, i zbliżała się godzina, kiedy O'Brien niechybnie zniknąć będzie musiał w tej przepaści; potrzeba było dlań wymyślić jaki nowy pomysł, sto razy zwiększający dochody, potrzeba było znaleźć medium, które prawdziwie zdolne byłoby zastąpić tę młodą amerykankę, której O'Brien zawdzięczał początek swych dochodów i sławy.

Piękna włoszka Mariani, która pomagała mu obecnie, chociaż inteligentna i uległa, była niewystarczająca. Zresztą młoda, piękna i powabna, wiedziała o potędze swoich wdzięków, nie myślała o tem, ażeby całe życie przepędzić w towarzystwie szarlatana, którego przyjęła za kochanka w przystępie rozpaczy, lecz którego teraz nienawidziła serdecznie. Przytem czuła zbliżającą się ruinę i nędzę. Postanowiła opuścić doktora i wręcz mu to oświadczyła.

Pomimo rozpusty, jakiej się oddawał, O'Brien bardzo był przywiązany do pięknej włoszki. Ażeby ją przy sobie zatrzymać, czego potrzebował? Pieniędzy i to bardzo wiele pieniędzy. Zkąd jednak ich wziąć.

Zasiłki, które dostawał od Niemiec, lubo były pokaźne, wydawały mu się drobnemi, nieodpowiadającemi jego potrzebom, i nadto doznawał głębokiego upokorzenia, znajdując się w zależności od barona Schwartza, który się z nim obchodził, jak z podwładnym byle jakim, życzył więc sobie zrzucić to jarzmo, przedtem

jednak musiał wynaleźć sobie źródło dochodów, któreby się równały tej pensji, jakiejby się zrzekł. Zbrodnia, jaką popełnił niegdyś, uległa teraz przedawnieniu. Z tej strony nie potrzebował więc niczego się obawiać.

Nadto sprawy kręte, do których był wmieszany, i tajemnice, które przejął, odkąd był szpiegiem, płatnym przez Prusy, dawały mu siłę, której chciał używać jeszcze, a nawet nadużywać, po zerwaniu swych więzów.

O'Brien przewidywał sposób, jeżeli nie zbogacenia się, to przynajmniej dostarczenia sobie dowodów potrzebnych, do życia wygodnego i niezależnego; zamierzał jeździć zagranicę, jak to uczynił przedtem słynny Donato, zręczny szarlatan, który dał się poznać paryżanom posiedzeniami z sonambulizmem, magnetyzmem, hypnotyzmem, suggestją, i dzięki zjednanej reklamie, cieszył się potem ogromnem powodzeniem w całej Europie.

Ażeby przedsięwziąć ten plan, O'Brien potrzebował mieć wszelką swobodę działania, którą paraliżowała obecnie zależność jego od Niemiec. Zapewne łatwo było odzyskać zależność, pokłóciwszy się z baronem Schwartzem, doktor jednak, lękając się możliwych następstw tego zerwania, wahał się do niego przystąpić.

A właśnie baron Wilhelm Schwartz sam przyśpieszył ten zatarg. Wezwał O'Briena do pałacyku przy ulicy Verneuil, przyjął go z nachmurzoną twarzą i rzekł doń brutalnie:

— Jestem bardzo niezadowolony z twych usług, panie doktorze.

— Doprawdy! wyrzekł O'Brien z najzimniejszą krwią,

cóż pan masz mi do zarzucenia?

— Pan widocznie nie przywiązujesz żadnej wagi do rozkazów, jakie otrzymujesz, a poszukiwania, jakie panu są powierzane, nie dają żadnego rezultatu.

— To znaczy, panie baronie, że z pańskiego punktu widzenia, powodzenie jest obowiązkowe?..

— A przynajmniej, że niedopuszczalne jest ciągłe niepowodzenie, to nawet świadczyć może o nieudolności... Słowem, że nie zarabiasz pan tych pieniędzy, które pobierasz od nas.

— Panie baronie, odparł amerykanin, we Francji jak i w Niemczech, kiedy usługi podwładnego nie podobają się, to go oddalają, dając mu pewne wynagrodzenie za niewymówienie w porę. Co panu w tem przeszkadza?

— Zdaje mi się, panie doktorze, że patrzysz się na położenie filozoficznie, zawołał Wilhelm Schwartz, żdziwiony wielce, gdyż spodziewał się usprawiedliwień i błagań.

— Filozofia moja jest rzeczywiście wielką. Ponieważ mnie pan nie cenisz, chcę się sam usunąć... i uczynię to bez żalu.

— Zapominasz pan widocznie, żeś zaciągnął względem Niemiec dług wdzięczności.

— Tego zaprzeczam. Służyłem Niemcom wiernie, one mnie płaciły regularnie. Ani Niemcy nie są mi nic winne, ani ja Niemcom, jesteśmy skwitowani.

— Moglibyśmy byli pana zgubić, a tego nie uczyniliśmy...

— Bo mieliście w tem swój interes. Chcąc mieć ze

mnie użytek, gdy wam się to podobało, teraz zmieniliście swe chęci, to zawsze powód, ja się usuwam, nie żądając nawet tłomaczeń.

— Masz pan w swojem ręku dokumenty, które winny być zwrócone.

— Rzeczywiście, mam interesujące dokumenty, i gdyby mi przyszła myśl nadużycia ich, oświeciłyby one rząd francuski, jakich knowań używa we Francji szpiegostwo niemieckie. Odniosę je panu jutro.

— Liczę na to i tytułem gratyfikacji, za usługi dawniejsze, wypłacę panu dziesięć tysięcy franków.

— To ma być zapłata za wcześniejsze oddalenie? wyrzekł O'Brien szyderczo. Zatem jutro o godzinie jedenastej tutaj.

Magnetyzer, gdy po chwili przechodził przez podwórze pałacyku przy ulicy Verneuil, szeptał do siebie:

— Naiwny ten baron! dokumenty te, za które teraz zapłacić ma dziesięć tysięcy franków, odfotografowałem i w razie sposobności nieomieszkam z nich skorzystać.

Nazajutrz o umówionej godzinie O'Brien zwrócił baronowi Wilhelmowi Schwartzowi wszystkie dokumenty, bez jego wiedzy zostawiwszy u siebie ich podobizny fotograficzne, i otrzymał dziesięć tysięcy franków gratyfikacji, przyczem przedstawiciel Niemiec dodał te słowa w rodzaju przestrogi:

— W interesie pańskim, doktorze, radzę ci roztropność. Nigdy z oczu nie tracimy ludzi, którzy do nas należeli. I pan będziesz pod dozorem.

. . . .

W dwa dni później dzienniki najpoczytniejsze za-

wierały wiadomość sensacyjną, głoszącą z zachwytem o gabinecie porad i posiedzeń z suggestją i hypnotyzmem wielkiego magnetyzera O'Briena, oświetlającego przyszłość, czytającego w przeszłości i stosującego wiedzę swą do leczenia pewnego i prawie cudownego chorób nerwowych i umysłowych.

O'Brien w ten sposób przygotowywał swe podróże zagranicę.

Gabinet porad przy ulicy Zwycięztwa, chwilowo zaniedbany, stał się znów modnym i odzyskał klientelę tak liczną, jak dawniej.

W przystępie radości, że się uwolnił od upokarzającej zależności względem barona Schwartza, O'Brien nie pomyślał o wszystkiem. Nieoględnie zatrzymał przy sobie, jako lokaja, pełniącego obowiązki szwajcara podczas wielkich posiedzeń, niemca, pewnego pomerańczyka, któremu ufał najzupełniej.

Takie było w ciągu miesiąca stycznia położenie naszych głównych osób.

* * *

Weronika Sollier zaczynała przychodzić do zdrowia. Zabliźniły się już rany, zadane kulą rewolwerową Klaudjusza Grivot, jak również spowodowane operacją doktora Sermet. Bandaże zostały zdjęte. Teraz chirurg oczekiwał z prawdziwym niepokojem chwili, kiedy biedna kobieta spostrzeże swą ślepotę.

Weronika, zaledwie uwolniona została od aparatu, który więził jej twarz, podniosła powieki, jeszcze zbolałe, i ruchem machinalnym powiodła dokoła siebie spojrzenie bezwładne. Ujrzała się otoczona ciemnością nie-

przeniknioną, bardziej nawet, niż noc najczarniejsza. Nie pojmując jeszcze swego nieszczęścia, sądziła że ostatni jeszcze bandaż zasłania jej oczy.

— Zdejmcie mi ten bandaż, proszę, wyrzekła, chciałabym już wydostać się z ciemności.

Nikt nie odpowiedział.

Ręce podniosła ku twarzy i palce, rozpalone gorączką, dotknęły oczu.

Ciemność panowała ciągle.

— Czy to noc? zapytała.

To samo milczenie.

— Ależ ja nic nie widzę! nic! zawołała.

Doktor ujął ją za ręce.

— Odwagi! biedna kobieto! wyszeptał głosem wzruszonym, odwagi!.. Potrzeba ci jej bardzo.

Te słowa, a raczej sposób, w jaki były wyrzeczone, rozświetliły nagle umysł Weroniki. Zrozumiała. Jęk głuchy wydarł się z jej piersi, poczem wyjąkała z rozpaczą:

— Ślepa! jestem ślepa!.. O mój Boże!

Ażeby ją trocha pocieszyć, doktor Sermet rzekł:

— Jakkolwiek jest wielkie to nieszczęście, powinnaś się pani uważać za szczęśliwą!

— Szczęśliwą!.. powtórzyła.

— Tak, ponieważ życie pani uratowane, wbrew wszelkim przewidywaniom. Kiedy panią przyniesiono tutaj, uważałem stan pani, jako zupełnie rozpaczliwy! Wszystko, co tylko mogłem, uczyniłem, i powiodło mi się Szczycę się tem, gdyż zadanie było bardzo trudne. Nie będziesz już widziała swej wnuczki ukochanej, to prawda, i pojmuję gorycz tego żalu, ale słyszeć będziesz jej głos, a

gdy okryje cię pocałunkami, serce twoje zabije, zapomnisz, że jej nie widzisz, i będziesz szczęśliwa z tego, że żyjesz...

— To rozumiem, panie doktorze, i masz słuszność, odpowiedziała Weronika głosem drżącym. Ale myśl, żem widziała dobrze twarz mordercy pana Verniere i mego, i że przejdę nieraz obok niego, a nie będę mogła zawołać: To on! ponieważ go nie zobaczę, ponieważ jestem ślepą! ta myśl przywodzi mię do rozpaczy.

— Uspokój się, pani Sollier!.. rzekł żywo chirurg. Bóg jest sprawiedliwy! Nie zechce, ażeby podły morderca pozostał nieukaranym! Pozwoli może, że nie widząc nawet, będziesz go mogła wydać sprawiedliwości. Miej ufność w Bogu. Teraz moje zadanie jest przy pani skończone. Za trzy dni wypiszę panią ze szpitala.

— Wprzód jednak pozwoli mi pan przyjąć tutaj Martę i Magloira, który się nią zaopiekował, abym mogła ucałować przynajmniej ich oboje, ponieważ, niestety, nie mogę ich widzieć!

— Natychmiast go zawiadomię, rzekł doktor.

Ręce drżące niewidomej poruszyły się w powietrzu, szukając rąk doktora. On je podał.

Weronika poniosła je do ust, płacząc.

— Dziękuję ci, panie doktorze, wyjąkała, dziękuję, żeś mi uratował życie, ponieważ tobie to zawdzięczam, że będę mogła uścisnąć swą Martę!

Doktor opuścił szpital ze wzruszeniem, jakiego oddawna nie doświadczył.

II.

Weronice pilno było oczywiście ucałować dziecko Germany i wypytać Magloira, niemniej jednak pilno jej było dowiedzieć się, czy Marta, pamiętając o jej zaleceniach, oddała mańkutowi kłębek bawełny, w którym znajdował się kwit Ryszarda Verniere.

Wprawdzie Ryszard Verniere umarł, lecz pozostawił córkę, jedyną spadkobierczynię, której przypadał cały majątek po nim, i która na widok podpisu ojca zwróciłaby niezawodnie depozyt, który mu został powierzony. Biedna ociemniała nie mogła przewidzieć, jaki cios ma jej zgotować wiadomość o unicestwieniu majątku Marty.

Magloirowi po powrocie z codziennej wędrówki, odźwierna oddała depeszę, przysłaną przez chirurga ze szpitala św. Ludwika. Przeczytawszy telegram, poczciwy mańkut ucieszył się wielce. Nareszcie więc zobaczy biedną Weronikę, już wyleczoną, zaprowadzi do niej wnuczkę, będzie mógł wypytać ją w przedmiocie klejnociku, znalezionego w jej zaciśniętej ręce w chwili zbrodni. Niestety! będzie musiał zarazem oznajmić jej, że trzykroć sto tysięcy franków, złożone u pana Verniere przez ojca Marty, nie istnieją już wcale!

Nocy tej Magloire zaledwie mógł zamknąć oczy, zajęty jutrzejszemi odwiedzinami w szpitalu. Skoro się tylko ubrał, wyjął ze szkatułki kwit Ryszarda Verniere i brelok, noszący na kamieniu wyrytą cyfrę: H. N., wsunął je do kieszeni kamizelki i udał się do pani Aubin, ażeby zabrać Martę, a po śniadaniu, mańkut wraz

z nią podążył do Paryża.

Weronika oczekiwała ich ze wzrastającą niecierpliwością. Nagle drgnęła całem ciałem. Drzwi skrzypnęły i usłyszała, jak dozorczyni wyrzekła:

— To tutaj, panie i panienko... Proszę wejść.

— Marta!.. Magloire! zawołała Weronika.

— Babciu! babciu! zawołała dziewczynka, rzucając się w ramiona niewidomej, która drżącemi rękami szukała jej twarzy i pokryła pocałunkami i łzami.

Magloire, stojąc przed łóżkiem, patrzył na twarz Weroniki, poznaczoną bliznami, zaledwie dającą się poznać.

— Ociemniała!.. Ociemniała!.. wyszeptał głucho, widząc, jak szuka twarzy dziecka.

Marta zawiesiła się na szyi Weroniki; całowała ją, ściskała, płakała zarazem z żalu i radości.

— O! popatrz na mnie, popatrz, babuniu, wyjąkała, niech widzę, że na mnie patrzą twoje oczy...

— Ja nie mogę już patrzeć, ja nie mogę cię widzieć, moje dziecko, wyrzekła Weronika głosem złamanym.

— Nie możesz, babciu!.. a to dlaczego? Powiedz mi, rzekło dziecko.

— Jestem ślepą.

— Ślepą! powtórzyła Marta z rozpaczą. Potem rzuciwszy się ku mańkutowi, który stał bardzo blady, jakby skamieniały, zawołała: Magloire!.. Magloire!.. Czy słyszysz?.. Rozumiesz?.. Babcia jest ślepą!..

— Ach, cóż ja uczynię? narzekała Weronika. Nie mam nawet nikogo, ktoby mnie mógł prowadzić.

— O! babciu, babciu! przerwała Marta, nie mów tego. Czyż ja przy tobie nie jestem i czyż nie będę

zawsze ażeby cię pielęgnować...

— Pieszczoszko droga, cóż ty poradzisz, ty, taka młoda, przy chorej, niedołężnej, przy ślepej?

— Ja wszystko będę mogła uczynić, babciu... Biedne oczy twoje nie widzą, lecz moje będą widziały.

I wargami drżącemi całowało dziecko powieki Weroniki, która ze wzruszenia drżała całem ciałem.

Magloire wzmieszał się.

— Możesz, pani Sollier, liczyć na dziecko, wyrzekł. Od czasu strasznego nieszczęścia, które cię uderzyło, poznała przy mnie wiele rzeczy, dużą jest jak na swój wiek, możnaby jej dać lat dwanaście, przytem bardzo silna, zdrowa, odważna... Ona ci pani zapewni byt, ona nie dopuści biedy, a nawet niedostatku. Ona będzie jednocześnie pracować dla pani i dla siebie, i ręczę, że praca nie przestraszy jej wcale...

— Praca? powtórzyła Weronika niespokojnie. Ale czyż ona będzie potrzebowała pracować?... Wiesz dobrze, że Marta będzie bogatą. Przedewszystkiem jednak odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy Marta po śmierci pana Verniere, oddała ci kłębek, którego znała zawartość?

— Tak, oddała mi.

— Wiesz zatem, co on w sobie ukrywał?

— Tak... i właśnie o tem chcę mówić... i dlatego zalecam pani spokój i odwagę. Wie pani już o tem, że pan Verniere umarł, zapytał mańkut. Ale czy pani wiadomo, że zabudowania fabryczne, oprócz pawilonu, w którym pani mieszkała, stały się pastwą płomieni?

— Wszystkie budynki zniszczone? spytała Weronika

niespokojnie. A mieszkanie prywatne pana Verniere?

— Spaliło się jak i reszta!... Mordercy, którzy byli jednocześnie złodziejami, wzniecili pożar w nadziei usunięcia śladów swej zbrodni, pomimo jednak przedsięwzięcia tych środków, pobudka tej zbrodni jasna jest jak słońce. Wyłamano kasę ogniotrwałą pryncypała, zawierającą cały jego majątek, i ten majątek skradziono! skutkiem zbiegu przypadkowych okoliczności, fabryka nie była ubezpieczoną, i pożar, jaki nastąpił po kradzieży, uzupełnił ruinę pana Verniere i jednocześnie jego córki... Place, na których fabryka była zbudowana, i kilka tysięcy franków, złożonych w banku, oto wszystko, co pozostaje temu biednemu dziecku, przyzwyczajonemu do życia dostatniego i do liczenia na jak najbogatszą przyszłość. Co czynić wobec tak strasznej katastrofy? U kogo się upomnieć o depozyt, pozostawiony przez ojca Marty panu Verniere? Zbrodnia, która zrujnowała pannę Alinę Verniere, zrujnowała Martę jednocześnie. Ażeby więc mieć spokojną starość, winnaś pani liczyć tylko na swą drogą Martę. a także na mnie.

Weronika, zgnębiona, oddychając z trudnością, wysłuchała z osłupieniem kataryniarza. Kiedy skończył, wyszeptała zwolna, głosem, ledwie wyraźnym:

— Zrujnowane!... Marta jak i córka pryncypała! Jeżeli majątek Marty jest stracony, mnie przynajmniej może się udać wykryć nędzników, którzy ugodzili pana Ryszarda Verniere i mnie, i doprowadzili do nędzy te dzieci.

— Jakże pani będziesz mogła to uczynić zapytał

żywo Magloire.

— Niestety! zawołała, nie potrafię! Zapomniałam, że jestem ślepą!...

— Widziałaś pani jednego z morderców?

— Tak.

— W jakich okolicznościach?

— Nie spałam... przestraszona zostałam nagle wystrzałem, krzykiem, blaskiem pożaru... Wybiegłam szybko z mieszkania. Jakiś człowiek z miną przerażoną wychodził z sieni, prowadzącej do gabinetu pana Verniere. Rzuciłam się na tego człowieka, ażeby mu nie pozwolić uciec, i zawołałam o ratunek... On chciał się wyrwać... Ubranie jego, którego się uczepiłam, trzeszczało, lecz chociaż był silniejszy odemnie, nie puszczałam go. Latarnia gazowa oświetlała dziedziniec, więc widziałam i poznałam go. Przed trzema dniami przyszedł dwa razy do fabryki. Zaprowadziłam go do pana Verniere, a ten po jego odejściu zabronił mi raz na zawsze go wpuszczać, gdyby zgłosił się doń pod jakimbądź pozorem...

— Czy człowiek ten wymienił pani swe nazwisko?

— Nazywał się, jak mi powiedział, Fryc Leyman.

— Gdy pani walczyłaś ze zbrodniarzem, gdy czepiałaś się jego ubrania, czyś pani nie uczuła w rękach przedmiotu metalicznego? pytał Magloire.

— Tak, tak, wyrzekła Weronika po namyśle, przypominam sobie. Ten człowiek wydzierał się, była chwila, kiedy miał się już mnie wyrwać. Wtedy ręce moje zaczepiły łańcuszek od zegarka przy kamizelce, i wtedy dał się słyszeć huk... uczułam uderzenie w głowę, po-

tem ból przejmujący... Straciłam przytomność... i odzyskałam ją dopiero na tem łóżku w szpitalu.

— To nie wiesz pani, czy w chwili, gdy padłaś ugodzona kulą, pozostał w twem ręku jaki przedmiot, oderwany od tego łańcuszka?

— Nie wiem.. nie pamiętam.

— Otóż ja powiem pani, że, gdym panią podniósł bezwładną, znalazłem w zesztywniałaj ręce pani, klejnocik, brelok, niezawodnie oderwany od łańcuszka, któregoś się chwyciła dla zatrzymania mordercy.

— Brelok, powtórzyła Weronika, wysłuchawszy kataryniarza z uwagą.

— Tak, z pieczątką, prawdziwy majstersztyk, wielkiej wartości, wyobrażający lwa leżącego, prześlicznie cyzelowanego, trzymającego w szponach szmaragd, z wyrytemi na nim dwiema literami H. i N.

— H. i N. zawołała niewidoma, ależ to może być wskazówką.

— Zapewne! bardzo ważną, bo może bardzo dopomódz do okrycia winowajców...

— Czyś oddał tę pieczątkę sędziemu?

— Nie. Chciałem wprzód poznać pani wolę bo mnie się zdaje, że w tajemnicy, otaczającej zbrodnię, istnieje jakiś związek z majątkiem Marty, z jej ojcem... Powiedziałem więc sobie, że nie powinienem nic przedsięwziąć, przed poradzeniem się pani...

— Dobrześ uczynił, Magloire... masz ten brelok?

— Tu, przy sobie. Razem z kwitem pana Verniere.

— To dobrze. Oddasz mi je zaraz. Teraz pojmuję i wierzę, iż życie me nie będzie zupełnie bezużytecznem.

Muszę pomścić Ryszarda Verniere i Martę... muszę się zemścić sama za to, com się nacierpiała, muszę więc żyć! Potem zapytała: Czy nie masz co nowego do powiedzenia? Co się dzieje w fabryce?

— O! tam są nowości. Fabryka będzie odbudowana przez brata pana Verniere.

— Więc pryncypał miał brata?

— Tak, inżyniera mechanika, tak samo jak on. Człowieka bardzo zdolnego, i ten poprowadzi interesa.

— Więc ten brat jest bogaty?

— Czy bogaty, nie wiem, ale wiem, że nie szczędzi niczego, ażeby nowa fabryka była jeszcze większą od poprzedniej. Warsztaty rozszerzają znacznie, pan Robert Verniere jak mówią, po za sobą ma poważnych wspólników, przedewszystkiem żonę, która, o ile wierzyć pogłoskom, kładzie do przedsiębiorstwa bardzo znaczny kapitał... Pasierb jego, bogaty po swym ojcu, będzie również, jak się zdaje, wspólnikiem, jak również i panna Alina Verniere, która daje place... Takie obiegają wieści, ale faktem jest, że pan Prieur, dawny kasjer, ma nadal swą posadę i wypłaca wszystkim gotówką, którzy się zgłaszają z jakiemi bądź zobowiązaniami nieboszczyka Ryszarda Verniere.

— A! wyrzekła Weronika żywo, więc chcą uszanować jego podpis.

— Tak, w interesach, dotyczących przedsiębiorstwa.

Niewidoma przez kilka chwil zatopiona była w głębokiej zadumie. Potem zaś podchwyciła nagle:

— Jutro doktor, który mnie leczył, ma podpisać dla mnie kartę wyjścia ze szpitala. Pojmujesz, Magloire, że

nie mogę powrócić do fabryki, której nowy właściciel nie zna mnie wcale, i gdzie zresztą, niestety nie jestem zdolna do żadnych usług.

— Rozumiem to; ale rozumiem również, że ci, którzy mają zastąpić pana Verniere, dla którego pani była tak przywiązaną, za którego otrzymałaś straszną ranę, która cię czyni niewidomą, mają wielki obowiązek zapewnić pani przyszłość.

— Nie, odparła Weronika, właściciel teraźniejszy nic mi nie jest winien i nic od niego nie przyjmę. A meble moje, których pożar nie tknął, czy istnieją jeszcze?

— Nie troszcz się pani o nie. Przeniosłem wszystko do małego mieszkanka, które poczciwa pani Aubin oddała do mego rozporządzenia za bardzo małą cenę. Tam sypia Marta. Tam i panią zaprowadzę, gdy przyjdziemy jutro po panią tutaj. Co się tyczy potrzeb materjalnych życia, to bądź pani o to spokojną. Od miesiąca Marta i ja niezłe zarabiamy pieniądze. Ona mi przynosi szczęście. Dają mi podwójnie. Zatem słuszność każe, ażeby była moją wspólniczką. Już wcale niezłą sumkę pani zastanie, a jeszcze będziemy ją powiększali. Nie zapominaj też pani Sollier nigdy, że masz we mnie więcej niż przyjaciela, że masz we mnie syna, gotowego do podziału swych uczuć na dwie równe części, dla swej prawdziwej matki i dla pani.

— Nie potrzebujesz mnie o tem zapewniać, mój dzielny Magloire! wyrzekła niewidoma, ściskając w dłoniach jedyną rękę kataryniarza. Wszystko coś uczynił dotąd, więcej świadczy, aniżeli wszelkie słowa!

— Nie mówmy już o tem! Czy pani jesteś pewna,

że doktor popisze już jutro kartę wyjścia?

— Niezawodnie. Sam mi o tem mówił.

— Jutro zatem będziemy tutaj w południe ażeby panią zabrać.

— Czekają na moje wyzdrowienie, ażeby mnie wybadać. Więc gdyby sędzia wezwał mnie do siebie na jutro?

— To będziemy pani towarzyszyli do sądu. A teraz, pani Sollier, musimy cię opuścić, mówiąc: Do jutra!

— Tak, do jutra, powtórzyła ociemniała. Ale słówko jeszcze. Powiedziałeś mi, żeś przyniósł kwit pana Verniere, wyjęty przez ciebie z kłębka bawełny, jak również klejnocik, oderwany od łańcuszka zegarka mordercy pana Verniere.

— Tak... Czy chce pani, ażebym ci zwrócił te przedmioty?

— Proszę... Będę ich potrzebowała, jeżeli przed powrotem do Saint-Ouen, zostanę wezwaną przez sędziego do jego gabinetu.

— Czy pani ich nie zgubisz?

— O! nie! Pomyśl tylko, Magloire, że dla mnie stanowią one majątek Marty i zemstę. Nie lękaj się! Ani na sekundę nie rozstanę się z niemi.

Magloire wyjął z kieszonki kwit i brelok i włożył je do rąk ociemniałej, która przez chwilę omacywała pieczątkę, ażeby sobie zdać sprawę z jej kształtu, potem schowała je do bluzy, zawinięte w chustkę.

— Kto inny, mając ten klejnot mógłby zobaczyć mordercę, zajrzeć aż do jego mieszkania i powiedzieć mu To on!

— A to w jaki sposób?

— Widzisz, Magloire są istoty, które przy pomocy tych przedmiotów mogłyby nietylko odtworzyć przeszłość, dotyczącą ich właściciela, ale widzieć nawet gdzie się on teraz znajduje, co czyni i śledzić mogą każdy jego krok...

— Cóż to są za istoty dziwne?..

— Nie słyszałeś o nich nigdy? To są jasnowidzące. W czasie, kiedy jeszcze byłam zdrowa, kiedym miała wzrok, naczytałam się wiele o tem po różnych gazetach... i nawet w Paryżu, nie tak dawno, jakaś włoszka jasnowidząca... nazywała się... poczekaj... zdaje się... Mariani, słynęła z daru takiego widzenia. Otóż ja chcę udać się do takiej jasnowidzącej, i spróbować, może ona przy pomocy breloka, powie nam, kto jest jego właścicielem...

— O! to byłoby wybornie.

— Tak, ślepota moja nie stałaby się zupełną przeszkodą w wyświetleniu tej tajemnicy... w ukryciu tego mordercy. I to jeszcze nie stanowi o pójściu mem do jasnowidzącej, wprzód muszę wszystko wyjawić sędziemu śledczemu, poznać prawdę całego śledztwa dotychczasowego, a nawet wiesz, Magloire, sama się jeszcze namyślam, czy nie trzeba działać, jak ty dotychczas i milczeć o tym znalezionym breloku...

— Namyśl się dobrze, pani Sollier, a teraz do widzenia.

W kilka minut później kataryniarz wraz z małą towarzyszką swoją opuścili szpital św. Ludwika, dokąd mieli jutro wrócić, dla zabrania Weroniki.

III.

Doktor Sermet zawiadomił sędziego śledczego o wyzdrowieniu Weroniki Sollier dodając, że biedna kobieta jest dość silną, ażeby znieść zmęczenie badania.

List ten przysłany został urzędnikowi do jego gabinetu w sądzie.

Daniel Savanne, skoro list przeczytał, wezwał naczelnika bezpieczeństwa i zalecił mu, ażeby nazajutrz zrana o godzinie jedenastej posłał agenta z powozem do szpitala św. Ludwika, aby ztamtąd zabrać ociemniałą i do niego przywieźć. Jednocześnie na tę samą godzinę tego samego dnia wezwany został kasjer Prieur i majster Klaudjusz Grivot.

Pan Savanne tegoż dnia o godzinie szóstej wieczorem jeść miał obiad z synowcem w willi w Neuilly, gdzie bywali dwa razy na tydzień, we czwartki i niedziele.

Po obiedzie siadano przed kominkiem dla rozmowy. Żałoba krewnych Ryszarda Verniere i jego najbliższych przyjaciół zbyt była świeżą, aby te zebrania mogły być ożywione. Rozmowa toczyła się prawie zawsze o śledztwie w sprawie Saint-Ouen, której ciężar dźwigać musiał do końca sędzia. Robert zwłaszcza nie ustawał w zapytaniach, na które odpowiadał Daniel, wprawdzie nie wyznawając się z tajemnic zawodowych, o tyle jednak szczerze, iż dawał bratobójcy prawie pewność, że nie ma się czego obawiać.

Tego wieczora Robert zapytał:

— A pańska ranna, ta kobieta, na której zeznanie

liczysz pan, że przyniesie trochę światła wśród otaczających ciemności?.. Czy już wyzdrowiała? Czy będzie mogła wkrótce poddaną być badaniu?

— Ona już zupełnie wyleczona i badać ją będę jutro, odpowiedział Daniel Savanne.

Nie bez trudności Robert Verniere powstrzymał lekkie drżenie.

— Jutro? powtórzył, sam nie wiedząc, co mówi.

— Tak. Dziś z rana otrzymałem list od doktora Sermet, z wiadomością, że Weronika Sollier opuści jutro szpital i natychmiast wydałem rozkazy, ażeby przyprowadzona została do mego gabinetu.

— Powiedziałeś pan, że jest wyleczona zupełnie, podchwycił Robert, kładąc nacisk na wyraz: zupełnie. Chirurg, który ją operował, obawiał się, aby ślepota nie była następstwem tej operacji... Czy się pomylił w tem przywidywaniu?

— Nie, na nieszczęście, i biedna kobieta pozostanie na całe życie ociemniałą.

Henryk Savanne uśmiechnął się, a ten uśmiech zaniepokoił wielce Roberta.

— Czyżbyś, kochany panie Henryku, wątpił w słuszność zdania doktora? zapytał.

— Ażeby panu odpowiedzieć bez wahania, odrzekł młodzieniec, którego znamy uzdolnienie specjalne, musiałbym zbadać w sposób najszczegółowszy operację dokonaną w szpitalu i zdać sobie sprawę z przyczyn, wywołujących ślepotę. Nie będę przed państwem przytaczał całego szeregu terminów specjalnych, powiem tylko, że jeżeli pewne przekrwawienie spowodowało ka-

tastrofę, sądzę, że wyleczenie nie jest niemożebne.

— Takie jednak nie jest zdanie doktora Sermet, który uchodzi za księcia nauki, przerwał Robert.

— I bardzo słusznie, odparł młodzieniec. Jeżeli jednak doktor Sermet jest wielkim chirurgiem, nie jest wszakże okulistą, specjalnie zajmującym się wszystkiem co dotyczy organów wzroku. Dodam, że nietylko poczyniła wielkie postępy chirurgia w zastosowaniu do ran, złamań i gwałtownych kalectw, ale w pochodzie naprzód nie ustępuje jej w niczem i chirurgia okulistyczna, oftalmologiczna. Nie uszczuplając więc wcale zasług doktora Sermet, jako chirurga operatora, przypuszczać mogę, że jego wiedza okulistyczna szwankuje. Ja pracuję pod kierunkiem mistrzów, słynnych powagą, których najznakomitsi chirurdzy często zapytują o radę. Otóż, nie wiem, aby chirurg ze szpitala św. Ludwika radził się ich. Wyprowadźcie państwo ztąd wnioski...

— Czyżby ci mistrze, o których mówi, przywrócić mogli wzrok tej kobiecie? zapytał sam siebie w myśli Robert nie bez przestrachu. Potem, zapanowawszy nad sobą i zwracając się do Daniela Savanne, wyrzekł: Jakżebym pragnął, ażeby ta Weronika mogła naprowadzić pana na ślady mordercy. Wtedy dopiero będę szczęśliwy, gdy nędznik odpokutuje za swą zbrodnię na rusztowaniu i kiedy brat mój zostanie pomszczony!... Jakże jestem niecierpliwy dowiedzieć się, czy ta biedna istota będzie mogła panu udzielić jakich wiadomości.

— Wierzaj mi pan, że niecierpliwość moja równa się pańskiej, odpowiedział Daniel.

Robert ciągnął dalej z ożywieniem, doskonale odgrywanem:

— Weronika Sollier, jak pozwalają mniemać wskazówki, już przez pana osiągnięte, niezawodnie widziała twarz jednego z morderców... Niezawodnie walczyła z nim. Jeżeli go znała, to go poznała. Jeżeli go nie zna, to będzie mogła go poznać. Zeznanie więc jej stanie się zapewne kamieniem węgielnym dla pańskiego śledztwa. Otóż pragnąłbym wielce, obecnym być przy badaniu Weroniki Sollier. Czy to niemożebne?

— Byłoby to niemożebne, gdyby Weronika stawała przedemną jako oskarżona, odparł Daniel Savanne, i moim obowiązkiem wtedy byłoby odpowiedzieć panu: Nie. Ale tego wypadku niema, gdyż Weronika będzie przezemnie wypytywana w roli świadka. Zresztą pan znajdujesz się w warunkach wyjątkowych. Jesteś pan bliskim krewnym ofiary, a zatem interesowanym nie mniej jak sprawiedliwość w poznaniu prawdy. Bądź pan więc jutro w mym gabinecie punktualnie o godzinie dwunastej w południe. O tym czasie, po przesłuchaniu raz jeszcze Klaudjusza Grivot i kasjera Prieura wezwę do siebie Weronikę Sollier.

— Będę punktualnie.

Tej krótkiej rozmowy, w której bratobójca złożył dowód zarówno zręczności, jak śmiałości i obłudy, Aurelia oraz dwie młode dziewczyny wysłuchały z wielką uwagą.

Pani Verniere zabrała głos.

— Ta biedna Weronika, rzekła, żywo mnie zajmuje... Poświęciła się, ażeby nieść ratunek swemu panu, a je-

żeli nawet życie jej zostało uratowane, niemniej ucierpiała okrutnie, gdyż pozbawiona została wzroku!.. Ślepa, nie posiadając nic, prócz opiekuna w tym dzielnym chłopcu, o którym mówił nam pan Savanne, zarabiającym na utrzymanie grą na katarynce, co się z nią stanie?

Robert zmarszczył brwi. Przeczuwał, iż żona jego dobra i miłosierna, jak zawsze, zechce się w to wdać i że ztąd wyniknie dlań coś niemiłego. Strzegł się jednak wymówienia choćby jednego słowa.

Matka Filipa ciągnęła dalej:

— Wiem doskonale, że żadna odpowiedzialność nie może spaść na tych, którzy podejmują w dalszym ciągu prowadzenie interesów pana Ryszarda Verniere, ale obok kwestji prawnej jest jeszcze kwestja moralności i ludzkości. Zdaje mi się, że na nas spada obowiązek!.. Zdaje mi się, że uczcilibyśmy godnie pamięć nieodżałowanego ojca naszej drogiej Aliny, zajmując się tą biedną istotą, tak przywiązaną i tak nieszczęśliwą! Potem, zwracając się do męża, Aurelia dodała: Czy i twoje takie zdanie?

Robert podniósł głowę. Dla niego Weronika, to niebezpieczeństwo. W chwili gdy chciałby ją widzieć już nieżywą, tak gorąco popierano jej sprawę. Najżywszem jego życzeniem było, ażeby, skutkiem opuszczenia i nędzy, jak najprędzej doprowadzona była do grobu, a tu mówiono o daniu jej środków do życia... I jemu, pod groźbą wydania się potwornym egoistą, trzeba było stanąć po jej stronie i wziąć udział w tym koncercie czułostkowości.

— Słusznie myślicie państwo, rzekł, że będę pierwszy w chęci powierzenia tej biednej istocie miejsca, które zajmowała w fabryce, ale zachodzi tu niemożebność fizyczna... Ślepota jej jest niepokonalną przeszkodą...

Pani Verniere podchwyciła:

— Przy Weronice jest dziecko, jej wnuczka... trzeba pomyśleć tak dobrze o dziecku, jak i o babce..

— Czy po udzieleniu im zasiłku i umieszczeniu ich w przytułku, widzisz jeszcze co innego do uczynienia? zapytał bratobójca.

— Czy nie możnaby przedewszystkiem spróbować wyleczenia jej? nalegała pani Verniere.

— Ze ślepoty? rzekł Robert.

— Pan Henryk mówił nam przed chwilą, że to nie jest wcale niemożebne. Gdyby to się sprawdziło, gdyby odzyskała wzrok, mógłbyś jej dać to miejsce, które zajmowała w fabryce. Byłoby to dla niej tysiąc razy lepsze, niż jałmużna i smutny byt w przytułkach dla nieuleczalnych.

Aurelia, mówiąc to, badała spojrzeniem Henryka Savanne. Zrozumiał to pytanie nieme i odpowiedział:

— Ażeby się dowiedzieć, czy to, czego pani pragniesz, jest możliwe, będę musiał wystudjować specjalnie wypadek z Weroniką.

Wtrącił się Daniel Savanne.

— Zaczekajmy! rzekł. Będzie pani mogła zobaczyć się z Weroniką i po rozmowie z nią, zdecyduje pani łatwo, co będzie najlepiej dla niej uczynić.

— Pan Savanne ma słuszność, poparł Robert. Zaczekajmy.

I rozmowa przeszła na inny przedmiot do chwili odejścia sędziego śledczego oraz jego synowca.

* * *

Nazajutrz zrana Daniel Savanne zjadł śniadanie wcześniej niż zwykle i punktualnie o godzinie jedenastej znajdował się w sądzie w swym gabinecie, gotów do przyjęcia świadków, na ten dzień wezwanych, których chciał wybadać na nowo w sposób dodatkowy.

W liczbie tych świadków, jak wiemy, znajdował się Klaudjusz Grivot i kasjer Prieur. Jeden i drugi przesłuchani zostali oddzielnie, potem obaj razem. Co już wprzód powiedzieli, to powtórzyli tylko obszerniej, ani na jotę nie zmieniwszy swych zeznań.

W chwili gdy ich badanie kończyło się, doręczono sędziemu śledczemu bilet Roberta Verniere; urzędnik dał rozkaz, ażeby go wprowadzono natychmiast.

Prieur i Klaudjusz mieli się już oddalić, lecz pan Savanne pragnął, ażeby jak i Robert obecnymi byli przy zeznaniu Weroniki Sollier, i poprosił ich, aby pozostali.

Nie wiedząc o czem była mowa w przeddzień wieczorem w willi Neuilly między urzędnikiem i bratem Ryszarda, Klaudjusz bardzo się zdziwił, zobaczywszy Roberta, wchodzącego do sędziego. Nie wiedział również, że za kilka chwil znajdzie się w obecności pani Sollier wyleczonej, ale niewidomej. Pomimo to miał się na baczności, ażeby zachować dobrą minę i w razie

zajścia niespodziewanego wypadku, nie stracić śmiałości i zimnej krwi, na jakie się zdobywał dotychczas.

. . . .

Inspektor Berthaut, posłany do szpitala, przywiózł Weronikę do sądu, zaś Magloirowi i Marcie, których już przy niej zastał, kazał zaczekać w korytarzu sądowym przy sali ogólnej. Woźny wprowadził ociemniałą do gabinetu sędziego.

Gdy wprowadzona przez woźnego przestąpiła próg gabinetu, na widok tej pełnej szwów twarzy biednej kobiety, której czoło znikało jeszcze pod bandażami, na widok zwłaszcza tych oczu bez wejrzenia, sędzia śledczy nie mógł się powstrzymać od okazania litości.

Kasjerowi Prieur ścisnęło się serce. Robert Verniere zbladł nieco. Klaudjusz Grivot uczuł dreszcz, przebiegający mu po skórze, a na skronie wystąpił mu pot.

Woźny doprowadził niewidomą do fotelu, pomógł jej usiąść i oddalił się.

Daniel Savanne skinął na swego sekretarza, i odezwał się do Weroniki:

— Wiele ucierpiałaś, moja biedna pani Sollier. Jeżeli Bóg uchronił panią od śmierci, prawie pewnej, to zapewne nie bez racji były jego takie wyroki. Oświeci pani sprawiedliwość, dasz jej pani środki do pomszczenia tak tego, którego już niema, jak i pani samej.

— O! panie! zawołała niewidoma, uczynię to z całego serca, a spodziewam się, że będę mogła.

Robert z bladego stał się sinym. Dreszcz nerwowy Klaudjusza Grivot wzmógł się...

Daniel Savanne zapytał Weronikę:

— Czy zna pani całą rozległość katastrofy, której się stałaś jedną z ofiar?

— Tak, panie, pan Verniere jest zamordowany, fabryka spalona, biedny parobek zginął w płomieniach, a panna Alina jest zupełnie zrujnowana.

— Kto pani udzielił tych szczegółów?

— Najprzód pan doktor Sermet, a następnie Magloire mańkut, który mnie odwiedził wczoraj wraz z moją małą Martą, córką mej biednej Germany...

Daniel, po chwili milczenia, zaczął:

— Dotychczas, pomimo połączonych usiłowań sądu i policji, pozostajemy wśród ciemności, tajemnica nieprzenikniona otacza wszystkie zbrodnie, spełnione w Saint-Ouen... Od pani spodziewamy się otrzymać światło!..

— Powiem panu wszystko, com widziała, wszystko, co mi jest wiadomem.

Nowy znak sędziego śledczego wskazał sekretarzowi, że badanie ma się rozpocząć. Daniel przystąpił przedewszystkiem do formalności prawnych, dotyczących nazwisk, imion, miejsca zamieszkania i t. d. Potem zapytał:

— Dnia 1-go stycznia pan Verniere wyszedł z fabryki dość wcześnie, nieprawdaż?

— Tak, panie, i powiedział mi, że wróci późno i że mogę rozporządzać swym czasem.

— Byłaś pani sama w domu?

— Z wnuczką... Służąca pana Ryszarda pojechała w przeddzień wieczorem do Vincennes, do swego syna, i oddała mi jak zwykle klucze pana, ażebym mogła wszystko uporządkować podczas jego nieobecności.

— Służąca powrócić miała we wtorek zrana?

— O godzinie pierwszej.

— Czy skorzystałaś pani z pozwolenia, jakie ci dał pan Verniere?

— W ciągu dnia, nie, panie. Chciałam iść na cmentarz z Martą, ażeby się pomodlić na grobie jej matki, ale czas był za chłodny, wiatr nader gwałtowny. Lękałam się, ażeby taka pogoda nie zaszkodziła dziecku.

— Czy panią kto odwiedzał w ciągu dnia?

— Tak, panie, poczciwy chłopiec, o którym panu wspomniałam przed chwilą i którego przywiązanie do mnie jest niezrównane. Przyszedł, ażeby nas trochę rozerwać w naszem zmartwieniu i prosić, ażebyśmy razem z nim poszły na obiad do restauracji pani Aubin.

— O której godzinie wyszła pani z fabryki?

— O kwadrans na siódmą z Martą i Magloirem.

— Dobrze pani drzwi pozamykała?

— O! niezawodnie i zapaliłam latarnię gazową, oświetlającą podwórze i pawilon pana Verniere,

— O której godzinie powróciłaś pani?

— Mogło być około wpół do dziesiątej.

— Czyś pani zauważyła godzinę?

— Tak, panie, i mogę się mylić zaledwie o kilka minut. Pan Grivot, który z nami jadł obiad w restauracji i cierpiał bardzo na głowę, poszedł do siebie o godzinie dziewiątej i pół, a ja zaraz po nim wyszłam.

— Czy po powrocie do fabryki zastałaś pani bramę i drzwi tak pozamykane, jak przed odejściem?

— Dobrze były pozamykane, odpowiedziała.

— Miałaś pani u siebie, zapytał Daniel, klucze od

bram, wychodzących na kanał Saint-Ouen i na sąsiednie place, otoczone wysokim parkanem?

— Tak, panie, co wieczór, po zamknięciu bram, przynoszono mi klucze, a ja zawieszałam je na odpowiednich haczykach, na desce, do tego przeznaczonej.

— Rzeczywiście znaleziono je tam, ale znaleziono też bramy otwarte.

— To znaczy, że mordercy mieli dorobione klucze, albo wyłamali bramy.

— Na czem pani opierasz to twierdzenie?

— Na tem, że w dniu Nowego Roku drzwi były najstaranniej zamknięte. Ja sama o tem się przekonałam zrana. W sobotę wieczorem klucze oddane mi zostały przez starego stróża i zawieszone na desce.

— Wobec tak stanowczego i jasnego twierdzenia, trzeba przypuścić istnienie dorobionych kluczy, co świadczy, iż zbrodnia była obmyślana oddawna.

Niepokój Roberta i Klaudjusza, na chwilę uspokojony, znowu się obudził.

— Dojdźmy do punktu głównego, rzekł Daniel Savanne, to jest wszystkiego, co pani dotyczy osobiście. Na miejscu zbrodni podniesiono panią ranną. Cóż był za powód pani obecności w tem miejscu?

— Gdy wnuczka moja usnęła, odpowiedziała Weronika, ja również się położyłam, ale cierpienia moralne, których świeżo doświadczyłam, nie pozwalały mi zasnąć i myślałam o przyszłości dla mej drogiej Marty. Naraz wśród najgłębszej ciszy nocnej usłyszałam krzyk, potem strzał. Przestraszona wyskoczyłam z łóżka, pobiegłam do okna i otworzyłam je. Ujrzałam czerwone

światło w stronie mieszkania pryncypała. Przeczucie nieszczęścia przebiegło mi przez myśl. Ubrałam się na prędce, wybiegłam na podwórze i podążyłam szybko do pawilonu pana Verniere. Ztamtąd wychodził jakiś człowiek, a kapelusz o szerokich skrzydłach zasłaniał mu połowę twarzy. Skoczyłam mu do gardła i z całych sił zawołałam o ratunek. W chwili kiedy miała się wszcząć walka między tym człowiekiem a mną, ujrzałam pryncypała, wychodzącego z korytarza, gdzie zaczęły się pokazywać kłęby płomieni. Chwiał się, zbroczony krwią, i padł na ziemię, przy moich nogach. Wtedy walka stała się zażartsza między mną i mordercą, bo nie mogłam już wątpić, że ten nędznik jest mordercą. Krzycząc o ratunek, uczepiłam się obiema rękoma jego ubrania. Wśród szamotań się, kapelusz zsunął mu się z głowy a przy blasku latarni gazowej, oświetlającej podwórze, zobaczyłam go... poznałam...

— Poznałaś go pani! zawołał Daniel zdumiony, podnosząc się nawpół na fotelu a Robertowi i Klaudjuszowi krew uderzyła do głowy.

— Tak, panie. Przed czterema dniami, gdy przyszedł do fabryki i nalegał, że chce się zobaczyć z panem Verniere, wymienił swe nazwisko: Fritz Leyman. Podawał się za przedstawiciela fabryki w Genewie.

— Czy go pan Verniere przyjął?

— Tak, gdy przyszedł po raz drugi. Godzinę prawie przepędził w gabinecie. Kiedy odszedł, a ja zamknęłam za nim drzwi, pryncypał podszedł ku mnie i rzekł z gniewem, którego wcale nie taił: „Weroniko, czy poznasz tego człowieka, który ztąd wyszedł? Nie-

chaj on tu nie wchodzi nigdy! Rozumiesz, nigdy! Gdyby tu wrócił, cokolwiekby powiedział, cokolwiekby czynił, ażeby się do mnie dostać, wypędź go bez litości, a jeżeliby się opierał, wezwij pani kogo do pomocy!“

— I ten przybysz, zapytał sędzia śledczy, powiedział pani, że nazywa się Frytz Leyman?

— Tak, panie.

— I jesteś pani zupełnie pewną, że ów gość, któremu tak energicznie wzbronił pan Vernière wstępu, jest tym samym mordercą, z jakim pani walczyłaś?

— Jestem tego pewna najzupełniej.

— Więc gdybyś się pani znalazła w obecności tego człowieka, mogłabyś go pani poznać?

— O! panie! zawołała Weronika z rozpaczą, zapominasz, że jestem ślepą.

Daniel Savanne pochylił głowę ze zniechęcenia. Złudzony poniekąd nadzieją powodzenia, przez sekundę jakby zapomniał rzeczywiście o ślepocie biednej kobiety.

Robert oddychał teraz. Ryszard, wzbraniając mu wejścia do fabryki, nie powiedział nic, coby mogło wskazać go przenikliwości urzędnika, i Weronika, bezwładna, ponieważ nie widziała już wcale, znała go tylko pod fałszywem nazwiskiem, przybranem przypadkowo.

Wszelako jedna go rzecz jeszcze zajmowała. Dwa razy rozmawiał z odźwierną fabryki. Czy nie zapamiętała jego głosu tak dobrze, iż mogłaby poznać, gdyby go znowu usłyszała? W tem jeszcze było niebezpieczeństwo, jeżeli nie śmiertelne, to przynajmniej powa-

żne. Lepiej było mieć pod tym względem pewność, niżeli zachować dręczący niepokój.

Robert wezwał na pomoc śmiałość, która od czasu popełnionej zbrodni tak wiernie mu służyła.

— Ależ, odezwał się żywo, chociaż ta kobieta niewidoma, nie jest w stanie wskazać mordercy, może przynajmniej podać jego rysopis zapewne?

Weronika, słysząc głos Roberta, drgnęła raptownie.

— Kto to mówi? zapytała ze wzruszeniem.

Tym razem odpowiedział sędzia śledczy:

— To pan Robert Verniere, brat Ryszarda Verniere, który przyjechał z zagranicy do Paryża na pogrzeb, ażeby zarazem pomódz do pomszczenia nieszczęśliwej ofiary dla której czuł wielkie przywiązanie.

Weronika nie wiedziała, że wielki przemysłowiec ma brata. O Robercie słyszała tylko od Magloira, który jej opowiedział o jego przyjeździe do Paryża i o jego szlachetności wobec interesów bratanicy. Dlatego, pomimo podobieństwa jego głosu z głosem rzekomego Frytza Leymana, niepodobna było jej podejrzewać, że się znajduje naprzeciw mordercy Ryszarda Verniere.

— Podaj mi pani rysopis tego człowieka, jeżeli jesteś pewna swej pamięci, rzekł Daniel.

— O! pamięć mam dobrą!... A! jakżebym mogła zapomnieć. Nędznik, z którym walczyłam, nie może mieć jeszcze pięćdziesięciu lat. Wzrostu słusznego. Wejrzenie jego fałszywe. Włosy ciemne są już rzadkie i już szpakowate, również jak i broda spiczasto przycięta.

Był to rysopis bardzo niedokładny. Wielu ludzi podobnych być mogło do niewyraźnego portretu, nakre-

ślonego przez niewidomą.

Od dnia zbrodni, Robert zapuścił włosy i nie strzygł brody tak spiczasto. Nic z tego, co powiedziała pani Sollier, nie mogło dotyczyć go w szezególności.

— Czyś pani nie zauważyła czego bardziej charakterystycznego? zapytał pan Savanne. Bo ten rysopis nieokreślony nie może być użyteczny.

— Rysopis jest nieokreślony, to prawda, ale będę mogła to poprzeć jedną rzeczą, jak to podobno mówią, dowodem rzeczowym.

Robert zaczął drżyć znowu. Cóż to może być za dowód? Usiłował jednak zwalczyć niepokój, dławiący go za gardło, i czekał.

— Czy sądzisz pani, że morderca działał sam? podchwycił sędzia.

— Nie. Było ich dwóch.

— Na czem pani opierasz to twierdzenie?

— Wśród najzawziętszej walki, gdy podwajałam krzyki o pomoc, rozległ się strzał od strony parkanu, zobaczyłam światło i padłam.

— Zatem było dwóch ludzi rzeczywiście i kula, która panią ugodzila, nie pochodziła z tej broni, która zabiła Ryszarda Verniere. Mamy tego już dowód. Ale czy widziała pani tego drugiego mordercę?

— Nie, panie.

Głęboka cisza panowała w gabinecie.

Robert i Klaudjusz zachowywali pozorny spokój, którego wcale nie mieli w duszy. Zamieniali z sobą ukradkowe spojrzenia, odgadując nieznaną i nieokreśloną chmurę, która zawisła nad nimi.

Daniel Savanne podniósł głowę i zadał to pytanie Weronice:

— Czy wiadomo pani, że 31-go grudnia wieczorem kasa ogniotrwała, znajdująca się w gabinecie pana Verniere, zawierała sumę bardzo znaczną, której wysokość kasjer, pan Prieur, ściśle mi podał?

— Nie, panie, o tem wcale nie wiedziałam, odpowiedziała Weronika, zresztą ja nigdy nie wiedziałam nic, co dotyczyło rachunkowości pana Verniere.

— Czy w ciągu trzech dni, które nastąpiły po wizycie rzekomego Frytza Leymana w fabryce, nie wprowadziłaś pani do pana Verniere nikogo, ktoby mógł powziąć wiadomość ile pieniędzy może się mieścić w jego kasie?

— Tak, panie, odpowiedziała, wprowadziłam kogoś do pana Verniere, w sobotę 30 go grudnia o godzinie siódmej wieczorem, po zamknięciu kantoru.

— A! I znasz pani tę osobę, którą wprowadziłaś?

— Tak, panie, i kiedy będę sama z panem, opowiem w jakim celu ta osoba przybyła do pana Verniere...

Świadkowie tej sceny doznali żdziwienia, które podzielił i Daniel Savanne.

— Dlaczego mamy do tego być sami? zapytał.

— Bo mam panu powierzyć rzeczy, które sam tylko powinieneś słyszeć, jeżeli przytem zobowiążesz się pan zachować je w tajemnicy.

— Takiego zobowiązania nie mogę pani dać, jeżeli wiadomości pani dotyczą w czemkolwiek morderstwa Ryszarda Verniere.

— Nie dotyczą. Są tylko one następstwem jego śmierci!

— Więc czy chodzi tu o tajemnicę, która tylko panią obchodzi i którą pragniesz mi powierzyć?

— Tak, panie, przyczem chcę pana prosić o radę.

— Dobrze, gdy pani skończy zeznanie, wysłucham panią i obowiązuję się z tego nic nie wyjawić.

— Dziękuję panu. Spełnisz pan dobry uczynek, postępując tak i pomagając do wykonania dzieła, zbyt ciężkiego jak dla mnie słabej.

Łatwo zrozumieć, jak tajemnicze wyrazy mogły zaintrygować Roberta. Jaka może być tajemnica Weroniki? W tejże chwili pomyślał Robert o pakiecie banknotów, który skradł z kasy brata i na którym wypisane były te wyrazy: Depozyt Gabrjela Savanne. Tak, to musiało być to. Należało tylko wykryć, jakie stosunki mogły być między kapitanem okrętu i Weroniką Sollier?

— Pozostawmy na stronie tymczasem zwierzenia, które pragniesz mi pani uczynić a powiedz mi pani nazwisko osoby, którą wprowadziłaś do pana Ryszarda Verniere wieczorem w sobotę 30-go grudnia 1893 roku.

— Tak, panie, ten gość prosił mnie ażebym go oznajmiła.

— A jak się ten gość nazywał?

— Gabryel Savanne.

— Mój brat! zawołał urzędnik zdumiony.

Słysząc te dwa wyrazy, Weronika drgnęła od stóp do głowy.

— Brat pański! powtórzyła drżąca, przestraszona.

Więc gdzież ja jestem?

— Jesteś pani w gabinecie sędziego śledczego, Daniela Savanne, brata Gabrjela Savanne, kapitana okrętu.

Weronika nawpół się podniosła. Opadła na krzesło zgnębiona. Więc znajdowała się wobec brata Gabrjela Savanne, człowieka, któremu, jak kazał jej przysiądz marynarz, nie miała wyjawić nigdy, że Marta jest córką kapitana i że majątek, przeznaczony temu dziecku, pochodzi od niego Teraz nie mogła już mówić. Trzeba jej było milczeć, aby nie złamać przysięgi, i wobec tego w Danielu Savanne nie będzie mogła znaleść potrzebnej pomocy do odzyskania majątku swej drogiej wnuczki. Fatalność zdruzgotała ostatnią jej nadzieję.

Daniel, zdumiony na chwilę twierdzeniem niewidomej, odzyskał władzę nad sobą.

— Jesteśmy wobec omyłki szczególnej, lecz widocznej ze strony pani, rzekł. To być nie może, ażebyś mego brata wprowadziła pani do gabinetu Ryszarda Verniere wieczorem dnia 30-go grudnia, a są na to niezbite dowody. Brat mój, przybywszy do Tulonu dnia 30-go grudnia zrana, przyjechał do mnie wprost zrana w niedzielę 31-go. W sobotę zatem wieczorem jechał jeszcze koleją, a nie znajdował się w Saint Ouen.

— Tak, panie, wyjąkała Weronika, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

— Zapewne oznajmiłaś pani panu Verniere nazwisko, podobne do mego brata, i ztąd pani omyłka. Ma ona jednak tylko o tyle znaczenie, że pozostawia nas w nieświadomości, jaka to osoba była w sobotę wieczo-

rem. Czy tej osoby nie widziałaś pani kiedykolwiek przedtem?

— Nigdy, panie.

— Czy to był człowiek młody, czy już dojrzały?

— Dojrzały.

— A pan Verniere przyjął go uprzejmie?

— Tak, panie.

— Wrócimy do tego jeszcze później. Teraz zajmijmy się walką pani z mordercą. Poznałaś pani, że przyszedł do fabryki przed czterema dniami. Podałaś pani rysopis zbyt niedokładny, ażebym mógł się nim kierować w swych poszukiwaniach, a ponieważ fatalność uczyniła cię niewidomą, nie jesteś w stanie poznać zabójcy, gdyby przypadkiem zjawił się w pani obecności. Ale wspomniałaś pani o jakimś dowodzie rzeczowym...

— Tak, panie, i ten przedmiot zastąpić mi zdoła oczy, których nie mam już wcale. Pozwól pan, jednak że zadam ci jedno pytanie. Czy pan wierzy w sonambulizm?

— W sonambulizm? powtórzył Daniel z uśmiechem, w którym przezierał najzupełniejszy sceptycyzm.

— Rozumiem pana. Obawiasz się pan pomyłki lub mistyfikacji. Nie chcesz pan wypytywać jasnowidzącej, w obawie, ażebyś nie był w pole wyprowadzony. A gdyby jednak jaka jasnowidząca, pod wpływem snu magnetycznego, mogła panu opisać mordercę lepiej, niż ja to uczyniłam, wskazać go panu i zaprowadzić pana do niego? Ja bo wierzę, i mam prawo wierzyć, gdyż miałam dowód, iż wzrok podwójny istnieje. Pewna jasnowidząca przepowiedziała mi, że odnajdę córkę moją

w ośm lat po jej zniknięciu, że ją znajdę umarłą z wyczerpania, nędzy, prawie z głodu, pozostawiającą córeczkę siedmioletnią. I oto w ośm lat później odnalazłam moją córkę Germanę, zmarłą ze zmartwienia, a obok niej córkę jej, Martę, moją wnuczkę. To więc nie złudzenie, proszę pana, to są fakty... Smutna przepowiednia ziściła się co do joty, ażeby zaś otrzymać tę wróżbę, włożyłam tylko do rąk uśpionej jasnowidzącej, która mnie wcale nie znała, mały pierścionek srebrny, który Germana nosiła w dzieciństwie. Ja chcę pomścić pana Ryszarda Verniere, który był moim opiekunem, chcę pomścić sama siebie, i dlatego nie cofam się przed żadnymi środkami!

— To pani prawo! odrzekł sędzia śledczy, i wcale tego pani nie ganię! Udaj się pani do magnetyzerów, do jasnowidzących, i przynieś mi dowód niezaprzeczalny, że człowiek, wskazany pani przez jasnowidzącą, jest rzeczywiście mordercą. Wtedy dopiero pewny fakt może pokonać moją wątpliwość. Będę więc czekał. Ale tak samo, jak dawniej gdy pani powierzyłaś jasnowidzącej pierścionek córki, tak samo i teraz trzeba jej powierzyć jaki przedmiot, który należał do winowajcy. Czy pani posiadasz taki przedmiot?

— Tak, odpowiedziała Weronika, posiadam.

Robert doznał wrażenia takiego, jak gdyby go kto ugodził w piersi. Zsiniał.

— Cóż to za przedmiot? zapytał Daniel.

— Pieczątka i zarazem brelok.

Ruchem szybkim i nieświadomym Robert sięgnął ręką ku pękowi drobnych przedmiotów, zawieszonych

przy łańcuszku zegarka. Oddawna wiedział, że pieczątka, o której mówiła niewidoma, nie znajdowała się już tam wcale, lecz Robert sądził, że zgubił, pasując się z bratem, i przypuszczał, że zniszczoną została przez pożar.

Klaudjusz Grivot jednocześnie drgnął. Przypomniał sobie to kosztowne cacko, które wisiało na zużytem już kółeczku, jak sam nawet zwrócił uwagę Roberta, gdy tenże przyjechał do Berlina.

— Podczas walki z mordercą, palcami uczepiłam się łańcuszka zegarka i przedmiot ten znaleziono w mej zaciśniętej ręce, mówiła Weronika.

— Kto go znalazł? zapytał żywo sędzia.

— Magloire.

Niewidoma, mówiąc to, poszukała w kieszeni sukni i wyjęła z niej brelok.

— Niech pan zobaczy, rzekła, podając go sędziemu

Ten go wziął, marszcząc brwi, i odezwał się tonem surowym:

— Dlaczego mi nie oddano tego przedmiotu zaraz na początku śledztwa?

— Magloire, który go znalazł w mej ręce, nie chciał się z nim rozstać, bez porozumienia się ze mną.

Daniel Savanne przyglądał się uważnie klejnocikowi, który Klaudjusz Grivot poznał od jednego rzutu oka. Podobnie jak i wspólnik, Robert czuł, że krew zastyga mu w żyłach, lecz obadwaj mieli jeszcze dość siły, ażeby zachować postawę spokojną!

IV.

— To przedmiot wartościowy; kółko które go trzymało przy łańcuszku pękło, rzekł sędzia po szczegółowem obejrzeniu. Rytownicy uczynili z niego prawdziwy majstersztyk. Lew leżący ze szmaragdem w szponach. Daniel Savanne przyglądał się znowu pieczątce i wyrytym literom. H. N. wyrzekł, klejnocik ten należał do zabójcy, to nie ulega wątpliwości, i wyznaję, że to zbija mnie z tropu, obracając w niwecz wszystkie pierwsze domysły. Sądziliśmy, że mamy do czynienia z bandą złoczyńców, której ten Frytz Leyman mógł być hersztem. I oto byliśmy w błędzie. Łotrzy podmiejscy nie posiadają klejnotów tej wartości.

— Chyba że pochodzić one mogą z kradzieży popełnionej, zauważył Robert ze zdumiewającą odwagą.

— Może masz pan słuszność, odparł Daniel Savanne. W każdym razie ta pieczątka należy lub przedtem należała do człowieka z wyższego towarzystwa. To dowód rzeczowy. Być może, że stanie się on kiedyś nieskończenie cenny.

— Panie, rzekła Weronika z ożywieniem, ten przedmiot stanie się pewnym przewodnikiem, mam przeczucie, jeżeli się dostanie do rąk jasnowidzącej.

— Powiadam pani, że sprawiedliwość nie może się opierać na odkryciach prawdopodobnie zwodniczych.

— A ja, panie, wierzę w nie, podchwyciła niewidoma, a wiara moja oparta jest na doświadczeniu. Jestem pewna, że wkrótce dowiem się, dzięki temu cacku, kto jest mordercą pana Verniere i kto jego wspólnik.

— Dzięki temu cacku? powtórzył Daniel, ależ ja nie mogę się z niego wyzbyć.

— O! panie, tylko na kilka dni, proszę oddaj mi go. Odniosę, przysięgam, skoro tylko da mi odpowiedź jasnowidząca. A to będzie wkrótce. W imię pana Verniere, którego byłeś pan przyjacielem, w imię córki, której zabito ojca i którą okradziono z majątku, daj mi pan sposób do wymierzenia sprawiedliwości.

Sędzia się zawahał, nie wiedząc, co ma uczynić!

Ociemniała zrozumiała milczenie Daniela i odgadła jego wahanie. Upadła na kolana.

— Nie odmawiaj mi pan! wyjąkała ze łzami, wyciągając błagalnie ręce.

Sędzia wzruszony bardzo, zapomniał na chwilę o formalnościach. Biedna kobieta błagająca była tak nieszczęśliwa! Dlaczego jej wydzierać ostatnią nadzieję, uzasadnioną lub daremną, która ją jednak podtrzymywała?

— Może źle czynię, że ustępuję, ale się zgadzam i włożył jej brelok do ręki.

— O! dziękuję panu, dziękuję!

Robert powiódł chustką po czole, zroszonem od potu.

— Ale daję pani na to tylko trzy dni. Za trzy dni musisz mi pani odnieść ten brelok, rzekł sędzia.

— Za trzy dni odniosę go panu, przysięgam! odparła Weronika, kładąc znów cacko do kieszeni sukni.

— Teraz, panowie, rzekł Daniel, zwracając się do osób, znajdujących się w jego gabinecie, poproszę, abyście mnie zostawili samego z panią Sollier, ażebym mógł ją wysłuchać, jak pragnie.

Weronika otworzyła usta, chcąc powiedzieć, że chce odłożyć rozmowę na później. Robert wstał i miał się oddalić z Klaudjuszem i Prieurem, gdy drzwi od gabinetu otworzyły się nagle, i ukazał się Henryk Savanne, chwiejący się, z twarzą zmienioną. Na widok jego wszyscy się ździwili.

Daniel szybko podszedł do bratanka.

— Henryku, dziecko moje, zapytał go niespokojnie, co tobie jest? Co się stało?

Henryk, nie będąc w stanie wymówić ani słowa, z gardłem ściśnionem, z oddechem przyśpieszonym, podał stryjowi zmiętą depeszę, którą trzymał w ręce, i osunął się na krzesło.

Daniel ręką drżącą rozwinąwszy papier niebieski, przeczytał chciwie, co zawiera, i wydał okrzyk boleści.

— Mój brat, mój biedny brat, wyjąkał następnie i ukrył twarz w dłoniach.

Weronika oparłszy się o grzbiet krzesła, słuchała.

Robert zbliżył się do sędziego śledczego.

— Pan Gabrjel Savanne? zapytał go.

— Umarł! odpowiedział Daniel głosem głuchym.

— Nie żyje! powtórzyła za nim Weronika, trzęsąc się cała.

Henryk Savanne i jego stryj powoli odzyskali panowanie nad sobą. Padli sobie w ramiona i połączyli łzy, poczem Daniel rzekł do świadków tej sceny:

— Wybaczcie panowie, cios jest zbyt niespodziewany i straszny, zobaczymy się wkrótce.

Robert, Klaudjusz Grivot i Prieur, oddalili się w milczeniu.

Daniel zwracając się ku niewidomej, rzekł:

— Słyszałaś, pani Sollier. I nas także ugodziło nieszczęście niespodziewanie. Brat mój umarł! Odłożymy więc rozmowę, o którą mnie pani prosiłaś. Za kilka dni, gdy spróbujesz pani jasnowidzeń, gdy odniesiesz mi brelok, wysłucham pani zwierzeń i dam ci rady, których odemnie pragniesz.

— Ja już nic nie mam do powiedzenia, odrzekła niewidoma. Pan Gabrjel Savanne umarł. Winnam zapomnieć o wszystkiem. Już nie mam tajemnicy do powierzenia panu. Niepotrzeba mi już oczekiwać rad od pana. Jestem wyczerpana ze znużenia. Pozwól mi pan odejść i nie żądaj objaśnień. Za trzy dni odniosę panu brelok, który mi powierzyłeś.

Na znak urzędnika, sekretarz ujął Weronikę za ramię, ażeby ją zaprowadzić do galerji, na którą wychodziły gabinety sędziów śledczych.

Daniel patrząc na odchodzącą, rzekł do siebie:

— Brat mój umarł i z powodu tej śmierci pani Sollier nie chce teraz mówić. Nie ma już mi nic do powiedzenia! Jak wytłomaczyć tę zmianę raptowną, to niespodziewane milczenie? Śmierć Gabrjela czyni ją niemą! Dlaczego? Jakaż tajemnica istnieć mogła między bratem moim i Ryszardem Verniere, tak dalece, że Gabrjel był u niego wcześniej, nim przyszedł do mnie i zataił przedemną wcześniejszy powrót? I to wszystko na dwa dni przed zabójstwem Ryszarda. Taka dziwna tajemnica dodaje jeszcze niepokój do cierpienia, które mnie przygniata? Tę tajemnicę muszę przeniknąć! Weronika musi mówić! Będzie mówiła!..

* *
*

Zacny kataryniarz siedział z Martą na ławce w korytarzu, gdy ujrzał biegnącego, jak szalonego, Henryka Savanne do gabinetu sędziego śledczego, zkąd wyszli w kilka minut później Robert Verniere, Klaudjusz Grivot i kasjer Prieur. W chwilę później ukazała się Weronika, prowadzona przez sekretarza pana Savanne.

— Jesteśmy tu, pani Sollier, rzekł Magloire, a dziecko skoczyło na szyję babki.

Ociemniała podziękowała sekretarzowi i ujęła jedyne ramię mańkuta, a ten ją poprowadził do dorożki, mającej ich zawieźć do Saint-Ouen.

Weronika opowiedziała mu, co znane już jest naszym czytelnikom. Majątek dziewczynki był ostatecznie stracony, ponieważ otrzymano złowrogą wiadomość o śmierci kapitana okrętu. Jedno tylko pozostawało: Odnaleźć morderców, dzięki brelokowi, który pan Savanne oddał jej na trzy dni, i w razie powodzenia tych poszukiwań, zobaczyć, czy nie będzie można odebrać od nich skradzionych pieniędzy. Ale to wydawało się bardzo wątpliwem.

— Liczyć na to byłoby czystem szaleństwem, moja dobra pani Sollier, odparł kataryniarz, nie myśl już o tem. Teraz trzeba się postarać, ażebyśmy mieli byt skromny i życie, o ile można, spokojne, i zaoszczędzić pani i Marcie wszelkich przykrości. To już moja rzecz. Z pewnością się pogodzimy. Mam ja projekt, który pani później opowiem, a nawet może lepszy pod względem skutku, niż szukanie wiadomości u ludzi jasnowidzących.

— To ty, Magloire, nie wierzysz w jasnowidzące? zapytała niewidoma. To tak jak i sędzia śledczy.

— Wiem, że są jasnowidzące bardzo prawdomówne, przynajmniej tak mówią ludzie. Ale może się taka zdarzy jedna na dziesięć tysięcy i zapewne nie znajdziesz pani takiej ani w Saint-Cloud ani w Neuilly.

— Ja jednak spróbuję i bądź cobądź poradzę się jasnowidzącej, bo zdaje mi się, że gdybym tego nie uczyniła, zawiniłabym. Zresztą cóż ja ryzykuję? Co najwyżej mieć będę zawód. To nic!

— Masz pani słuszność. Jutro poszukamy jasnowidzącą.

Przybyli do Saint Ouen.

V.

Oddawna już pani Aubin, Marja oraz inne służące restauracji oczekiwały niewidomej.

Weronika, pomimo wielkich cierpień, jakich doznała i jakie jeszcze przewidywała, doświadczała głębokiej radości, widząc się otoczoną temi zacnemi sercami.

Na wieczór przygotowano dla Weroniki powitalną wieczerzę. Przedewszystkiem zaś umieszczono panią Sollier i Martę w skromnem mieszkanku, dokąd Magloire przeniósł rzeczy z dawnego pawilonu odźwiernej.

— Mój drogi Magloire, rzekła do niego, biorąc go za rękę, nie znajdę nigdy dość słów do okazania ci wdzięczności, jaką mam dla ciebie w mem sercu.

— Wdzięczności! przerwał dawny żołnierz marynarki, a to z powodu czego, pani Sollier?

— Z powodu czego? zawołała Weronika. Więc to nic nie znaczą starania, któremi mnie otaczasz, czuwając jak ojciec nad córką mej biednej Germany. Gdyby

nie ty, coby się stało z mą pieszczotką? Coby się stało i ze mną? Tyś nas obie uratował! Wszelka dobra wola ma swe granice. Ja też nie chcę być dłużej dla ciebie ciężarem i dlatego chcę się z tobą porozumieć i poprosić o radę...

— Pani Sollier, przerwał Magloire, zrób to dla mnie i odpędź od siebie wszystkie te brzydkie myśli, nie żądaj odemnie żadnej rady. To jest, dam pani jedną radę, ażebyś żyła spokojnie, miała zaufanie do mnie i we wszystkiem na mnie polegała. Uczyń to dla mnie i nie zajmuj się swą przyszłością. Mieszkanie to zapłacone jest pani Aubin na rok z góry. Jedzenia dostarczać pani będzie mama Aubin. Jużem się z nią porozumiał.

— Ale trzeba jej placić?

— Naturalnie. To się jej zapłaci. Magloire wydobył z kieszeni portmonetkę, gubo wypchaną i włożywszy ją niewidomej do ręki, dodał: I zaręczam pani, że jest z czego.

— Cóż to za portmonetka, mój przyjacielu? spytała Weronika. Co w niej jest?

— Pieniądze, które od miesiąca Marta zarobiła.

— Zarobiła? Jakto?

— Chodząc na wędrówki, w których śpiewaliśmy, przygrywając sobie na katarynce. Dzięki jej miłemu obejściu, ładnemu głosikowi i zajęciu, jakie budzi we wszystkich, zarobki były tak pokaźne. Wiesz pani, że teraz zarabiam trzy razy więcej, tak, moja droga pani Sollier, trzy razy więcej! Słowo honoru. Cóż więc słuszniejszego, że dzielimy się dochodami! Otóż jej część odłożyłem na bok. Chciałem to zachować na później,

ale mamy jeszcze dość czasu, ażeby pomyśleć o zebraniu dla niej posagu. Mam plan, który wydaje mi się dobrym. Jeżeli się powiedzie, reszta pójdzie dobrze sama. Ale teraz trzeba, ażeby nic nie brakowało pani Sollier. W tej portmonetce dość jest monety, ażeby opłacać poczciwej mamie Aubin całodzienne utrzymanie, a gdy tych pieniążków zabraknie, to będą inne.

— Ale... odezwała się niewidoma.

— Nie ma żadnego ale, odrzekł Magloire, a zwłaszcza nie dziękuj pani. Te pieniądze nie ja pani daję, tylko Marta, twoja ukochana wnuczka. To owoc jej pracy.

— Tak, kochana babciu! zawołała Marta uradowana, ja zarobię jeszcze dużo pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy. I to będzie dla ciebie, babciu! Codzień będę chodziła z Magloirem. Śpiewając, będę kręciła korbą, to takie zabawne. I będziemy bogaci, tacy bogaci, że nie będziemy wiedzieli, co czynić mamy z naszem bogactwem.

— Więc, droga pieszczotko, wyszeptała ociemniała rozczulona, chcesz pracować dla mnie. Nie wiem, czy powinnam to przyjąć.

— Powinnaś! rzekła pieszczotliwie dziewczynka.

Weronika nie mogła powstrzymać łez.

— O! moje dzieci, rzekła, obejmując jednym i tym samym uściskiem głowę mańkuta i Marty, którzy uklękli przed nią. Jacyście dobrzy oboje i jak podziękować Bogu, który mi was zesłał!

— Spełniając naszą wolę, pani Sollier.

— A! spełniać ją będę, już się nie sprzeciwiam... raj byłby na ziemi, gdyby wszyscy jak wy tacy byli.

* *
*

Po wyjściu z gabinetu sędziego śledczego, Klaudjusz Grivot zapytał Roberta:

— Dokąd pójdziemy?

— Do mnie, do Neuilly. Będziesz mi tam towarzyszył. Pomówimy w drodze.

Wzięli dorożkę, i skoro tylko ruszyła z miejsca, Robert zwracając się do Klaudjusza, rzekł:

— I cóż myślisz o tem, co się dzieje? Czy sądzisz, że jesteśmy zagrożeni?

— Przez chwilę myślałem, że byliśmy.

— A teraz?

— Zapewniam cię, że jestem spokojny.

— Zkąd masz ten spokój?

— Wdałeś się w grę bardzo niebezpieczną, odważając się mówić w obecności ślepej. Nie straciłem jej z oczu, gdy ją badał sędzia. Drgnęła, słysząc twój głos, bo jej się zdawało, że go poznaje, i w tem nie myliła się. Podejrzenie przebiegło jej przez myśl, ale trwało tylko sekundę. Wygrałeś partję! Nie mamy się czego lękać zwierzeń Weroniki.

— Ale ten brelok, który pokazała sędziemu, co go jej oddał, a ona ma go odnieść za trzy dni?

— To rzeczywiście było poważne, niech djabeł ją porwie z tym brelokiem! A ja cię przestrzegałem, chyba przypominasz sobie, że kółko, na którem wisiał brelok, jest zużyte i bardzo łatwo może pęknąć. Pękło też, pozostawiając przedmiot w szponach odźwiernej, ale nie może on jej do niczego posłużyć, tak samo jak na nic się nie przyda i sędziemu śledczemu.

— Zapominasz, że Weronika Sollier ma użyć tego

breloku, ażeby spróbować wiedzy magnetycznej.

Klaudjusz Grivot, wzruszając ramionami i spojrzawszy na wspólnika, odparł:

— E! mój stary, czy tracisz rozum? Jakto ty, zatwardziały sceptyku, człowieku, co nie wierzysz ani w Boga, ani w djabła, ty mówisz o magnetyzmie.

— Ja wierzę w wiedzę, a magnetyzm to wiedza.

— Wiedza! Chcesz powiedzieć blaga!

— Często, ale nie zawsze. Słowem, boję się, ażeby jaki osobnik jasnowidzący, są one rzadkie, ale się zdarzają, połączony z tym brelokiem, nie przebiegł wszelkich epizodów dramatu w Saint-Ouen i nie wskazał mnie, jako mordercę Ryszarda. I dlatego też chcę zobaczyć się z O'Brienem, żeby go zapytać, czy rzeczywiście można naprowadzić, dokąd kto zechce, myśl uśpionej osoby snem magnetycznym.

— Czy będzie szczery?

— Tak, bo opłacę jego szczerość.

— W takim razie, jeżeli ci nie ukradnie twych pieniędzy, odpowie, że to niemożebne.

— Tem lepiej, bo uczuję się spokojniejszym.

— To dowodzi, że wiara twoja w magnetyzm jest bardzo chwiejna!

— Nikt nie może rozkazać swym wrażeniom, a ja czuję niebezpieczeństwo nad naszemi głowami.

Klaudjusz wzruszył znów ramionami, nie odpowiedziawszy. Robert ciągnął dalej:

— Ach! gdyby można odebrać brelok Weronice.

— Nie trzeba na to liczyć. Brelok jest niezawodnie przechowywany w bezpiecznem miejscu.

— Można przynajmniej na nią mieć oko, czyhać na sposobność.

— To łatwe jest i tego się podejmuję. Wiesz, że mieszkanie ma u matki Aubin, tam, gdzie i ja mieszkam. Tam również będzie się stołowała. Będę więc ją miał na uwadze, a ponieważ mam zaufanie u wszystkich, będę wiedział, co czynić będzie od A do Z. Może nawet w rozmowie wybadam ją co do jej projektów.

— Uczyń to, Klaudjuszu, a wdzięczność moja...

— Wdzięczność zbyteczna, przerwał majster, pracując dla ciebie, pracować będę i dla siebie!

Po chwili milczenia, Robert zapytał:

— Przy ślepej jest jakiś niby opiekun?

— Magloire mańkut. To niezły chłopiec, ale zanadto w sobie zamknięty, mało rozmowny.

— Dobrze byłoby trzymać go zdaleka.

— Ja go się wystrzegam oddawna.

— O! wyrzekł Robert przez zęby zaciśnięte. Niepodobna żyć wśród tych wszystkich niepokojów... Muszę się widzieć z O'Brienem, musi mi powiedzieć, czy magnetyzm jest czemś więcej niż łapką dla wyzyskiwania łatwowiernych głupców? Czy ta kobieta może dojść do wykrycia prawdy? A więc... Robert przerwał sobie.

— Więc co? zapytał Klaudjusz.

— Więc tem gorzej dla niej! I nędznik podkreślił myśl swą strasznym gestem. Jutro, mówił dalej, poszukam Amerykanina, znajdę go, zapłacę mu, ażeby był szczery, a jeżeli mi powie, że grozi mi choć najmniejsze niebezpieczeństwo ze strony ślepej, uwierzę mu i przedsięwezmę odpowiednie kroki.

— Jeżeli mu zapłacisz, to będą stracone pieniądze. Zresztą niewielka to bieda! dodał Grivot. Ale ze wszystkiego tego, co słyszałem u sędziego śledczego, uderzyła mnie jedna rzecz, której nie zrozumiałem.

— Co takiego?

— A tajemnica owa, którą Weronika chciała powierzyć sędziemu, do której był zamieszany brat jego kapitan okrętu, Gabrjel Savanne.

— I ja również nie zrozumiałem, rzekł Robert.

— Odźwierna utrzymywała, że wprowadziła marynarza do gabinetu Ryszarda Verniere 30-go grudnia wieczorem. A Daniel Savanne twierdził, że brat jego znajdował się w drodze między Marsylią i Paryżem o tej godzinie i tejże daty, i że przybył do niego w niedzielę zrana 31-go. W tem jest coś dziwnego.

Robert zaś myślał o trzystu tysiącach franków, znalezionych w kasie brata, na których koperta nosiła te wyrazy: Depozyt Gabrjela Savanne. Nie śmiał jednak mówić o nich i nie bez racji.

— Rzeczywiście coś dziwnego? poparł. Zagadka, której rozwiązania nie dowiemy się nigdy; ponieważ Gabrjel Savanne umarł.

Przybywano do willi Neuilly.

— Jedź do fabryki powozem, rzekł Robert do swego wspólnika, przyjrzyj się robotom, które zrobione zostały od rana, a przedewszystkiem pilnuj ślepej.

— Nie lękaj się. Czy się zobaczę z tobą jutro?

— Tak, w fabryce. Pójdę tam bardzo wcześnie, a następnie zajmę się O'Brienem.

Robert udał się do willi, a Klaudjusz pojechał do

Saint-Ouen, gdzie Filip prowadził gorliwie roboty!

Przechodząc przez salon na parterze, bratobójca znalazł się w obecności Aliny i Matyldy. Zapytywał siebie, czy nie ma je zawiadomić o ciosie niespodziewanym, zastanowił się jednak, że lepiej byłoby pozostawić spełnienie tego trudnego zadania Danielowi Savanne lub Henrykowi, którzy odwidzą ich w Neuilly wieczorem. Zamieniwszy kilka słów nic nieznaczących z młodemi dziewczętami, udał się do swego gabinetu pracy.

Zresztą nie zawiodły go przewidywania. Wieczorem Daniel i Henryk oznajmili Matyldzie o śmierci jej stryja. Co było przyczyną śmierci? W jakich nastąpiła okoliczościach? Niewiadomo. Telegram, nadesłany z Hanoi, zawierał tylko te wyrazy: „Kapitan Gabrjel Savanne zmarł na pełnem morzu. List objaśniający wysłany". Nie wiedziano więc nic zgoła, a dla dowiedzenia się o szczegółach, trzeba było czekać na list zapowiedziany.

Boleść Daniela i Henryka była niezmierna. Jeden tracił brata ukochanego, drugi ojca ubóstwianego.

Matylda podzielała ich zmartwienie, chociaż bardzo mało znała stryja. Już przez to, że Henryk cierpiał okrutnie, i ona musiała cierpieć.

Ponieważ żałoba okryła dom jego, Daniel Savanne prosił panią Verniere, ażebyj eszcze przez czas pewien zatrzymała córkę przy sobie, na co Aurelia zgodziła się z całego serca.

. . . .

Powróćmy do Saint-Ouen.

Obiad, przyszykowany za staraniem pani Aubin, dla uczczenia powrotu Weroniki Sollier ze szpitala, udał

się pod każdym względem, zaproszeni byli dawni robotnicy Ryszarda Verniere, wśród których znajdowali się stary Szymon i Klaudjusz Grivot.

Vide-Gousset, pijak, który, jak sobie czytelnicy przypominają, wymienił na monetę bilet loteryjny, chcąc dać składkę na pogrzeb biednej Germany, miał również należeć do zebrania, lecz o godzinie oznaczonej wcale się nie pokazał.

Szczera wesołość panowała wśród biesiadników.

Weronika znajdowała chwilę ukojenia w swych cierpieniach. Oznaki sympatji, jakiem otaczali ją ci dzielni ludzie, czyniły mniej dolegliwemi głębokie rany jej duszy.

Marja siedziała obok kataryniarza, którego to sąsiedztwo bardzo cieszyło, i tak nadskakiwał ładnej służącej, że pani Aubin zawołała do nich ze śmiechem:

— A pobierzcież się zakochani... Przynajmniej nacałujecie się, ile tylko zechcecie!

— I to przyjdzie, pani Aubin, odparł mańkut.

— Pobierzcie się, i kupcie odemnie mój zakład. Ja nie jestem już młoda, widzicie, i mam ochotę już odpocząć. Marja jest dobrą dziewczyną, pracowita, jak żadna, i zna dom wybornie. Odstąpię wam tanio, i dam wam czas do spłaty, jak długo chcecie.

— O! to się zrobi, niech tylko ma pieniądze! odpowiedział mańkut.

— Nie potrzeba kapitałów. Koszta aktu i małe zaliczenie na towary, i to jeszcze zaliczenie od was, o ile można, najmniejsze.

Marja patrzyła na Magloira, a spojrzenie jej mó-

wiło wyraźnie:

— Interes niezawodnie dobry i podoba mi się.

— No, a jaka cena pani Aubin? zapytał Magloire. Ja z przyjemnością zastąpiłbym katarynkę bufetem.

— Dwadzieścia tysięcy franków. Dwa tysiące przy podpisaniu kontraktu sprzedaży, a potem reszta do zapłacenia w ciągu lat dziesięciu, z procentem tylko po trzy. Czy można dać przystępniejsze warunki?

— Dalibóg nie! zawołał mańkut. A czem ty rozporządzasz, Marjo?

— Dwustoma frankami.

— A ja tysiącem. Czasy są ciężkie. Kiedy będziemy mieli dwa do trzech tysięcy franków gotówką, pomówimy o tem pani Aubin.

Restauratorka miała odpowiedzieć, gdy drzwi od sali otworzyły się z hałasem. Każdy zdziwiony obrócił głowę. Na progu ukazał się Vide-Gousset, trzymając się klamki.

— Trochę się spóźniłem, odezwał się głosem przytłumionym. Proszę mi wybaczyć. Potem, zwracając się do Weroniki, dodał: Pani Sollier, widzę panią z prawdziwą przyjemnością. A to zuch z pani. Cieszę się, bo i ja mam serce. A dacie mi państwo miejsce?

Odpowiedział wybuch ogólnego śmiechu.

— A to się zahulał, rzekł jeden z robotników, nie było cię widać przez cztery dni.

— A tak, cztery dni bomblowania, odparł Vide-Gousset, szczególniej wczoraj. Śniadanie w Bercy, obiad u Jansena, a wieczorem wizyta u jasnowidzącej.

Usłyszawszy o jasnowidzącej, Weronika i Klaudjusz

zwrócili pilniejszą uwagę na słowa pijaka.

— U jasnowidzącej? powtórzył stary Szymon. O coś ją chodził pytać?

— A no żeby mi przyszłość przepowiedziała!

— I cóż ci przepowiedziała?

— A to już ja wiem, i wierzę, a jaki tam szyk u tej jasnowidzącej, co za wspaniała z niej kobieta, a magnetyzer. Powiada do niej: „Śpij“, a ona zaraz fajt i już śpi i dopiero przez sen gada.

I opowiadając, naśladował ruchy magnetyzera.

— A gdzież to takie przedstawienie? zapytano.

— W najpiękniejszej dzielnicy miasta przy ulicy Zwycięstwa Nr. 42 b. słynny magnetyzer O'Brien.

Klaudjusz uśmiechnął się. Opowiadanie pijaka podało mu adres, którego Robert chciał szukać nazajutrz. Weronika zaś wyryła ten adres w pamięci i postanowiła jutro dać się zaprowadzić na tę ulicę.

O godzinie dziesiątej wstano od stołu i pożegnano się: Magloire odprowadził panią Sollier i Martę do ich mieszkanka.

— Mój dobry Magloire, rzekła doń Weronika, jutro poproszę cię, ażebyś mnie zaprowadził do jasnowidzącej przy ulicy Zwycięztwa.

— Jeżeli nie pomoże, to i nie zaszkodzi, odparł mańkut. Zjemy śniadanie i pojedziemy do Paryża.

I Magloire pożegnał się ze swemi protegowanemi.

* *
*

Smutna wiadomość miała nazajutrz zrana przeszkodzić wykonaniu tego projektu. Magloire otrzymał z Point d'Ain list, na którego widok serce mu się ścisnęło smu-

tnem przeczuciem. W tej miejscowości mieszkała jego matka, a ona nie umiała pisać. Drżącemi rękama otworzył list. Zawierał tylko te wyrazy:

„Matka pańska jest chora. Wzywa pana. Przyjeżdżaj pan do niej natychmiast“.

Nazwisko, podpisane pod listem, było nieznane Magloirowi, ale nie mógł wątpić w szczerość listu. Pot zimny zwilżył mu skronie. Czyżby żałoba spaść miała i na niego? Przerażony tą myślą, zacny mańkut nie wahał się ani chwili. Trzeba było jechać.

Pociąg odchodził o godzinie drugiej minut czterdzieści pięć po południu. Czas więc miał na śniadanie, ale nie zdążyłby już zaprowadzić pani Sollier do magnetyzera O'Briena. Dlatego postanowił uprzedzić ją o swym raptownym wyjeździe, ażeby nań nie czekała. Nie tracąc ani minuty, pobiegł do niej i opowiedział, co zaszło.

— Na szczęście, mogę być spokojny o was, dodał mańkut, który, pomimo zmartwienia nie przestawał się interesować swemi drogiemi protegowanemi. Po przyjeździe do Pont-d'Ain, zaraz do was napiszę. Proszę was tylko o to, ażebyście się nie trapiły moją nieobecnością, i nie zanadto się nudziły. Cokolwiek się stanie, ja wkrótce powrócę, i dałby Bóg, aby nie z żałobą.

Biedna Weronika miała łzy w oczach.

— Bądź spokojny, mój dobry Magloire, odezwała się Marta, całując dawnego żołnierza marynarki, babunia nie będzie się nudziła! Już ja w tem będę. Nie dam jej być smutną, i jeżeli zechce, będziemy zarabiali podczas twojej nieobecności. Ja wiem już, gdzie się cho-

dzi. Babcia jest dość silna do obwożenia ze mną twojej katarynki. Odwiedzimy razem twą najlepszą klientelę, ażeby nie zapomniała o tobie. Ja grać im będę twoje piękne melodje i śpiewać najładniejsze piosenki, jakie umiem. Cóż ty na to, mój dobry Magloire?

— Ja powiem, że to doskonała myśl i jeżeli wycieczki nie będą zbyt długie, staną się wyborną rozrywką dla pani Sollier.

— A widzisz, babciu, że Magloire przytakuje mi! zawołała Marta. Wszak chcesz, babciu?

— Zrobię wszystko, co zechcesz, pieszczotko, będziesz mnie oprowadzała.

— To dobrze. Kiedy się zatrzymamy przed jakim domem, ty, babciu, będziesz kręciła korbą, a ja będę śpiewała, mnie teraz już znają we wszystkich miejscach, gdzie chodziłam z przyjacielem Magloirem. Będziemy mieli ładne zarobki i podzielimy je na dwie części, tak jak on robił. Połowa dla niego, połowa dla nas! A co, dobrze?

Mańkut, bardzo wzruszony, objął dziecko lewem ramieniem i przycisnął do serca.

— A teraz chodźcie ze mną na śniadanie, rzekł następnie, muszę się śpieszyć, a po moim odjeździe, pójdzie pani do magnetyzera, skoro pani chce.

— Tak, muszę iść i pójdę! odpowiedziała Weronika.

Udał się do restauracji, gdzie pani Aubin dowiedziała się ze szczerem zmartwieniem o odjeździe Magloira. O godzinie pierwszej opuścił Weronikę i Martę, przygotowujące się do pójścia na ulicę Zwycięztwa.

*   *
*

Około godziny dziesiątej Robert Verniere i jego pasierb przybyli do Saint-Ouen, dla zobaczenia, jak idą roboty, i dla wydania rozporządzeń.

Wszystko postępowało zadziwiająco szybko. Za dwa tygodnie można będzie otworzyć warsztaty odbudowane i fabryka nabrałaby życia.

Robert postarał się o pozostanie sam na chwilę z Klaudjuszem Grivot, który go zapytał:

— Czy zależy panu pryncypałowi na zobaczeniu się z doktorem O'Brienem?

— Tak, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Ztąd pojadę do Paryża, ażeby wyszukać jego adresu.

— Oto jego adres: Ulica Zwycięztwa Nr. 42 b.

Robert zapisał adres w notatniku.

— Czy pan dziś pojedzie? zapytał Grivot. Nie byłoby nic w tem dziwnego, gdyby się pan spotkał u magnetyzera z panią Sollier.

— Ona u O'Briena! drgnąwszy zawołał Robert.

— Tak, stara się nie tracić czasu.

— Jadę natychmiast.

Robert pośpiesznie opuścił ulicę Hordoin i na placu merostwa wsiadł do tramwaju. Wysiadł na placu Havru, wziął dorożkę i kazał się wieźć na ulicę Zwycięztwa. Szybko pociągnął za dzwonek.

Powiedzieliśmy, że po zerwaniu z baronem Schwartzem, O'Brien pożegnał personel niemiecki, który zatrudniał i który się składał z podrzędnych szpiegów. Pozostawił przy sobie tylko jednego Pomerańczyka, któremu, jak mniemał, mógł zupełnie zaufać. Ten właśnie Pomerańczyk, w liberji szwajcara z ministerjum, otwo-

rzył Robertowi Verniere.

— Czy jest doktor O'Brien? zapytał.

— Pan doktor jest u siebie, rzekł. Racz pan pójść za mną.

Brat Ryszarda został wprowadzony do gabinetu a lokaj poprosił o bilet wizytowy, bez którego nie mógłby być wpuszczony.

Niemiec rzucił oczyma na tę kartę i wyczytał: Robert Verniere. Rozśmiał się po cichu.

— Do djabła! twarz mi jest znana! To ten jegomość, którym się tak zajmowano i zajmują się jeszcze teraz na ulicy Verneuil. Dobrze o tem wiedzieć...

Rzeczywiście, jeżeli O'Brien spodziewał się wizyty, to z pewnością nie Roberta, którego przed kilkoma jeszcze tygodniami miał śledzić nieustannie. Po co przychodził do niego człowiek, którego baron Wilhelm Schwartz podejrzewał o odegranie roli bardzo ważnej, jeżeli nawet nie pierwszej w zbrodniach w Saint Ouen?

Włożył bilet do kieszeni i poszedł do Roberta.

— Drogi panie Verniere, co za niespodzianka! rzekł, idąc do bratobójcy i podając mu obie ręce. Prawdziwie niespodziewana wizyta! Więc jesteś pan w Paryżu. Nie wiedziałem.

— Jestem tu od kilku tygodni, kochany doktorze, odpowiedział Robert, wezwany zostałem w bardzo smutnych okolicznościach.

— Kłopoty?

— Więcej niż kłopoty. Głębokie zmartwienie. Śmierć mego brata.

— A tak, tak, rzekł Amerykanin, zawsze niedowie-

rzający. Słyszałem o tem. Zamordowany, nieprawdaż?

— Tak, zamordowany, zrabowany, zrujnowany zupełnie, córkę pozostałą bez środków, przygarnęła żona moja. Mieszkamy teraz w Paryżu i nie opuścimy go już. Kazałem odbudować fabrykę mego biednego brata, dzięki kapitałom, których zechciała mi dostarczyć moja żona, i będę tą fabryką kierował, mając za wspólnika mego pasierba, hrabiego Filipa de Nayle...

— To jesteś pan na czele doskonałego interesu!.. Wspaniałe stanowisko! Tem lepiej! Cieszę się szczerze, gdyż byłeś pan dla mnie zawsze sympatycznym, a dotąd prześladowało cię zawsze niepowodzenie. Raz jeszcze winszuję panu. Ponieważ szanse uśmiechają się panu, to z nich korzystaj, ale pozwól mi dać dobrą radę, nie nadużywaj ich.

— Będę korzystał bez nadużywania! Teraz jestem rozważniejszy!

O'Brien, jak wiemy, aż dotąd nie chciał uwierzyć, ażeby Robert Verniere był mordercą swego brata, i wydawało mu się, że podejrzenia Wilhelma Schwartza są niedorzeczne. Nagły zwrot nastąpił w jego myślach. Fałszywą mu się wydała mina stroskana i ton płaczliwy Roberta. Dziwne mu było, że dawny szpieg na żołdzie pruskim powrócił tak prędko do Paryża, a zwłaszcza, że odbudowywał fabrykę, dla objęcia nad nią kierownictwa. Robert dodał, że ta odbudowa jest możebną dzięki szczodrobliwości żony. Pomimo to głuche podejrzenie obudziło się w umyśle magnetyzera. Poczem prosząc przybyłego, ażeby usiadł rozpoczął:

— Kochany panie Verniere, czemu przypisać mam

przyjemność, że pana u siebie oglądam po tak długiem niewidzeniu.

— Przychodzę pana prosić o objaśnienie, ale przedewszystkiem, przyrzecz mi pan, że mi dasz odpowiedź szczerą.

— Z całą chęcią.

— Nawet gdyby szło o tajemnicę zawodową?

O'Brien lekko się skrzywił.

— W takim razie, odpowiedział, powinieneś pan zrozumieć, że nie mogę się tak lekko zobowiązywać.

— Nie bawmy się w ogólniki, nie mówię tu ani o sekretach pańskiej myśli, ani pańskiego sumienia, tylko o tajnikach wiedzy, której jesteś jednym z mistrzów.

Amerykanin spojrzał na Roberta ze ździwieniem.

— Wytłomacz mi pan jaśniej, ja nie rozumiem.

— Zaraz się wytłomaczę. Ile jest prawdy w magnetyzmie, w sonambulizmie, w hypnotyzmie?

— Dziwne pytanie! Wszystko jest prawdą, lub wszystko jest fałszem. Prawdą jest, jeżeli się ma do czynienia z człowiekiem uczciwym i sumiennym. Fałszem jest, gdy się kto znajdzie wobec szarlatana.

— Co za znaczenie ma magnetyzm, w zastosowaniu do sonambulizmu?

— Jest to poprostu oddziaływanie strony moralnej na fizyczną. Nie chcesz pan zapewne, ażebym ci wygłosił prelekcję o tym przedmiocie, byłoby to ze długo. Dowiedz się pan tylko, że wpływ, o którym mówię, może być wywierany szczególnie na osobniki nerwowe, na neuropatów, gdyż system nerwowy ma pierwszorzędne znaczenie.

Hypnotyzm i sonambulizm w zastosowaniu do medycyny ma tak widoczne skutki lecznicze, że nawet niedowiarkowie najwięksi nie śmią temu zaprzeczyć...

— Ja nie o sonambulizmie w zastosowaniu do medycyny chcę mówić, przerwał Robert.

— Więc o wzroku podwójnym osobnika uśpionego? Bardzo dobrze. Wytłómacz mi pan myśl.

— Jeżeli pan osobie, uśpionej snem magnetycznym, powiesz: „Chcę wiedzieć, co się działo tego a tego dnia, o tej godzinie i w tem miejscu,“ czy może panu, odpowiedzieć?

— A! rzekł O'Brien z uśmiechem, wchodzimy w zakres magnetyzmu Cagliostra.

— Odpowiedz mi pan

— Więc odpowiadam panu tak, pod warunkiem ażeby osobę tę uśpić w miejscu, gdzie te fakty się odbyły, albo połączyć ją bezpośrednio z osobą, której czynności chce się poznać.

— A jakże wytworzyć to połączenie?

— Kładąc do ręki osobnika przedmiot, który należał do tamtej osoby.

Mówiąc to, O'Brien wlepiał oczy w twarz Roberta, którego wypytywania wzmagały jego podejrzenia.

— Zatem, rzekł gorączkowo brat Ryszarda Verniere, jeżeli zbrodniarz zgubiłby jaki przedmiot na widowni zbrodni, to czy pański osobnik, mając ten przedmiot w ręku, mógłby w śnie magnetycznym wskazać człowieka, do którego należał przedmiot?

— A nawet odtworzyć we wszystkich szczegółach scenę zbrodni, tak, sto razy tak!

— Takie jest pańskie przekonanie?

— Więcej niż przekonanie, to moja pewność, ugruntowana na doświadczeniu osobistem i na faktach niezaprzeczalnych. Dodać winienem, że dla otrzymania takich rezultatów potrzeba, ażeby magnetyzer rozporządzał osobnikiem arcy wrażliwym i sam, tak jak ja, obdarzony był nieprzepartą władzą magnetyczną; a te dwie właściwości zdarzają się razem bardzo rzadko.

Robert otarł chustką czoło i wyjąkał:

— Więc gdyby dziś kto panu wręczył przedmiot, zapomniany na widowni zbrodni przez zbrodniarza, człowiek ten byłby na łasce pana?

— Bezwątpienia, ale wiadomo panu, że gdy nauka postępuje krokiem olbrzyma, sprawiedliwość idzie krokiem żółwim. Dla niej odkrycia jasnowidzącej nie są pewnikami. Nie przyjmuje ich.

— W pewnym jednak razie mogłaby je przyjąć.

— Być może, ale, dodał O'Brien z uśmiechem, ponieważ pan mnie pyta i ponieważ przyrzekłem panu zupełną szczerość, dodam, że zbrodniarz niepotrzebnie by się obawiał, jeżeli nie policji i sądu, to przynajmniej wiedzy magnetycznej.

— Dlaczego?

— Bo wszystkie tak zwane jasnowidzące, które się znajdują w tej chwili w Paryżu, nie odpowiedziałyby wcale albo odpowiedziałyby banialukami, gdyż są jasnowidzące tylko na afiszach.

— To znaczy, że pańscy koledzy?..

— Są szarlatani, żyjący z łatwowierności ludzkiej.

— A gdyby kto przyszedł tutaj, do pana?

— Byłoby to samo.

— A przecież nie jesteś pan szarlatanem?

— Zapewne! Ale, powtarzam panu, żeby osiągnąć rezultaty, o których pan mówisz, potrzeba magnetyzera, obdarzonego pierwszorzędną władzą magnetyczną i osobnika, prawdziwie jasnowidzącego. Magnetyzer istnieje, to ja, ale osobnika brak!

— Więc pańska jasnowidząca?

— Ewa Mariani jest piękną dziewczyną, bardzo inteligentną, odgrywa swą rolę z rzadką doskonałością, daje mi odpowiedzi, jak wielka komedjantka, ale mało jest podatna magnetyzmowi. Nie bój się pan o swe b e z p i e c z e ń s t w o.

O'Brien z przyciskiem wymówił ostatnie wyrazy.

Robert się zatrząsł.

— Moje bezpieczeństwo! powtórzył głosem drżącym, pojmując, że przestrachem zdradził się przed Amerykaninem. To co pan przypuszczasz?..

— Ja nie przypuszczam, jestem pewny! Czy masz mnie pan za głupca? Ten przedmiot, który się zarzucił na placu zbrodni, a którego się obawiasz, to pan zgubiłeś w fabryce w Saint-Ouen, w nocy z 1. na 2. stycznia.

— Milcz pan, milcz, wyjąkał bratobójca, drżąc całem ciałem.

— Nie lękaj się pan niczego. Tu mnie nikt nie może słyszeć.

— Mylisz się pan, przysięgam!

Magnetyzer wzruszył ramionami.

— Nie trudź się pan z zaprzeczeniem, wyrzekł na-

stępnie, byłyby to daremne słowa. Czy chcesz pan dowodu? Znajdowałeś się pan w Paryżu od 28 grudnia roku zeszłego, układając swój projekt. We wtorek 1. stycznia, o godzinie kwadrans na siódmą, wziąłeś pan na dworcu kolei północnej bilet pierwszej klasy do Berlina, udając w ten sposób alibi. Z dworca poszedłeś pan do fabryki, zkąd, po przeprowadzeniu do skutku swego pięknego zadania, udałeś się pan innym pociągiem do Berlina, gdzie stanąłeś nazajutrz wieczorem.

Robert był przygnębiony.

O'Brien z szyderstwem na ustach ciągnął dalej:

— Widzisz pan, że wszystko jest wiadomem.

— Ależ, wyjąkał bratobójca, nie myśląc już nawet o zapieraniu się, jakże się, pan dowiedziałeś?

— Zapewne piękna byłaby sposobność do odpowiedzenia panu, że to mi jasnowidząca odkryła, a pan niezawodniebyś uwierzył. Ale po co miałbym się bawić w szarlatanizm z panem, jak z głupcami paryskimi? Wolę z panem grać w otwarte karty. Byłeś szpiegowany. I to z bardzo blizka.

— Przez kogo?

— Przez wywiadowców ambasady niemieckiej.

Robert drżał całem ciałem.

— Ja broniłem pana, jak mogłem najlepiej, ciągnął dalej Amerykanin. Przed miesiącem miałem jeszcze stosunki z biurem wywiadowczem ambasady, jak za pańskich czasów w Berlinie.

— To zgubiony jestem, ponieważ wiedzą o wszystkiem! zawołał Robert, zapominając się zupełnie.

— Nie, ponieważ tak zręcznie broniłem pańskiej sprawy, że doprowadziłem barona Wilhelma Schwartza do wątpienia o rzeczywistości, lecz pan się zgubisz niechybnie, jeżeli nie zapanujesz nad sobą, jeżeli będziesz wyglądał tak pomieszany! Dzięki mnie, podejrzenia barona są silnie zachwiane, prawie zniszczone, on prawie jest przekonany, że agenci jego zeszli na manowce, ale nie dowierzaj, miej się wciąż na baczności i pamiętaj, że baron Schwartz, ożywiony piękną gorliwością, postara się o wszelką sposobność, ażeby cię zgubić. A kiedy kto szuka, to i znajduje.

— A cóż on ma przeciw mnie?

— Przeciw panu osobiście nic. Bodźcem dla niego jest patrjotyzm. Baron jest przekonany, że gubiąc pana, stanie się użytecznym dla swego kraju. W sztabie jeneralnym, boją się pana. Słusznie czy nie słusznie sądzą, żeś pan pochwycił różne tajemnice ich uzbrojeń, i boją się, ażebyś pan nie wydał tych sekretów Francji, gdyby minister wojny i marynarki zaofiarowali za nie dobrą cenę.

Robert zaprzeczył gestem. O'Brien ciągnął dalej:

— Mówiąc to wszystko, wykazuję panu jasno, że pozostałem twoim przyjacielem, nieprawdaż, i że chodzi mi o to, ażeby się panu nie przytrafiło nic złego? Dlaczego? Może dlatego, że nienawidzę Prus, a może dla innych powodów! to najgłówniejsza, ażebyś pan wiedział, że cię nie zdradzę. Jesteś pan odważny, tak jak i ja, również bez skrupułów, jak ja; również jak ja, nie cofający się przed niczem, to stworzyło węzeł między nami. Kiedyś opuszczę Paryż i Francję, ażeby

próbować szczęścia w wielkich miastach europejskich, ale do czasu mego wyjazdu możesz pan na mnie liczyć zupełnie.

— Jak pan możesz liczyć na mnie, wyrzekł Robert, ściskając rękę magnetyzera. Pomimo to wszystko jednak boję się jeszcze.

— Czego się pan nadewszystko boisz?

— Przedmiotu, który pozostawiłem bezwiednie w ręku kobiety, z którą walczyłem. Przedmiot ten obwiniać mnie będzie zawsze i może się stać kiedyś dowodem rzeczowym, przygniatającym.

— Cóż to za przedmiot?

— Brelok, który się zerwał z mego łańcuszka od zegarka; stanowił on pieczątkę.

— I może z pańskiemi cyframi?

— Nie, nie z mojemi, tylko z cyframi pierwszego męża mojej żony.

— A! do djabła! Czy ten brelok oddany został sędziemu śledczemu?

— Tak, lecz on oświadczył, że to go nie naprowadzi na żaden ślad.

— Więc co panu na tem zależy?

W tej chwili dwa razy zapukano do drzwi saloniku.

— Proszę, rzekł O'Brien.

Drzwi się otworzyły i wszedł Pomerańczyk.

— Druga wybiła, panie doktorze, odezwał się, w poczekalni niecierpliwi się dużo osób, między innemi stara niewidoma, przyprowadzona przez dziewczynkę. Przyszła pierwsza i dałem jej numer pierwszy.

Robert drgnął. To drgnięcie, chociaż lekkie, nie u-

szło uwadze magnetyzera.

— Czy panna Mariani jest w gabinecie porad?

— Jest, panie doktorze.

— To dobrze, zaraz idę.

Pomerańczyk oddalił się.

— Kobieta, z którą pan walczyłeś w nocy z 1. na 2. stycznia, to ta stara niewidoma, nieprawdaż? podchwycił O'Brien, zwracając się do Roberta.

— To ona! zawołał tenże. Sędzia śledczy pozostawił jej brelok, który wydarła mi podczas walki, z brelokiem tym przychodzi się radzić jasnowidzącej. Dwadzieścia pięć tysięcy franków dla ciebie, doktorze, jeżeli, wychodząc ztąd, nie zabierze z sobą breloku.

— Dwadzieścia pięć tysięcy franków gotówką?

— Tak i pięćdziesięt tysięcy, jeżeli ta kobieta nie będzie już w stanie mi szkodzić!

— A więc poprostu żądasz odemnie pan wspólnictwa! wyrzekł O'Brien z jak największym spokojem.

— Ja pana proszę o wybawienie.

— Uczynię, co będzie zależało odemnie. Zaczekaj pan na skończenie porady.

— A ja czy mógłbym słyszeć tę poradę?

— Możesz pan, zostając tutaj i słuchając za temi drzwiami, odparł magnetyzer, wskazując drzwiczki, prowadzące z jego gabinetu do sali porad magnetycznych, zasłoniętych ciężką portjerą, ale niech ani poruszenie, ani nawet oddech nie zdradzi pańskiej obecności.

Otworzył drzwi, których umyślnie nie zamknął szczelnie, i wszedł do sali, gdzie się już znajdowała

panna Ewa Mariani, gotowa do odegrania codziennej komedyjki, w której celowała, jak wiemy.

* * *

Robert, uniósłszy ciężką portjerę, wślizgnął się między nią i drzwi, drżąc, z nadstawionem uchem, z sercem ściśniętem jak kleszczami.

Sala porad wyglądała osobliwie. Oprócz fotelu, postawionego na estradzie, na którym siedziała mniemana jasnowidząca, dla wydania swych wyroczni, stały jeszcze liczne krzesła, przeznaczone dla klientów.

Na stole, w tym celu przeznaczonym obok estrady, znajdowały się różne przedmioty. Lampa magnezjowa, której łodyga wysuwała się i zniżała dowolnie, kilka karafek kryształowych, małe słoiki szklane, zawierające produkty farmaceutyczne, dla stosowania suggestji hypnotycznych, kilka hypnoskopów ze stali niklowanej.

Doktor przyszedł do panny Mariani, która nań czekała, poziewając.

— Każesz mi być punktualną, a sam się spóźniasz! rzekła doń kwaśno.

— Cicho bądź i słuchaj, rzozkazał. Zaraz zaczniemy. Przyjdzie tu ktoś, którego muszę bardziej uwikłać w sieci. Ty bardziej, niż zwykle, udawaj, że walczysz ze snem. Muszę się namyślić.

— Dobrze, odpowiedziała. I usiadła na fotelu.

Ze swego stanowiska Robert Verniere nie tracił ani słowa z tego, co się mówiło w pokoju sąsiednim.

O'Brien nacisnął guzik dzwonka elektrycznego.

Natychmiast ukazał się Pomerańczyk.

— Wprowadź numer pierwszy, rozkazał.

Po chwili przekroczyła próg pani Sollier, którą Marta prowadziła za rękę.

Wchodząc do sali, powleczonej na czerwono, i którą światło z zewnątrz, tamowane roletami czerwonemi, oświetlało w sposób fanstastyczny, dziecko, zdjęte dreszczem, zatrzymało się i przycisnęło do babki.

O'Brien zauważył wrażenie, sprawione na małej dziewczynce dziwactwem obicia i umeblowania.

— Zbliż się, moja mała, rzekł głosem bardzo łagodnym. Nie bój się i przyprowadź bliżej osobę, z którą przyszłaś, bo zdaje się, że ona niewidoma?

— Tak, panie, odpowiedziała Weronika.

— Doktor ujął panią Sollier za rękę i zaprowadził aż do fotelu o dwa kroki na estradzie, gdzie panowała panna Mariani, przybrana w rodzaj peplonu z białej materji.

Posadził ją.

Marta, bardzo prędko uspokojona, usiadła na pierwszym schodku estrady i ztamtąd wzrokiem ciekawym rozejrzała się po sali, przyglądając się każdej rzeczy, aż wreszcie utkwiła oczy w twarz jasnowidzącej.

— Czy pani jesteś ociemniałą od urodzenia? zapytał O'Brien Weronikę.

— Nie, panie.

— Odkąd pani jesteś dotknięta ślepotą?

— Prawie od pół roku.

— Czy ta ślepota następstwem jest ran, po których widzę blizny?

— Tak, panie.

— Czy chcesz pani radzić się mnie z powodu tych ran i ich następstw?

— Nie, panie.

Przez kilka sekund O'Brien przyglądał się uważnie oczom niewidomej.

— Być może jednak, że nie jesteś pani nieuleczalną, wyrzekł po tem badaniu.

— Utrzymujesz pan, że możnaby mi wzrok przywrócić? zawołała Weronika. Czyżbyś się pan tego podjął?

— Ja, nie.

— Któż więc?

— Specjaliści, dość śmiali, dla spróbowania operacji trudnej i niebezpiecznej, gdyby się nie udała.

— Niebezpiecznej dla życia?

— Tak.

— To jej nie spróbuję, choćby były widoki powodzenia. Wnuczka moja potrzebuje mnie. Ja chcę żyć.

— Czy to dla dziecka chcesz pani mej porady?

— Nie, panie.

— Więc po co pani przyszłaś?

— Ażeby pańska wiedza mną pokierowała, ażeby dała mi sposoby poznania i oddania w ręce sprawiedliwości nędznika, który zamordował mego protektora, ukradł jego majątek i podpalił dom, a którego wspólnik chciał mnie zabić i oślepił. Czy pańska wiedza będzie mogła to uczynić?

— Wiedza moja nie ma wcale granic! odpowiedział doktor z przesadą. Jasnowidząca, uśpiona snem magnetycznym, i wypytywana przezemnie, odpowie.

— To wypytuj się pan prędko i niech odpowiada!

— Ona będzie mogła uczynić to dopiero wtedy, gdy jej rozkażę spać i kiedy siłą woli mej odosobnię duszę od materji.

— To uśpij ją pan!

— Przedewszystkiem muszę pani powiedzieć, że, pomimo nieprzepartego wpływu na nią, niepodobna jej widzieć tego, co ma widzieć, jak pani chcesz, jeżeli nie zaprowadzimy łączności między nią a osobą, która popełniła zbrodnię.

— Jakże zaprowadzić tę łączność?

— Kładąc jej do rąk jaki przedmiot, który należał do tej osoby. Jeżeli nie masz pani takiego przedmiotu, to nie jest możebne.

— Mam, czego pan sobie życzysz.

I Weronika podała O'Brienowi brelok, oderwany od łańcuszka zegarka Roberta Verniere.

— Ależ, zapytał magnetyzer, udając ździwienie, w takim razie widziałaś pani tego nędznika?

— Widziałam go dwa razy.

— To go pani znasz?

— Znam go z twarzy, ale nie znam jego prawdziwego nazwiska. Gdyby nie to, czyżbym tu przyszła? Przychodzę zapytać pana o prawdziwe nazwisko nędznika.

— A ja nie będę mógł pani powiedzieć.

— Jakto? Mówiłeś pan przed chwilą, że pańska wiedza nie zna wcale granic.

— Ten wypadek jest jedynym wyjątkiem. Jasnowidząca może widzieć czyny, postępki, twarze i opisać je, ale nazwisko, rzecz niematerjalna, leży po za jej obrębem.

— Lecz pańska jasnowidząca będzie mogła mi dopomódz? Będzie mogła śledzić nędznika, w jakiemkolwiekbądź znajdowałby się miejscu, i wskazać może mi to miejsce?

— To może.

— To każ pan jej to zrobić! Pilno mi pomścić Ryszarda Verniere!

— Dobrze.

O'Brien wszedł na stopnie estrady i zbliżył się do Mariani.

— Trzeba spać! rzekł do wspólniczki, zakreślając dokoła twarzy ruchy magnetyczne. Trzeba spać i widzieć.

Powieki rzekomej jasnowidzącej zadrgały, ale nie opuściły się na oczy. Po upływie dwóch czy trzech sekund wyjąkała słabym głosem:

— Sen nie nadchodzi. Czuję się złamaną.

Magnetyzer oparł jej rękę na czole.

— Śpij! rozkazał.

Przez chwilę zapanowała wielka cisza.

Weronika czekała, przygnębiona, zaledwie oddychając. Marta śledziła z głęboką uwagą wszystkie ruchy magnetyzera i jasnowidzącej.

— Śpij! powtórzył O'Brien.

— Nie mogę, odpowiedziała Mariani tak cicho, że ledwie ją można było dosłyszeć.

Jakkolwiek cała publiczność składała się w tej chwili tylko z niewidomej i dziecka, Amerykanin nie zmieniał nic w układzie zwykłej sceny, dzięki której dowodził najmniej łatwowiernym swej władzy magnetycznej. Ociemniała nie liczyła się wcale, ale dziecko tu było. Dzieci

są z natury gadatliwe, mała dziewczynka niechybnie więc opowiadać będzie, co się działo w jej oczach w gabinecie porad. Opowiadanie jej winno zatem takie sprawić wrażenie, ażeby ze słuchaczów zwerbować mogło klientelę. Skutkiem tego podwoił ruchy, nadając twarzy wyraz rozkazujący. Kiedy ręce jego dotykały twarzy i piersi Ewy Mariani, ażeby ją otoczyć prądem magnetycznym, fałszywa jasnowidząca, odgrywająca rolę swą z doskonałością zwykłą, jakby odczuwała co chwila silne wstrząśnienie i drganie nerwowe, wstrząsające jej ciałem. Po raz trzeci wyszeptała:

— Nie mogę.

O'Brien nakazał jej to przewlekanie. Tymczasem namyślał się nad wynalezieniem sposobu, ażeby ochronić Roberta Verniere od wszelkiego niebezpieczeństwa, i przekładał niecierpliwie z ręki do ręki brelok oskarżający, który mu wręczyła ociemniała. Nie dopisywała mu wyobraźnia. Nie wpadał na żaden pomysł. Schodząc z estrady i nacisnąwszy guzik metalowy, wypuścił oślepiające światło z lampy magnezjowej. Następnie wysunął postument lampy, tak, że sięgała ona wysokości twarzy panny Mariani, i rozkazał:

— Patrz bezustannie na to świetlane ognisko!

Rzekoma jasnowidząca usłuchała, rzuciwszy spojrzenie na O'Briena, który gestem wskazał jej, że czas już odegrać komedję ze snem.

Weronika, niecierpliwa, pełna niepokoju, czekała ciągle. Mała Marta doznawała dziwnego wrażenia. Zdawało jej się, że jakby twarz jej muskał delikatny podmuch.

Zdawało jej się, że nią wstrząsa jakiś dreszcz i że ją coś unosi. Jak Mariani wlepiła oczy w błyszczący płomień drutu magnezjowego. Powieki jej zadrgały, jak poprzednio powieki fałszywej jasnowidzącej pod ruchami magnetyzera.

Upłynęły trzy czy cztery sekundy. Wreszcie Mariani wydała się pokonaną. Górna część ciała unieruchomiła się w pozie bezwładnej i oczy zamknęły się zwolna.

— Czy śpisz? zapytał O'Brien.

Głosem zmienionym wyszeptała: Spię.

Pani Sollier usłyszała to.

— Więc ona mówić będzie? zapytała żywo.

— Tak sądzę, odparł magnetyzer, i za chwilę będę tego pewny. Potem zwracając się do Ewy, wyrzekł: Czy jesteś jasnowidzącą?

— Tak.

— W jakim stopniu?

— W stopniu jak najwyższym.

— Czy wola moja panuje nad tobą?

— Mam tylko wolę twoją.

— Więc będziesz widziała?

— Będę widziała, jeżeli mi każesz widzieć.

— I będziesz mi odpowiadała?

— Jeżeli mi każesz, będę odpowiadała.

Ociemniała słuchała, zadyszana, z rękoma zaciśniętemi na poręczy fotela, na którym siedziała, starając się przeniknąć otaczające ją głębokie ciemności.

O'Brien zwrócił się ku niej.

— Przypadek pani sprzyja, rzekł do niej, nigdy je-

szcze medium nie było bardziej jasnowidzące.

— Czy mogę teraz zapytać o to, czego chciałabym się dowiedzieć? odrzekła Weronika.

— To byłoby daremne, odparł doktor.

— Dlaczego?

— Ponieważ pani winnaś mówić ze mną, a ja powtórzę zapytania pani. Najprzód jednak muszę zaprowadzić łącznik między nią i osobą, ktorą chcesz poznać.

O'Brien oparł szmaragd pieczątki na czole Ewy Mariani i rzekł do niej:

— Rozkazuję ci widzieć i rozkazuję ci odpowiadać. Do kogo należy ten klejnocik?

Odpowiedziała ale nie rzekoma jasnowidząca.

Od chwili Marta, siedząca na pierwszym schodku estrady, miała oczy dziwnie wlepione w jeden punkt, jakby patrzyła po za swoją istotę. Zaledwie magnetyzer wypowiedział te wyrazy: Do kogo należy ten klejnocik? gdy córka Germany podniosła się i głosem, jakby nie jej własnym, wyszeptała:

— Do mordercy pana Ryszarda Verniere.

— Bądź cicho, dziecko! rozkazał Amerykanin. Nie mąć tajemnic, których jesteś świadkiem, ale których nie możesz zrozumieć!

— Nie każ mi milczeć, odparła dziewczynka, a ton jej stawał się pewnym i głos stanowczym, przeciwnie, każ mi mówić, bo tylko ciało moje pozostało przy panu, dusza moja unosi się w przestrzeni, zdala od tego ciała uśpionego, a oczy moje widzą, czegoby oczy na jawie widzieć nie mogły.

Oszołomiony tą odpowiedzią, wyrażoną w takich sło-

wach, jakie nie mogłyby wyjść z ust dziecka w tym wieku, O'Brien szybko skierował się ku niej i badał ją uważnie.

Rzeczywistość przemawiała za siebie i Amerykanin nie mógł się mylić. Mała Marta spała snem hypnotycznym. Słyszała, widziała, jednem słowem była jasnowidzącą, jasnowidzącą, jak było nią niegdyś w Stanach Zjednoczonych pierwsze medium doktora O'Briena, dziewczę z Illinois.

I oto jaka rzecz dziwna stała się w tej sali, gdzie w braku osobnika, rzeczywiście zdolnego podlegać suggestji, odgrywała się codzień zręczna komedja, na którą dawała się brać publiczność.

Podczas gdy doktor, uciekłszy się do klasycznego kuglarstwa ruchów magnetycznych, które, jak się zdawało, żadnego nie dały rezultatu, spróbował energiczniejszego środka, lampy magnezjowej, dla uśpienia fałszywej jasnowidzącej, i gdy ta udawała, że stopniowo, powoli, ulega ogarniającemu ją snowi, Marta uczuła się owładniętą coraz bardziej prądem, który ją unosił, opanowywało ją nieprzeparte odrętwienie, a jednocześnie prąd elektryczny wstrząsał całem jej ciałem.

Bo ona właśnie utkwiła oczy w lampę magnezjową, czuła na sobie jej skutki i spała już w chwili, gdy magnetyzer zapytał Ewę Mariani: Czy śpisz? W ciągu sekund kilku, osłupienie Amerykanina było niewysłowione. Zaledwie mógł oczom swym wierzyć.

Panna Mariani, nie rozumiejąc nic co się dzieje, opuściła swą pozę i patrzała na dziecko, które odpowiedziało zamiast niej.

O'Brien bardzo prędko odzyskał nad sobą władzę i pomyślał, czy przypadek nie pozwolił mu napotkać jednego z tych osobników tak zadziwiająco podlegających suggestji i tak trudnych do znalezienia, ponieważ, pomimo wszelkich poszukiwań, natknął się tylko na dwa w życiu, jeden w Stanach Zjednoczonych, drugi w Berlinie. Teraz należało się przekonać, czy dziecko jest rzeczywiście jasnowidzącem, czy można się było po niem spodziewać podwójnego wzroku. Trzeba było z niem spróbować doświadczenia. Chciał to uczynić natychmiast.

Weronika, zdziwiona i zaniepokojona milczeniem, które zapanowało, nagle zapytała:

— Panie, co się tu dzieje?

— Prawdziwy cud, pani, odpowiedział doktor. Moja władza magnetyczna jest tak wielka, że wywiera wpływ nawet bez mej wiedzy! Przejęta prądem, jakim jest nasycona atmosfera tego pokoju, wnuczka pani odczuła na sobie skutki. Śpi, jest jasnowidząca i to od niej samej dowiesz się pani, co chcesz wiedzieć.

— Jakto? zawołała ociemniała ze zgrozą. Marta jest jasnowidząca? Może wiedzieć, czego pan nie wiesz?

— Tak.

— Ale, rzekła pani Sollier głosem drżącym, ten sen przestrasza mnie. Jak długo on trwać będzie?

— Sekundę tylko, jeżeli pani zechcesz, mogę wnuczkę pani obudzić natychmiast, wystarczy jeden gest. Dlaczego jednak nie doprowadzić doświadczenia do końca, ponieważ dziecku nie grozi żadne niebezpieczeństwo?

— Tak pan twierdzisz? Jeżeli tak jest, wyszeptała niewidoma, wybadaj ją, zgadzam się.

W tej chwili O'Brien z szarlatanina, do jakiego się zniżył, stał się znowu prawdziwym uczonym. Zapomniał zupełnie o Robercie Verniere i o strasznym powodzie, który doń sprowadził panią Sollier. Teraz myślał tylko o tem, ażeby się przekonać o stopniu jasnowidzenia dziecka.

Robert, z czołem spoconem, drżący, z gardłem ściśniętem, nie widział nic; lecz słyszał wszystko. Przez chwilę miał chęć wejść do sali porad, wyrwać z rąk magnetyzera brelok, który powierzyła mu pani Sollier, i uciec z nim. Lecz przestrach go paraliżował.

O'Brien, stojący obok Marty, położył jej rękę na głowie. Doświadczenie miało być rozpoczęte.

— Śpisz? zapytał.

— Tak, śpię, wyszeptało dziecko, nieruchome, z oczyma szeroko rozwartemi, jednak bez wejrzenia.

— Chcesz mi być posłuszną i odpowiadać?..

— Chcę.

— To rozkazuję ci myślą iść do Saint Ouen.

— Myśl moja jest w Saint-Ouen.

— W jakiej miejscowości?

— W pokoju, w którym babcia i ja mieszkamy, u pani Aubin.

— Czy w tym pokoju jest zegar?

— Tak, kukułka, zawieszona na ścianie.

— Czy chodzi ta kukułka?

— Tak, słyszę wyraźnie tyk... tak...

— Którą wskazuje godzinę?

— Trzecią.

O'Brien spojrzał na zegarek. Tak samo jak kukułka w Saint-Ouen wskazywał godzinę trzecią.

— Jasnowidzenie cudowne! wyszeptał. Potem podchwycił głośno: Opuść ten pokój i przenieś się do spalonej fabryki pana Verniere.

W ciągu sekundy czy dwóch, rysy Marty się ściągnęły. Widać było, że mózg czyni wysiłki, ażeby być posłusznym suggestji. Wkrótce skrzywienie twarzy znikło.

— Jesteś już tam? zapytał O'Brien.

— Jestem.

— Co widzisz?

— Robotników. Bardzo wielu robotników.

— Co robią?

— Pracują nad obudowaniem fabryki.

— Spojrzyj w przeszłość. Cofnij się aż do nocy pożaru...

Twarz Marty zmarszczyła się znowu.

— Czy widzisz? podchwycił doktor.

— Nie... Nie mogę.

— Rozkazuję ci widzieć.

Chwila milczenia. Potem dziecko zawołało:

— O! widzę. Widzę...

— Co?

— Płomienie... ogień wszędzie... otacza mnie.

Marta wydała okrzyk zgrozy i zaczęła drżeć całem ciałem.

— Nie masz się czego obawiać, zabraniam ci się bać! rzekł O'Brien.

Wszelki ślad przestrachu zniknął.

Usłyszawszy krzyk, wydany przez wnuczkę, Weronika drgnęła od stóp do głowy.

— Obudź ją pan, obudź ją, wyrzekła głosem błagalnym. Ona cierpi...

— Myli się pani, ona nie cierpi, przysięgam pani, zaraz będziesz miała dowód. Potem zwracając się do dziecka, zapytał: Czy cierpisz?

— Nie, ponieważ zabroniłeś mi się bać.

— Więc popatrz na pożar i powiedz mi, czy widzisz kogo wśród płomieni?

— Nie widzę nikogo.

Magnetyzer oparł na czole Marty pieczątkę Roberta Verniere.

— Przyjrzyj się lepiej, rozkazał, a zobaczysz tego, do kogo należy ten brelok.

Dreszcz nerwowy wstrząsnął Martą od szyi do pasa.

— Tak, tak, widzę go, rzekła, widzę mężczyznę.

— Opisz go.

— Wysoki, brunet, sporą ma brodę, ma na sobie torbę, przewieszoną przez ramię.

— Co czyni?

— Wychodzi z palącego się domku.

— A teraz?

— Walczy z kimś, z jakąś kobietą, której twarzy nie widzę. Ta kobieta pada, on odchodzi, już go nie widzę.

— Idź za nim.

— Nie mogę.

— Rozkazuję ci iść za nim i nie opuszczać go, dokądkolwiek pójdzie.

— Widzę go znowu, jest już daleko... na drodze... która skręca... zatrzymuje się...

— Gdzie?

— Przy domu, oświetlonym w nocy... A! to dworzec kolejowy... wchodzi tam... znika..

— Idź za nim ciągle.

— Widzę go, samego w wagonie pociągu, pędzącego szybko... szybko...

— Co czyni?

— Liczy pieniądze, wyjęte z torby otwartej... dużo pieniędzy... banknoty...

O'Brien, oddany cały swemu doświadczeniu, przypomniał sobie raptownie o Robercie, którego jasnowidzenie dziecka mogło narazić na niebezpieczeństwo i powiedział sobie, że już dość daleko posunął suggestję.

Marta we śnie ścigała dalej bratobójcę.

— Powraca... powraca... rzekła nagle, widzę go.

— Gdzie? zapytał Amerykanin.

— Tam, on jest tam, odpowiedziała, wyciągając rękę ku drzwiom, po za któremi znajdował się Robert.

Pot zimny zrosił skronie O'Briena.

Gdyby Weronika nie była niewidomą, to słowa i ten gest byłyby dostateczne, ażeby zgubić brata Roberta.

Magnetyzer zachował całą przytomność umysłu.

— Nie powinnaś go widzieć, odparł rozkazująco.

— Już nic nie widzę, wyszeptało dziecko ulegle. Tego było dość. Magnetyzer położył rękę na skroniach małej dziewczynki, palce oparł na szyi i muskając, otrzymał pożądany skutek. Marta krzyknęła, i zdjęta gwałtownym atakiem nerwowym, przewróciła się w tył,

bełkocząc słowa bez związku, oraz wydając głuche jęki.
Niewidoma podniosła się przerażona.

— Wnuczka moja, zawołała głosem złamanym, rzucając się w stronę, zkąd dawały się słyszeć jęki Marty.
Nogi jej potknęły się o ciało dziecka, ciskającego się na dywanie, zaścielającym estradę. Uklękła przy Marcie i otoczyła ją ramionami.

— A! biada panu, jeżeliś zabił moje dziecko! zawołała przerażona i grożąca.

— Jej wcale nie grozi niebezpieczeństwo, odpowiedział O'Brien, zwyczajny atak, który powinienem był przewidzieć przy naturze tak nerwowej. Za kilka sekund uspokoi się zupełnie, ale nie radzę jej powtórnie usypiać, gdyż drugi atak mógłby ściągnąć dla życia jej wielkie niebezpieczeństwo.

Jęki stały się coraz słabszemi, aż ustały zupełnie. Marta obudziła się ze snu magnetycznego.

— Babuniu, odezwała się. Czy to się już skończyło?... Czy ci odpowiedziano?

— Ależ to ty, moja droga, odpowiadałaś mi. Nie dowiedziałam się jednak nic takiego, od ciebie, coby mogło mną kierować, a ty o mało co nie umarłaś.

— Ja odpowiadałam? zapytała Marta ździwiona.

— Tak, zasnęłaś. Przypominasz to sobie.

— Dziecko nie może nic pamiętać, przerwał magnetyzer, napróżno byłoby je męczyć wypytywaniami. Jeżeli chcesz pani ciągnąć dalej posiedzenie i wypytać moją jasnowidzącą, do czego masz prawo, zaprowadzę pani wnuczkę do innègo pokoju.

— Nie, nie, panie, odparła żywo niewidoma, na

dziś dość tego, przyjdę innym razem, przyjdę bez niej. Chodźmy, moja droga.

Weronika prowadzona przez dziecko, miała już skierować się ku drzwiom, gdy wtem zatrzymała się:

— Zechciej mi pan oddać klejnot powierzony.

— Oto jest, odpowiedział O'Brien.

I włożył jej do ręki pieczątkę Roberta. Następnie nacisnął dzwonek.

Ukazał się Pomerańczyk.

— Odprowadź panią, rozkazał Amerykanin, i nie wprowadzaj następnego numeru dopóki ci nie każę.

Ewa Mariani znalazła się sama z doktorem.

— To dziecko, rzekł do niej, da nam majątek. Do roku będziemy mieli pieniędzy aż do zbytku!

— Pojmuję twój projekt, ale doprowadzić go do skutku nie tak łatwo!

— Jestem zdania poety francuskiego: Zwycięztwo bez niebezpieczeństw to tryumf bez chwały! My odniesiemy tryumf pełen chwały! Za chwilę powróce, czekaj.

VI.

O'Brien powrócił do gabinetu, gdzie zastał Roberta, zgnębionego, leżącego na fotelu. Na widok magnetyzera, podniósł się i poszedł na jego spotkanie.

— Pieczątka? spytał go zdławionym głosem.

— E! co tam pańska przeklęta pieczątka, odparł Amerykanin, wzruszając ramionami. Czyż mogę ją zabrać przemocą? Ślepa musi ją odnieść sędziemu śledczemu, który ją powierzył jej. Gdybym nie zechciał

był jej oddać, coby się było stało? Byłaby powiedziała, w czyjem ręku ją zostawiła mimowoli. Wtedy miałbym u siebie policję, badanie, oskarżenie o wspólnictwo. Byłby to najkrótszy sposób do zgubienia się razem! Nie! nie! nie jestem tak głupi! Pani Sollier ją zabrała, odda ją komu z prawa należy i wszystko się skończy.

— Sądzisz pan, że nie opowie tego co się tutaj stało! zawołał Robert. Inny magnetyzer będzie mógł uśpić dziewczynkę, jak pan uczyniłeś, i ona mnie zgubi, jak o mało nie uczyniła tego u pana.

— Zdaje mi się, że skoro wszystko pan słyszałeś, powinienbyś zrozumieć, że ja zapobiegłem temu.

— W jaki sposób?

— Babce bardzo zależy na życiu dziecka, aby się zgodziła na drugie doświadczenie, a ja oświadczyłem jej, że dziecko przy nowem uśpieniu mogłoby być zabite! Widzisz więc pan, że z tej strony nie masz się czego obawiać.

— Wcale tego nie widzę. Wszystko jest możebne, można ją nawet uśpić bez wiedzy jej babki!

— Nikt jej nie uśpi, prócz mnie, gdy będzie w mojej mocy!

— W pańskiej mocy! powtórzył Robert zdziwiony.

— Tak, niezawodnie! Muszę mieć to dziecko, którego jasnowidzenie jest cudowne i które stanie się narzędziem mego majątku.

— Porwanie?

— Kto nic nie ryzykuje, nie ma nic. Stare to przysłowie, które trzeba stosować w życiu, jeżeli kto nie chce umrzeć w biedzie. Porywając dziecko, usuwam

niebezpieczeństwo, któregobyś się pan zawsze lękał, a które dla mnie nie istnieje. Stawiaj pan mężnie czoło wszelkim burzom, a zwłaszcza tym, które mogłyby nadciągnąć z Niemiec, a ja panu zapewniam powodzenie! Śpij pan spokojnie i nie trwóż się snów.

— O! ta pieczątka, ta pieczątka! wyszeptał Robert, jakby wcale nie uspokojony.

— Ona pana ciągle zajmuje jeszcze? kto będzie mógł panu dowieść, że ona pochodzi od pana?

— Weronika Sollier. Słyszałem od pana, że jej wyleczenie nie jest niemożebne.

— Tak, ale dodałem, że operacja bardzo niebezpieczna może narazić jej życie, na co ona odpowiedziała, że chce żyć i że dlatego nie poddałaby się operacji. Nabierz więc pan otuchy! Głowa do góry! Ja tylko znam pańską tajemnicę i możesz pan być pewny, że nie będę się nią posługiwał przeciw panu.

— Jedno pytanie. Czy wnuczka ślepej może teraz pamiętać, co się działo przed chwilą?

— Ona nie może nic pamiętać. Po obudzeniu, zapomniała o wszystkiem.

— A więc w dniu, kiedy zniknie to dziecko, które o mało co nie zgubiło mnie, dam panu sto tysięcy franków.

— To przygotuj pan już te sto tysięcy franków.

— Ale pan jesteś znany i wszędzie, gdzie będziesz się popisywał tem dzieckiem, zauważą cię i będą mogli aresztować.

— Dziecko nie będzie się wcale pokazywało publiczności. To pomysł nie mój, ponieważ należy do do-

ktora Ladame z Genewy, *) ale ja z tego pomysłu skorzystam, hypnotyzm na odległość, suggestja przez telefon. Nigdy nikt nie zobaczy cudownego medium, którego wyrocznie sprowadzać będą tłumy. Co zaś do mego nazwiska, tak łatwo mi je zmienić, jak się ucharakteryzować nie do poznania. Drwię sobie z wszelkiej policji!...

— Więc jesteś pan o siebie pewny?

— Najzupełniej. Gdzie mieszka pani Sollier?

— W Saint-Ouen, w zajeździe matki Aubin. Wczoraj wyszła ze szpitala.

— Tymczasem to mi wystarcza. Jeżeli będę potrzebował wiadomości dodatkowych, dam panu znać. Wszak pański adres w Neuilly?

— Wybrzeże Sekwany, willa Platanów.

— Dobrze. To już pozostaje w mej pamięci. Teraz, mój drogi panie Verniere, dodał Amerykanin, panu to zawdzięczam, żem poznał owo cudowne dziecko, ów mały fenomen, który mnie wzbogaci. Wymiana usług. Ja panu powiedziałem, że pan jesteś zagrożony przez Niemcy, które sądziły, że cię już mają, dzięki zbrodni w Saint-Ouen. Jakkolwiek wykazałem baronowi Schwartz głęboki nonsens oskarżenia i jakkolwiek go przekonałem, jednakże on wciąż pana śledzi. Miej się więc na baczności, ponieważ Niemcy są prawdziwymi mistrzami w pięknej sztuce gubienia ludzi, którzy ich niepokoją lub którzy im zawadzają. Dostarczyłem panu sposobu do zamknięcia ust krukom pruskim, gdyby ci czem

---

*) Zupełnie historyczne.

grożono. Pan mi dasz sto tysięcy franków, kiedy przezemnie zniknie mała Marta, którą uważasz za niebezpieczeństwo dla siebie, ja też chcę panu dać pewien papier, który wart swej ceny!.,.

O'Brien, mówiąc te wyrazy, otworzył komodę, i wyjął z głębi szuflady kopertę, ukrytą pod książkami.

Ta koperta, bardzo duża, otwarta była ostrym instrumentem w górnej części. Na pieczęci z laku czerwonego znajdywał się orzeł pruski.

Napis opiewał po niemiecku: Do Jego Ekscelencji ambasadora niemieckiego w Paryżu.

O'Brien ciągnął dalej:

— Zapewne poznałeś pan różne klucze do odcyfrowania korespondencyj, które przejęliśmy zręcznie w Berlinie, w biurze wywiadowczem głównego sztabu?

— Tak, kilka.

— List, zawarty w tej kopercie, jest cyfrowany, łatwo go pan zrozumiesz.

— Ale klucz do czytania?

— Słownik francuski.

— A! tak, rzekł Robert, to co tam nazywają kluczem małego Larousa 1874. Czy się nim wciąż posługują?

— Pomimo długiej pracy i cierpliwości, jest to jeden z najprostszych i najlepszych sposobów. List ten jest wielkiej doniosłości i daje panu przewagę nad ambasadorem. Ja zachowałem dla siebie jeszcze drugi list niemniejszej wagi. To dla nas broń wspólna, bo my między sobą mamy przymierze zaczepno-odporne! Zgoda!

— Przysięgam!

Obaj uścisnęli sobie ręce. Robert wziął kopertę i wyciągnął następujący list cyfrowany:

P. L. 515 + 6 = 670 + 23 = 245 — 9 = 132 — 1 = 672 — 11 =: 264 + 8 = 614 + 9 =: 87 + 20 =: 39 + 16 = 158 i t. d.

— Ja to przetłomaczę prędko, rzekł Robert, wkładając list do koperty, którą schował do kieszeni.

— Ja mógłbym panu to wytłomaczyć zaraz w kilku słowach, odrzekł O'Brien, z uśmiechem. Ale chcę dla pana zachować niespodziankę.

Amerykanin był iście przebiegłym. Jeżeli tak zjednał dla siebie Roberta, to dlatego, że spodziewał się później wyciągnąć z niego wszelkie zyski. Jeżeli mu dostarczał broni przeciw Prusom, to dlatego, że czuł się zupełnym panem położenia. Pewny był, że Verniere jest zupełnie od niego zależny. Trzymał go poznaną tajemnicą i trzymał go dobrze.

Bratobójca opuścił ulicę Zwycięztwa i udał się do Neuilly.

*   *
*

Weronika wyszedłszy od magnetyzera, wypytywała Martę, ażeby się dowiedzieć, czy rzeczywiście nic sobie nie przypomina z tego, co się działo w sali porad doktora O'Briena.

Odpowiedzi dziewczynki były zupełnie przeczące pod każdym względem. Nie zachowała wcale wspomnienia z krótkiego okresu snu magnetycznego.

Weronika w końcu nabrała przeświadczenia, że słynny magnetyzer jest tylko poślednim szarlatanem, który wyczytawszy w dziennikach opis potrójnej zbrodni w Saint-Ouen, nadużył jej łatwowierności i usy-

piając jej wnuczkę o mało co jej nie zabił. Wątpić zaczęła o tej mniemanej wiedzy, na którą jeszcze w przeddzień tak wielce liczyła, dla odkrycia prawdy. Jednakże nie uznała się za pobitą. Nic nie mówiąc pani Aubin o tem co zaszło w sali porad O'Briena, uprosiła Marję, ażeby ją zaprowadziła do innej jasnowidzącej, która się cieszyła pewnym rozgłosem w Saint-Cloud i w Neuilly.

Za dziesięć franków, jasnowidząca oświadczyła jej, że mordercą jest młody Włoch ośmnastoletni, który potem uciekł do Ameryki.

Zniecierpliwiona pani Sollier wyrzekła się złudzeń co do pomocy ze strony jasnowidzących.

— O pomoc trzeba prosić Boga! pomyślała. Ja nie tracę nadziei. Mordercy sami się wydadzą!

I niewidoma prosiła Marję, ażeby ją zaprowadziła do gabinetu pana Daniela Savanne. Biedna kobieta przyznała się do ujemnego wyniku swych starań i oddała brelok sędziemu śledczemu.

— Biedna pani Sollier, rzekł, widzisz, że miałem słuszność powątpiewać... Pozostaje nam tylko czekać, a więc czekajmy.

VII.

Trzy tygodnie upłynęły od czasu wyjazdu Magloira do Pont d'Ain.

Mańkut uważał sobie za obowiązek pisać do Weroniki i Marta z sercem przepełnionem radością, odczytała babce list donoszący, że matce jego już nie grozi niebezpieczeństwo, i że dzięki Niebu, może się spodziewać jeszcze długich lat życia. Zapowiadając blizki po-

wrót, prosił usilnie Martę, ażeby nie pozwoliła zapomnieć jego klinteli znanych melodyj katarynki i odbywała codzień małe wyprawy, doskonałe dla zdrowia i intratne dla ich kieszeni.

I każdego pięknego dnia Marta i Weronika wyruszyły w drogę, pchając katarynkę.

Klienci tak samo jak Magloira wypytywali niewidomą, z zajęciem jeszcze większem, i dla tej biednej kobiety rannej, ofiary swego przywiązania, szeroko się otwierały zarówno wielkie jak i małe woreczki.

Było to w miesiącu marcu. Pogoda bardzo łagodna, sprzyjała wędrówkom babki i jej wnuczki.

Marta pamiętała doskonale zwykłą drogę Magloira i nie zapomniała ani o jednym z przyjaznych domów. Uszczęśliwiona powodzeniem, wytrwale znosiła znużenie, a raczej nie odczuwała go wcale, a jednak, odkąd poddana została snowi magnetycznemu u doktora O'Briena, nerwowość jej jeszcze się bardziej wzmogła.

Od dwóch tygodni puszczona już została w ruch fabryka pod firmą: Robert Verniere i C-ie. Mularze, cieśle, stolarze, ślusarze ustąpili miejsca robotnikom, prawie tym samym, co i dawniej, którzy wzięli się znów do pracy, przerwanej pożarem.

Klaudjusz Grivot mieszkał teraz w fabryce. Zajmował domek, zbudowany właśnie w tem miejscu, gdzie niegdyś Ryszard Verniere miał mieszkanie. Kasa i biura zajmowały parter, on zaś pierwsze piętro. Stołował się nadal u pani Aubin, w oddzielnym gabinecie, zazwyczaj z kasjerem. Filip de Nayle przyłączał się nieraz do nich, zrana, kiedy nie wracał na śniadanie do Neuily.

Roboty szły szybko, a przez przyjęcie dodatkowo pięćdziesięciu ludzi, można się było spodziewać wydążenia z zaległemi obstalunkami, na których wykonanie uproszono o zwłokę. Codzień napływały nowe zamówienia do firmy Roberta Verniere, której przyszłość zapowiadała się jak najlepiej.

Robert zajął się też wielkim pomysłem wyrabiania nowego rodzaju kul, który spodziewał się oddać z korzyścią na usługi ministerjum marynarki. Pasierb, Filip de Nayle, z zapałem mu w tem dopomagał.

Wszystko więc szło wybornie i pani Verniere, szczęśliwa z tego, że mąż jej stał się poważnym pracownikiem, jakby już zapomniała o przeszłości, w której tak wielce cierpiała.

Nastał dzień 20-ty marca, w którym to dniu. Robert wydawał bankiet dla całego swego personelu, celem uczczenia odbudowy fabryki.

Bankiet miał się odbyć u pani Aubin.

Rodzina Verniere miała na nim być obecną. Aurelia i Alina, jakkolwiek jeszcze w grubej żałobie, nie mogły się od tego wymówić. Nie była to rzecz przyjemności, lecz obowiązek. Robert zdołał nawet uprosić Daniela Savanne, Henryka i Matyldę, aby pomimo świeeżj i tak bolesnej straty, znajdowali się w liczbie biesiadników.

Postanowiono, że połowa biesiadników pomieści się w wielkiej sali na dole, druga zaś na pierwszem piętrze, gdzie usunięte zostaną ruchome przeforsztowania oddzielnych gabinetów.

Przed bankietem oprowadzić miano zaproszonych gości po nowych budynkach.

Przy bramie, wychodzącej na ulicę Hordoin, ofiarowywać miano bukiety damom. Najstarszy z robotników fabrycznych, stary Szymon, był delegowany do podania kwiatów pannom Alinie Verniere i Matyldzie Savanne. Dwie osoby miały mu być dodane: Weronika Sollier i Marta.

Była to prawdziwa uroczystość. Mer z Saint-Ouen i kilka rodzin wiejskich, mieli brać udział w obchodzie, który stał się głośnym w całej ukolicy.

O godzinie jedenastej zabrzmiała pierwsza rakieta, potem druga. Rakiety oznajmiały przybycie czterech powozów, które nadjechały na ulicę Hordoin, stanęły przy bramie i osoby zaczęły z nich wysiadać.

Tłum wydał okrzyk: „Niech żyje pryncypał!“

Robert szedł pierwszy, trochę blady, ale bliski tryumf rozniecał ogień w jego źrenicach. Szedł sam. Za nim postępował Filip de Nayle, prowadząc pod rękę Alinę Verniere, potem Daniel Savanne i Aurelia, Henryk i Matylda.

Stary Szymon, Weronika i Marta, która prowadziła babkę, odłączyli się od reszty robotników, trzymając bukiety w ręku.

Szymon, który miał ustaloną opinię dobrego mówcy, w kilku słowach powitał panią Verniere i przyrzekał jej przywiązanie i życzliwość wszystkich.

Aurelia wzięła bukiet z rąk przedstawiciela robotników i podziękowała uprzejmie.

Wtedy mała Marta zbliżyła się, trzymając za rękę babkę, którą przyprowadziła przed córką Ryszarda.

— Babciu! wyrzekła, to jest panna Verniere.

Ociemniała drżała. Zdołała jednak powstrzymać jęki, cisnące się jej do gardła, i wyjąkała:

— Nikt bardziej nademnie nie podziela głębokiej boleści pani, nie zapomnę nigdy, że ten, którego opłakujemy, był najlepszym ze wszystkich ludzi, a dla mnie był najlepszym panem. Ofiarujemy ci, pani, te kwiaty przez pamięć dla niego.

Wszyscy rozpłakali się.

Mała Marta zwracając się do Matyldy Savanne, rzekła:

— Jesteśmy wszystkie w żałobie, ale obok zmartwienia Bóg daje trochę nadziei dla wszystkich. Pani jesteś córką tego, który stara się wykryć morderców i ukarać ich. Ofiarujemy ci ten bukiet, prosząc Boga, ażeby kierował tak pani ojcem, iżby ofiary zostały pomszczone!

Słowa dziecka wywołały prawdziwy zapał.

— Tak! tak! niech będą pomszczone! zawołał stary Szymon.

I tłum powtórzył:

— Niech będą pomszczone! tak! tak! niech będą pomszczone!

Robertowi i Klaudjuszowi pot wystąpił na czoła.

Przemówienia się skończyły, zwiedzać miano fabrykę.

Podczas drogi Henryk Savanne przyłączył się do pani Verniere, która nań skinęła.

— Mój panie Henryku, rzekła do niego, pomówimy w ciągu dnia o tej biednej pani Sollier. Dotąd nie mogłam się nią zająć. Powinieneś ją zbadać poważnie i przekonać się, czy pańska wiedza nie mogłaby poradzić dla jej wyleczenia.

— Myślę o tem często, odpowiedział młodzieniec. Zobaczymy, czy to wyleczenie jest możebne. I byłbym to już uczynił, gdyby nie cios straszny, jaki mi zadała śmierć mego ukochanego ojca.

— O! tak, mój drogi Henryku! wtrąciła Alina, uczyń nawet niemożebność, ażeby jej przywrócić wzrok!

— Ona widziała mordercę, ponieważ z nim walczyła, dodała pani Verniere. Jeżeli odzyska wzrok, może będzie w stanie go poznać i wydać sprawiedliwości?

— Bóg to pozwoli, wyrzekł Filip de Nayle, który się znajdował przy matce.

— Wszystko, co będzie można, uczynię, odparł Henryk.

Zwiedzanie fabryki miało się ku końcowi i zbliżała się godzina biesiady.

Udano się do zakładu pani Aubin, wszyscy zasiedli przy zastawionych stołach. Na dole rodzina Vernierów, Savannów, władze z Saint-Ouen i majstrowie fabryczni.

Na pierwszem piętrze Filip de Nayle zastępował ojczyma.

Podług życzenia Aliny, mała Marta i jej babka siedziały po prawej i lewej stronie Henryka Savanne.

Zaczął się bankiet.

Zbyt świeżemi były bolesne wspomnienia, ażeby możliwe być mogło wielkie ożywienie... Robotnicy byli spokojni, w braku zaś wesołości najszczersza serdeczność panowała w ciągu całej biesiady.

* *
*

Wśród tłumu ciekawych, którzy obecni byli korowodowi uczestników bankietu, nikt nie zauważył starca o długich białych włosach, twarzy bladej i oczach zá-

słoniętych okularami, zlekka przyciemnionemi.

Na ramieniu starca opierała się młoda kobieta, woalka okrywała jej twarz, która jednak wydawała się i z po za woalki bardzo ładną.

Oboje ubrani byli z wielką prostotą, tak, ażeby nie zwracać na siebie uwagi. Mieli minę zwykłych przechodniów, którzy napotkali niespodziewane widowisko i przyglądali się mu przez ciekawość.

Starzec i młoda kobieta zamienili kilka słów pocichu, zresztą nie narażali się na podsłuchiwania, gdyż wyrażali się w języku cudzoziemskim.

Gdy wszyscy weszli do wnętrza restauracji, dwie te osobistości usiadły na dworze gdzie ustawionych było kilka stolików, dzięki pięknej pogodzie.

Przechodzień z włosami białymi i okularami ciemnemi, posadził swą towarzyszkę przy jednym ze stolików, a sam zbliżył się do matki Aubin, która się ukazała na progu swego zakładu, z zapytaniem:

— Czy pani, pomimo tłumu, jaki masz u siebie dzisiaj, możesz nam służyć śniadaniem?

— I owszem, jeżeli tylko państwo zechcą jeść śniadanie na otwartem powietrzu, gdyż w domu niepodobna mi przyjąć państwa, wszystkie sale są zajęte.

— Pogoda tak piękna, że jeść możemy na dworze.

— Sama państwu nakryję i podam kartę.

Zamówione śniadanie przyniosła służąca.

— Proszę się nie śpieszyć, rzekł cudzoziemiec do pani Aubin, mamy czas.

I jadł śniadanie bardzo powoli, zaledwie od czasu do czasu zamieniając kilka słów z towarzyszką

Stół, przy którym siedzieli, znajdował się obok okna wielkiej sali na dole. I starzec, nachylając się trochę, co czynił dosyć często, widział wszystko, co się działo w sali.

Na parterze, zarówno jak i na pierwszem piętrze, dobre wina zaczynały rozwiązywać języki, mówiono już głośniej, jakkolwiek o tyle, o ile pozwalały względy przyzwoitości.

Natłoczenie gości czyniło w sali upał nieznośny. Otworzono okna, dla dostępu powietrza.

Robert Verniere niosąc do ust kieliszek, napełniony szampanem zawołał:

— Na cześć niezatartej pamięci mego ukochanego i nigdy nieodżałowanego brata, Ryszarda Verniere!

— Na cześć pamięci naszego szanownego i nieodżałowanego pryncypała, Ryszarda Verniere! odpowiedzieli robotnicy, poruszeni do głębi duszy.

Słyszał to starzec, który jadł śniadanie na dworze. Dreszcz przebiegł mu po ciele.

Robert, być może sam przerażony, uczuł krew napływającą mu do twarzy. Poszedł do jednego z otwartych okien. Pod tem właśnie oknem siedział starzec, który na jego widok pochylił głowę i wyrzekł po niemiecku, jakby się zwracał do swej towarzyszki:

— Nie lękaj się niczego, ja czuwam. Za kilka dni wszystko się skończy, dziewczynka zniknie.

— O'Brien, wyszeptał, Robert poznawszy głos.

Magnetyzer, bo to był on, położył palec na ustach i przybrał poprzednią postawę.

Bratobójca opuścił okno i znów usiadł na swem miejscu.

* *
*

Daniel Savanne, pragnąc wcześnie powrócić do siebie, powierzył Matyldę opiece pani Verniere i oddalił się po przemówieniu Roberta do robotników.

Odkąd się dowiedział o śmierci brata, nie znając jeszcze szczegółów, które miał przynieść list zapowiedziany, spodziewany z dnia na dzień, stał się smutnym i posępnym, i sprawy, które miał powierzone, odczuwały straszliwy cios, który w niego ugodził.

Śledztwo w sprawie potrójnej zbrodni w Saint-Ouen znajdowało się wciąż na tym samym punkcie. Coraz mniejsza była nadzieja wykrycia winowajców, i teraz liczono najwięcej na przypadek.

Robert i Klaudjusz zaczynali oddychać swobodniej. Gdyby mała Marta znikła, wszelkie niebezpieczeństwo, byłoby zażegnane, gdyż obaj mieli przeświadczenie, że Weronika jest nieuleczalną, a więc bezsilną.

Powróćmy do Saint-Ouen, na bankiet.

W wielkiej sali restauracyjnej matki Aubin pito właśnie kawę, stojąc. Gromadki utworzyły się dokoła Roberta, objaśniającego w sposób nader zrozumiały, jaki postęp chce zaprowadzić w odbudowanej fabryce. Słuchano słów jego z głęboką uwagą, bo to, co mówił, interesowało słuchaczów do wysokiego stopnia.

Pani Verniere skorzystała z tej chwili, ażeby się zbliżyć do Weroniki, z którą Henryk Savanne dość długo rozmawiał podczas obiadu, wypytując ją o operację, jaką przechodziła, o cierpienia, jakich doznawała

jeszcze, starając się zapamiętać wszelkie odpowiedzi biednej kobiety.

— Tu, przy tylu osobach, trudno mi badać, zauważył Henryk, ale tam jest gabinet dość spory, w którym byłoby najlepiej. I wskazał drzwi gabinetu.

— Chodźmy tam, rzekła pani Verniere.

I poszła wraz z Aliną, Matyldą, Weroniką, prowadzoną przez Martę, oraz z Henrykiem Savanne i Filipem de Nayle, który zamknął drzwi za nimi.

Robert, rozprawiając wśród gromadek słuchaczów, śledził okiem poruszenia żony. Widząc ją, wychodzącą z ociemniałą, zaniepokoił się. Czego mogła chcieć pani Verniere od Weroniki Sollier? Co wyniknąć miało z rozmowy, widocznie przez nią wywołanej? Trzeba więc było być na baczności.

W gabinecie Alina posadziła ociemniałą, którą Marta trzymała za rękę.

— Moja dobra pani Sollier, rzekła do niej Aurelia, oddawna pragnęłam już pomówić z panią, o jej położeniu. Choroba, która panią zatrzymywała w szpitalu opóźniła tę chwilę. Wiem, jak byłaś pani przywiązana do pana Ryszarda Verniere. Dowiodłaś tego, nadbiegłszy mu na pomoc i rzuciwszy się na jednego z morderców z odwagą, której padłaś ofiarą. Moja droga bratanica Alina, i ja, postanowiłyśmy spełnić nasz obowiązek, zapewniając pani możliwie znośny byt. Powiedz mi, co mamy uczynić, ażebyś pani była szczęśliwą?

— Jakaś pani dobra, wyszeptała niewidoma głosem drżącym, z całego serca dziękuję pani za jej troskliwość, ale ja niczego nie potrzebuję.

— Jednak nie jesteś pani bogatą, a teraz nie możesz pracować, jesteś ociemniała.

— Jestem ślepą, szepnęła smutnie biedna kobieta, ale to nie przeszkadza mi zarabiać na życie. Bóg postawił na mej drodze zacnego chłopca, który dopomógł mnie i mojej wnuczce i dał nam sposób do zarabiania na chleb powszedni. Więcej nam nie potrzeba.

— Rozumiem cię, moja dobra pani Sollier, odrzekła pani Verniere, powinnaś jednak pomyśleć o przyszłości, jeżeli nie dla siebie, to dla dziecka. Odmawiasz dla siebie naszej pomocy, ale coby się stało z twoją małą Martą, gdyby jej ciebie zabrakło? Zacny człowiek znalazł się przy pani, ażeby ci nieść pomoc i opiekę. Pozwól nam wziąć udział w jego dziele. Pomyśl o Marcie, pozwól nam ją wychować, oddać na pensję...

— Rozłączyć się z moją wnuczką, nigdy! zawołała niewidoma.

— Nigdy! nigdy, pani! powtórzyła Marta, otaczając ramionami szyję babki. Rozłączyć się z nią! Ona by umarła, gdybym nie była z nią, ktoby ją tak kochał, jak ja kocham, ktoby do niej mówił, ktoby czuwał nad nią, prowadził ją, nigdy, nigdy, nie opuszczę mojej babuni!...

Pani Verniere i Alina zamieniły z sobą spojrzenia.

— Nie będziemy nalegały, wobec postanowienia pani, odezwała się Aurelia, a jednak chcemy być pani użytecznemi i dać pani możność pomszczenia tego, którego pani kochała i kogo my opłakujemy.

— O! to uczynicie panie! wyrzekła gorąco Weronika. I ja wszystko, co do tego potrzeba uczynić, u-

czynię, poddam się wszystkiemu.

Filip de Nayle, który dotąd milczał zapytał:

— Czy pani widziałaś mordercę?

— Tak, widziałam go, odpowiedziała Weronika.

— I mogłabyś go pani poznać, gdybyś się wobec niego znalazła i gdyby dane ci było odzyskać wzrok?

— Tak, poznałabym go z pewnością, ale gdzie odnaleźć tego nędznika? Miałam wskazówkę, którą uważałam za cenną, spodziewałam się, i ta wskazówka stała się nieużyteczną...

— Wskazówka? powtórzyła pani Verniere. Jaka wskazówka?

— Klejnocik, wyrwany mordercy, podczas gdy z nim walczyłam. Przedmiot ten, oddany przezemnie sędziemu śledczemu, nie wydał mu się dostatecznym do wykrycia winowajcy. Gdyby cudem oczy mi zostały powrócone, poświęciłabym moje życie, moje całe życie, na poszukiwanie mordercy! Oto jedyne dobrodziejstwo, jakie przyjęłabym od państwa, wzrok... Ale państwo nie możecie mi go przywrócić.

— Kto wie? wtrącił Henryk Savanne. A gdybym ja spróbował przywrócić pani ten wzrok, który byłby dla pani szczęściem, światłem dla sprawiedliwości, wreszcie zemstą!

— Niestety! to niemożebne, wyrzekła niewidoma z przygnębieniem.

— Kto pani to powiedział?

— Doktor Sermet tak twierdził, że operacja dla zdjęcia zasłony z oczu moich, sprowadziłaby prawie z pewnością nie światło, ale śmierć.

— Czy pozwolisz mi, pani ażebym zbadał twoje oczy.

— I owszem, panie.

— Usiądź pani, rzekł młodzieniec, prowadząc Weronikę do krzesełka przy oknie, i pochyl głowę w tył. Henryk zwolna podniósł powieki niewidomej i przez kilka sekund przyglądał się źrenicom. W miarę tego badania, czoło mu się zmarszczyło, a po skończeniu nie wyrzekł ani słowa.

— A widzi pan, wyjąkała Weronika. Milczy pan, nie śmiąc spróbować wyleczenia.

Henryk milczał. To wahanie wydało się wszystkim złowróżbnem.

Aurelia, Alina i Matylda, uścisnąwszy rękę Weroniki, opuściły gabinet, a za nimi obaj młodzieńcy.

— Co trzeba wnosić z pańskiego milczenia? zapytała pani Verniere Henryka. Czy nie podobna przywrócić ci wzroku tej biednej kobiecie?

— Niepodobna?.. Tego nie mówię, odpowiedział. Ale nie mogę jeszcze wydać opinii. Zobaczę się z doktorem Sermet i poproszę go o pokazanie mi protokołu, który zapewne sporządził o jej operacji. Będę badał, będę się zastanawiał, ale się bardzo lękam...

— Czego? spytała Aurelia.

— Boję się, ażebym nie był zmuszony przyjść do tego przekonania, jak i doktor Sermet, że operacja mogłaby się stać śmiertelną.

W tejże chwili zbliżył się do nich Robert.

— Spiski jakieś? odezwał się ze śmiechem, czy mowa o polityce?

— Mówiliśmy o tej biednej Weronice Sollier, odpo-

wiedziała Aurelja. Uczyniliśmy wszystko, co zależało od nas, ażeby ją zdecydować do przyjęcia naszej pomocy, pensji, którąby jej pozwoliła żyć spokojnie i wychowywać wnuczkę. I odmówiła.

— Nie możecie jej zmusić do przyjęcia dobrodziejstwa pomimo jej woli, podchwycił Robert.

— Zapewne, lecz pomimo to naszym obowiązkiem jest starać się o uczynienie jej życia mniej przykrego, mniej bolesnego.

— W jaki sposób, skoro odmawia waszej pomocy?

— Starać się o przywrócenie jej wzroku.

Robert z trudnością wielką pokrył słabość, ogarniającą go raptownie.

Teraz wtrącił się Filip de Nayle.

— A gdyby usiłowanie powiodło się, rzekł, ja pierwszy prosiłbym o przywrócenie jej miejsca, które miała w fabryce przed nocą zbrodni.

— Ale wyleczenie jest niemożliwe, odparł Robert. Pan Daniel Savanne powiedział nam, jaka jest pod tym względem opinia doktora Sermet. Któżby się więc ośmielił na próbę, z góry skazaną na niepowodzenie?

— Mój przyjaciel Henryk, odpowiedział Filip.

— Pan, panie Savanne? spytał Robert, zwracając się do młodzieńca.

— Tak, panie, lecz dopiero wtedy, gdy nabiorę zupełnego przeświadczenia, że operacja nie zagrozi żadnem niebezpieczeństwem życiu tej biednej kobiety...

— A gdyby pańskie przeświadczenie oparte zostało na pomyłce, zawsze możliwej? podchwycił żywo bratobójca, jaki żal i wyrzut sumienia miałby pan wów-

czas! Czyż nie lepiej byłoby pozostawić Weronikę w niepewności. Odmówiła pomocy, którą jej proponowaliście, ale cóż łatwiejszego nad dopomaganie jej bez jej wiedzy, bez urażenia jej miłości własnej, o tem pomówimy jeszcze. Teraz już jest późno, ten dzień znużył mnie bardzo i chcę powrócić do Neuilly.

Wkrótce potem Robert, wsiadł do powozu ze swą rodziną i opuścił Saint-Ouen wśród okrzyków: Niech żyje pryncypał!

Weronika i Marta pozostały same w gabinecie, dokąd Aurelia je zaprowadziła dla pomówienia z ociemniałą o zapewnieniu jej przyszłości.

Pochłonięta wspomnieniami świeżej sceny, pani Sollier pozostawała w milczeniu, z głową zwieszoną na piersi. Grube łzy spadały z oczu, pozbawionych wzroku.

Dziecko zobaczyło te łzy.

— Babciu, zapytała, całując Weronikę, dlaczego płaczesz?... Czy żałujesz, żeś odmówiła pomocy, jaką ci ofiarowywano, a której nie potrzebujemy, gdyż wystarcza nam opieka naszego przyjaciela Magloira?

— Myślę o tobie, pieszczotko, odpowiedziała niewidoma. Młodziutka jesteś, masz przed sobą długie lata, a ja już na schyłku życia. Może lepiej byłoby dla ciebie, gdybyśmy przyjęły to, co nam proponowano.

Marta odparła żywo:

— Ja, babciu, nie chcę dla siebie nic. Bozia nie odmawia nigdy chleba powszedniego tym, którzy pracują, ażeby go zarobić. Przyjąć cośkolwiek byłoby to wyrządzić krzywdę Magloirowi, który nam pierwszy dopomógł! To tak byłoby, babciu, jak gdybyśmy po-

wiedzieć mu miały: Już nie mamy do ciebie zaufania! Dobrze zrobiłaś, babciu, żeś odmówiła. Z katarynką naszego przyjaciela, gdy ci wyrobi pozwolenie na granie przed domami, nic nam nie zabraknie. Nie, nie potrzebujemy pomocy tych ludzi. Zdaje mi się, że oni są dobrzy i że pragną dla nas dobra i czuję dla nich dużo wdzięczności, ale jednego tylko z nich kocham.

— Kogo, pieszczoszko? zapytała Weronika.

— Pana Henryka Savanne.

Ociemniała drgnęła. Dziecko ciągnęło dalej:

— Widzisz, babciu, jego pokochałam. Jego spojrzenie i wzrok są tak łagodne, że idą mi do serca, i on może ci wzrok przywrócić. Zdaje mi się, że to jemu, tylko jemu będziesz zawdzięczała, że kiedyś będziesz mogła patrzeć na mnie oczyma, które mnie widzieć będą!

— Ona kocha swego brata, pomyślała Weronika. Kocha go instynktownie, ani się domyślając, jakie ich z sobą łączą blizkie węzły. Bóg nas nie opuścił zupełnie. Może ona ma słuszność. Może panu Henrykowi Savanne będę wzrok zawdzięczała.

Weronika i Marta powróciły do sali restauracyjnej, która, po odjeździe rodziny Vernierów, znów się zapełniła gośćmi. Robotnicy obchodzili dalej uroczystość, pijąc. Wesołość, powściągana dotąd obecnością osób urzędowych, stawała się swobodną. Śmiano się, zaczynano śpiewać. Stół pośrodku został już usunięty.

— Szkoda, że pryncypał nie zamówił orkiestry, odezwała się młoda żona jednego z mechaników fabrycznych. Bylibyśmy potańczyli trochę.

— Nie mógł tego zrobić, odparł jeden z robotników,

zanadto świeża jest śmierć jego brata.

— Ale my moglibyśmy potańczyć, zauważył Vide-Gousset, ktory przypadkiem nie był jeszcze pijany.

Na myśl o tańcu, serca żywiej zabiły.

— Potańczmy, odezwało się kilka głosów.

— Bez muzyki! zawołał stary Szymon.

— Będzie muzyka, jeśli zechcecie, podchwycił Vide Gousset. Pani Weronika i Marta niech tylko zagrają na katarynce, a zaraz będziemy mieli kontredanse, walce, polki, czego dusza zapragnie!

Kobiety otoczyły niewidomą, prosiły ją, błagały.

— Babcia jest bardzo zmęczona, odpowiedziała Marta. Potrzebuje odpoczynku i snu, ażebyśmy mogły jutro zrana wcześnie wyruszyć na wędrówkę.

— A! gdyby tu był Magloire! zawołała Marja.

Na te słowa żalu, wyrażone tak naiwnie i gorąco, odpowiedział głos dźwięczny i wesoły:

— Potrzeba Magloira! To jest Magloire!

I mańkut, torując sobie przejście wśród gromadek, stanął na środku wielkiej sali.

Okrzyk pełen zapału, przywitał jego przybycie.

Marta, krzyknąwszy z radości, rzuciła się ku niemu, a Weronika wyciągnęła ręce. Magloire najpierw ku niej pobiegł.

— Jestem, jestem, babciu! rzekł, tuląc ją do serca z uniesieniem, i jestem szczęśliwy z dobremi nowinami. Mama moja miewa się jaknajlepiej, a nawet już całkiem silna, a ja wracam, ażeby was już nie opuścić. Ucałuj mnie i ty, dzieweczko, i ty także, Marjo.

I jedyną ręką obejmował wszystkie wymienione i

całował. Zewsząd wyciągały się ręce, dla powitania dawnego żołnierza marynarki, którego wszyscy lubili.

VIII.

— A! więc to jakiś bal? zapytał, uścisnąwszy ręce wszystkim, w tej liczbie i Vide-Goussetowi.

W kilku słowach pani Aubin obeznała go ze wszystkiem, co się działo.

— A pana nie było, więc nie mogliśmy tańczyć wtrąciła Marja.

— Potańczymy w dniu naszego ślubu, odparł Magloire z twarzą rozpromienioną, w dniu, kiedy będziemy właścicielami restauracji pani Aubin i kiedy zafunduję przyjacielowi Vide-Gousset słynną bibę.

— Jaką bibę? zapytał pijak.

— A tę bibę, którą ci przyrzekłem, jeżeli wygram główny los na bilet loteryjny, któryś mi odstąpił...

— A! do licha! zawołał robotnik, któremu te kilka słów odświeżyło pamięć. Czy już było ciągnienie?

— Właśnie dziś zrana.

— A mój numer, nie przypominam już sobie numeru mego biletu. Ale to nic nie szkodzi, czy padła na niego wygrana?

— Główna wygrana 50,000 franków, mój stary!

— A to już takie moje szczęście! jęknął Vide-Gousset, wychylając duszkiem wielką szklankę wina.

— A pamiętasz o naszych warunkach?

— Jeszczeby! Co rzekło się, to się rzekło. Ale winieneś mi wielką bibę, jak powiedziałeś.

— I czy to naprawdę? spytała pani Aubin.

— Najzupełniejsza prawda! słowo honoru!

— Zkądże się dowiedziałeś o tem, tak prędko?

— To cała historja. Wysiadłem z pociągu, przybyłego z Pont-d'Aim i spokojnie czekałem na omnibus z Bastylii do Saint-Ouen, gdy słyszę, jak krzyczy jakiś roznosiciel gazet: Tabelka dokładna wygranych na loterji Schronienia sierót; numer 5039 wygrał wielki los 50,000 franków. Dziesięć centymów. Gdym usłyszał roznosiciela, jakby błyskawica oświetliła mój umysł. Kroćset tysięcy! powiedziałem sobie, ale to numer zupełnie podobny do mego, do tego biletu, który mi odstąpił ten wiecznie spragniony Vide-Gousset. Biegnę do roznosiciela, płacę mu, wyrywam tabelkę i patrzę, 5039! To mi coraz bardziej przypomina podobieństwo mego numeru, ale może się mylę. Chwytam więc dorożkę, każę się wieźć, co koń wyskoczy do Saint-Ouen. Przyjeżdżam, wbiegam do mieszkania, otwieram szkatułkę, wyciągam bilet!.. Jakże mi serce biło. Przecieram sobie oczy, tak! To mój numer 5039. Główna wygrana! Sądzicie państwo, że się już uspokoiłem! Gdzietam! jadę do urzędu loterji. Tylko co miano biuro zamknąć! Odtrącam woźnego i zapytuję urzędnika: Czy numer 5039 wygrał główny los? Tak. Czy pan go ma? A tak! Pokazuję. Kłaniają mi się. Pojmujecie, ktoś, co wygrywa, to zaraz wielki pan! Winszuję! odzywa się urzędnik. Czy mogę dostać pieniążki? Dziś nie, ale jutro! Biorę znów dorożkę. Jadę do Saint-Ouen i oto jestem, ażeby wam powiedzieć: Mamo Aubin! kupuję twój zakład! Żenię się z Marją za trzy tygodnie. Mama Weronika i Marta nie opuszczą nas wcale.

Wszyscy się do niego cisnęli. Winszowano mu z dobrego serca.

— A więc skoro jesteś, Magloire, to nam zagrasz do tańca, rzekła młoda kobieta, która pierwsza odezwawszy się o tańcu, nie wyrzekła się swego projektu.

— Ależ ja jeszcze nie jadłem obiadu. To byłoby dla mnie trochę za trudno! odparł mańkut.

Od powrotu Magloira, pani Sollier znacznie się ożywiła. Nie czuła już znużenia.

— Moja Marteczko, odezwała się, poproś Marję, ażeby przyniosła katarynkę naszego przyjaciela. Położymy się trochę później, a uczcimy powrót Magloira, grając do tańca tym dzielnym ludziom.

Okrzyk powszechnej radości powitał te słowa.

Marja z Martą sprowadziły katarynkę, poczem Weronika kręcąc korbą, zagrała hucznego kontredansa.

Podczas gdy Magloire jadł obiad z potężnym apetytem, tańce szły raźno i dopiero o północy rozeszli się zmęczeni tancerze. W sali pozostała tylko Weronika z wnuczką, pani Aubin, mańkut i Marja.

— Mamy z sobą trochę do pomówienia, odezwał się Magloire. I zaczął w te słowa: Oznajmiłem ci więc, moja dobra mamo Aubin, i powtarzam, że jutro dostanę 50,000 franków. Czy zawsze gotowa jesteś ustąpić mi swój zakład za cenę, jaką oznaczyłaś?

— Słowa danego nie cofa się, mój chłopcze! odparła dzielna kobieta, kiedy tylko zechcesz.

— To załatwimy interes jak najprędzej, chyba że Marja nie zechce za trzy tygodnie zostać ślubną małżonką Jakóba Magloira, tu obecnego.

— Jakiś ty głupi! odpowiedziała dziewczyna, czerwieniąc się jak piwonia, przecież pani powiedziała: słowa danego nie cofa się...

Mańkut ucałował swą narzeczonę.

— Dziękuję! zawołał, i moja stara matka będzie na ślubie! To się dopiero ucieszy!

— Czy z nami będzie mieszkała?

— Nie. Nie mogłaby się wyrzec swych przyzwyczajeń i swego dworku, a ujmując narzeczoną za rękę, Magloire dodał: Tu będziemy mieli inną matkę do pielęgnowania i małą wnuczkę, nad którą czuwać będziemy. Kiedy Marta dorośnie, będzie ci dopomagała i stanie się twoją prawą ręką w domu, jaką ty byłaś u pani Aubin.

— Nie, Magloire, rzekła nagle Weronika, ani ja, ani Marta, nie zgodzimy się być ci ciężarem!

— Tylko proszę mi nie gadać takich rzeczy! odparł mańkut tonem wyrzutu.

— Ja muszę mówić te rzeczy, podchwyciła pani Sollier. Podczas twej nieobecności wnuczka i ja robiłyśmy coś nam doradzał przed wyjazdem. Z katarynkę odbywałyśmy wędrówki. Dochody miałyśmy takie, że nietylko starczyło na życie, ale można było jeszcze odłożyć. Ja potrzebuję ruchu i świeżego powietrza. Gdybyś nam zechciał zostawić swą katarynkę, żebyśmy dalej pracowały, z którą nam się tak dobrze wiodło. W zimie Marta pójdzie do szkoły i powetuje na naukę czas, podczas lata stracony. Ja jestem spokojną teraz, bowiem, że gdybym umarła, wybyście jej nie opuścili. Ale tymczasem zostawcie nam swobodę, czego pragnę.

— Ha! skoro tak, to ja nie nalegam, odparł Magloire, bo zawsze będziecie przy nas, na oczach naszych i przy naszym stole. Jutro pójdę do mera, ażeby wyrobić dla pani medal na granie.

Marta skoczyła znów mańkutowi na szyję, Weronika podziękowała mu serdecznie.

Czas był już wielki udania się na spoczynek. Rozstano się, mówiąc sobie: Do jutra.

* *
*

W chwili, gdy wszystko zdawało się obiecywać Robertowi Vernierę bezkarność, nędznik nie był jeszcze spokojnym i czuł się jakby wciąż zagrożonym. Henryk Savanne, o czem nie wątpił, spróbuje przywrócić wzrok Weronice Sollier, a gdyby zdołał tego dokonać (na tym świecie nie ma nic niemożebnego), Filip de Nayle będzie nalegał, ażeby biedna kobieta odzyskała dawne miejsce odźwiernej w fabryce.

Teraz już go nie zajmował klejnocik, pozostawiony w ręku niewidomej. Daniel Savanne oświadczył był, że ten klejnocik nie może go naprowadzić na żaden ślad.

Teraz nie przestraszał go już podwójny wzrok małej Marty. Doktor O'Brien, rozłakomiony obietnicą stu tysięcy franków, postara się, ażeby znikła.

Dozór, którego był przedmiotem ze strony Niemiec, również pozostawiał go bardzo spokojnym. Dzięki magnetyzerowi, gdyby go zaczepiono, mógłby się bronić i walczyć równą bronią.

Teraz jego nieprzyjacielem był Henryk Savanne. On to mógł zgubić go, uzdrawiając niewidomą. W prawdzie O'Brien a przed nim doktor Sermet oświadczyli,

że przedsięwzięcie operacjj równałoby się wydaniu wyroku śmierci na Weronikę. Lecz wiedza również jak sprawiedliwość nie jest nieomylną.

Noc przepędził bezsennie, starając się obmyśleć środki, jak mógłby zdruzgotać broń, mogącą go ugodzić, jak sparaliżować rękę, mogącą mu cios zadać.

Był sposób, o tem już nieraz myślał: Sposób był, ale bardzo gwałtowny. Trzeba byłoby raz na zawsze zgładzić babkę, gdy jednocześnie zniknęłoby i dziecko.

Ale ktoby mógł tego dokonać? O'Brien, pod warunkiem zdwojenia przyrzeczonej nagrody. O! sumę tę onby chętnie podwoił bez wahania, byleby sobie zapewnić bezpieczeństwo. Czyż nie miał kasy oddzielnej, jemu tylko wiadomej, obficie zaopatrzonej w pieniądze, skradzione bratu?

Po za tem życie wydawało mu się pięknem, znajdował się na czele wspaniałego przedsiębiorstwa, otaczał go powszechny szacunek i w przyszłości nie groziło mu rusztowanie.

Robert Verniere postanowił niezwłocznie zobaczyć się z O'Brienem, który poprzedniego wieczora powiedział mu: „Ja czuwam!“ i nakłonić go do spełnienia podwójnej zbrodni za podwójną cenę.

O godzinie dziesiątej zrana opuścił willę Neuilly, gdzie wszyscy spali jeszcze po znużeniu całodziennem.

Pieszo udał się do alei Wielkiej Armii, wziął powóz i podał adres magnetyzera. Kiedy powóz zatrzymał się przy ulicy Zwycięztwa, naprzeciw mieszkania O'Briena, Robert sam się zapytał, czy nie śni. Szerokie tablice marmurowe, z napisami Instytutu magnetycznego

znikły. Natomiast nad drzwiami widniał duży afisz z ogromnemi literami: DOM DO WYNAJĘCIA w całości lub w części.

Co to znaczyło? Robert wysiadł z dorożki i zadzwonił. Drzwi się otworzyły. Jakiś człowiek ukazał się na progu.

— Czy jest doktor O'Brien? zapytał przybysz.

— Już tu nie mieszka, odpowiedział ów człowiek.

— A odkąd?

— Od kilku dni.

— Gdzie doktor znajduje się obecnie?

— Zagranicą. Pan O'Brien sprzedał swe ruchomości handlarzowi, który wszystko zabrał nazajutrz, odprawił służbę i wyjechał z rzeczami i swą jasnowidzącą. Słyszałem, jak mówił do woźnicy: Na kolej Północną. Ale koleją północną można wyjechać w różne strony.

Widocznie odźwierny nic więcej nie wiedział; zbyteczne było więc wypytywać go dłużej.

Robert wrócił do Saint-Ouen, chcąc czemprędzej znaleźć się w fabryce i zwierzyć się z obaw swych Klaudjuszowi Grivot, któremu oznajmił już o projektowanem porwaniu Marty.

O'Brien zatrzymał się rzeczywiście, ale nie w Paryżu. Odkąd przyszła mu myśl wykradzenia dziecka, które miało się w ręku jego stać teraz kopalnią złota, powiedział sobie, że powinien otoczyć się taką tajemnicą, że nawet cień podejrzeń nie może do niego dojść. Należało więc udawać niezwłoczny wyjazd i zniknąć, ale oddalić się, tak, żeby mógł czuwać wciąż nad Martą i jej bąbką, i wybrać stosowną chwilę, dla wykradze-

nia, bez wszelkiego niebezpieczeństwa.

Amerykanin znał dobrze okolice Paryża i różne ustronia, gdzie mógłby przebywać wraz z Ewą Mariani, bez zwrócenia uwagi. Spodziewał się, że takie miejsce będzie dobre w parku Saint-Maur. Udał się tam, przybrawszy powierzchowność zamożnego mieszczanina paryskiego i zaszedłszy do biura wynajmu lokali, znalazł odrazu pomieszczenie, jakiego pragnął.

Wskazano mu niewielki domek, położony przy alei mało uczęszczanej, pośród dość gęstych zarośli. Wysoki parkan otaczał dość obszerny ogród. Domek umeblowany był bardzo skromnie, ogród był zapuszczony, lecz mało to obchodziło O'Briena, który spodziewał się tu zamieszkać bardzo niedługo.

— Wynajmuję, rzekł O'Brien, bylebym mógł się niezwłocznie tu sprowadzić.

W godzinę później magnetyzer podpisał kontrakt wynajmu pod nazwiskiem Nelsona, zapłacił sześćset franków za pół roku i otrzymał klucze od domku, który jak opiewała tablica blaszana, przybita obok bramy, nazywał się willą Kasztanową.

Rzeczywiście cztery wielkie kasztany rosły po za bramą i rzucały potężny cień.

Wkrótce potem amerykanin sprowadził się tu z Ewą Mariani. Jedli śniadanie i obiady po za domem, to w Paryżu, to w Champigny, najczęściej zaś w Saint-Ouen, dokąd przybywali, przebrani nie do poznania i gdzie przepędzali część dnia, ażeby szpiegować niewidomą i jej wnuczkę.

Od kilku już dni O'Brien kilka razy śledził Wero-

nikę i Martę na ich wycieczkach, szukając odpowiedniej chwili do wykonania swego planu. Zmieniając bezustannie przebrania, nie lękał się, aby go poznała dziewczynka. Zresztą starannie unikał jej wzroku.

Pewnego poranku, gdy miał udać się na kolej, ażeby pojechać do Saint-Ouen, dla prowadzenia spostrzeżeń w dalszym ciągu, zdziwiony był, spotykając panią Sollier i Martę, które wysiadły z pociągu, przybyłego z Paryża i pchały przed sobą katarynkę.

Naturalnie zmienił projekt podróży i podążył za babką i dzieckiem.

Przy bramie Białej zatoczyły katarynkę na podwórze małej restauracji, dokąd weszły. O'Brien podążył za niemi do zakładu i wszedł innemi drzwiami w chwili gdy Marta sadzała Weronikę przy stole.

Za bufetem stała młoda kobieta.

— A! rzekła, widząc nowoprzybyłe, to dziś wasza kolej na wybrzeże Marny.

— Tak, odpowiedziała Marta, chodzimy tu co sobotę.

— Czy przenocujecie tutaj dziś?

— Nie, nocowałyśmy w Vincennes. Wieczorem powrócimy do Saint-Ouen. Prosimy panią o śniadanie.

— Zaraz podam, odrzekła młoda kobieta.

O'Brien usiadł przy stoliku, blisko od niewidomej i Marty. Ta spojrzała nań, lecz niczem nie przypominał magnetyzera, którego raz jeden tylko widziała.

— Czego pan sobie życzy? zapytała go gospodyni.

O'Brien, zmieniwszy głos odpowiedział z wyraźnym akcentem angielskim:

— Kieliszek koniaku.

Restauratorka przyniosła mu żądany koniak, podczas gdy służąca stawiała nakrycie dla pani Sollier i dziecka, które potem usługiwać zaczęło babce.

Amerykanin przyglądał się Marcie z zachwytem. Połknął łyk alkoholu, postawionego przed nim; i nie mógł się powstrzymać od strasznego skrzywienia, potem zwracając się do Marty, rzekł z podwójnem brzmieniem gardłowem i akcentem angielskim:

— Jakto, moja panienko, mieszkacie w Saint-Ouen?

— Tak, panie.

— I przychodzicie tutaj, ażeby zarabiać graniem.

Teraz odpowiedziała Weronika:

— Trzeba, mój panie. Wszędzie postępują z nami bardzo szlachetnie, ale nie możemy zawsze nadużywać dobroci tych samych ludzi. Tutaj jednak nie przybywamy wprost z Saint-Ouen. Kiedy zapuścimy się tak daleko, nocujemy w drodze tu i owdzie.

— Ale tak dalekich wędrówek nie odbywa pani często?

— Raz na tydzień.

— Ale nie idziecie pieszo z Saint-Ouen.

— O! nie, panie, odpowiedziała Marta. Babcia byłaby zanadto zmęczona a może i ja. Wsiadamy na kolej, katarynkę wstawiamy do brankardu, i wysiadamy w tych stronach, gdzie chcemy dać się słyszeć.

— Dziś mamy sobotę, podchwycił O'Brien, więc za tydzień tu znowu będziecie?

— Niezawodnie, rzekła niewidoma, chyba że coś nieprzewidzianego nam przeszkodzi, dodała.

— A kiedy przepędzacie panie noc w Parc Saint-

Maure, to w tym domu nocujecie?

— Tak, panie... tutaj mamy dobrze.

Amerykanin wiedział już dość. To, jak myślał, powinno mu było znacznie ułatwić wykonanie planu.

O'Brien wyjąwszy luidora z kieszeni i trzymając go w palcach, zbliżył się do Marty i pokazał go jej, podsuwając wprost przed oczy.

Dziecko na widok błyszczącego metalu, wyraźnie zadrżało nerwowo, i spojrzenie jego utkwiło się w tarczy złotej, od której jakby nie mogło się oderwać.

Magnetyzer miał uśmiech na ustach. Doświadczenie, którego spróbował, udało się zupełnie. Marta była w wysokim stopniu wrażliwa na magnetyzowanie.

— To dla twej babci, rzekł do niej, i za każdym razem, gdy was spotkam, dam wam tyle.

Równocześnie włożył luidora do ręki dziecku, któremu, jak widział, powieki drgały szybko.

— Dziękuję panu za babcię, wyrzekła dziewczynka głosem zmienionym.

O'Brien zapłacił za kieliszek koniaku i znikł.

— Babciu, rzekła Marta, ten pan dał nam pięknego luidora, nowiusieńkiego, na dwadzieścia franków.

— Niech będzie błogosławiony, wyszeptała niewidoma, i niech mu to przyniesie szczęście.

— Czy ten dobry pan, mieszka w Parc-Saint-Maure? zapytała dziewczynka właścicielkę zakładu.

— Być może, ale chyba od niedawna, gdyż widzę go po raz pierwszy, odrzekła zapytana.

Pani Sollier i Marta ukończyły skromne śniadanie.

Amerykanin po tem, czego się dowiedział, sądził,

że może dać wiadomość Robertowi, iż czuwa i że nie trzeba będzie długo czekać na urzeczywistnienie projektu. W ten sposób widzieliśmy go, jedzącego śniadanie, w poniedziałek w Saint-Ouen u pani Aubin i uprzedzającego brata Ryszarda Verniere. Robert zatem wiedział, że O'Brien nie zasypia wcale, lecz wiadomość o odjeździe z Paryża, którą powziął nazajutrz, przejęła go znów niepokojem.

Powróciwszy do fabryki w Saint-Ouen, bratobójca, bardzo niespokojny, wezwał Grivota do swego gabinetu, pod pozorem wydania mu zleceń co do wykonania robót, i zwierzył się mu z wszelkich obaw, zrodzonych nagle nieprzewidzianymi wypadkami.

Grivot mniej był lękliwy od Roberta i nie tak łatwo tracił głowę. Jednakże głęboką zgrozą przejęła go wiadomość, że Henryk Savanne gotów jest przedsięwziąć operację, w nadziei przywrócenia wzroku pani Sollier. Weronika nie byłaby w stanie poznać go, gdyż chroniły go naówczas ciemności, lecz poznałaby Roberta niezawodnie. Otóż gdyby Robert, skompromitowany, oskarżony, aresztowany, stanął przed sędzią śledczym, czy miałby siłę i wolę nie wymienić swego wspólnika? Położenie mogło lada chwila stać się niebezpiecznem.

Robert przyznał, że pomyślał o O'Brienie, który, podjąwszy się usunięcia dziecka, mógłby był również podjąć się zniknięcia babki. Byłaby tu prawdopodobnie tylko pieniężna kwestja.

— Ha! to go zapłaćmy, rzekł Klaudjusz, a ponieważ ja tak samo zagrożony jestem, jak ty, podzielimy ten wydatek. Nie możemy żyć pod groźbą ciągłych

strachów. Kupmy spokój za jaką bądź cenę. Nigdy nie będzie za drogo, gdy chodzi o nasze głowy. Tylko bez pół środków, wszystko albo nic.

W chwili, gdy Klaudjusz Grivot skończył te ostatnie wyrazy, zapukano do drzwi gabinetu, i wszedł woźny, podając bilet wizytowy pryncypałowi.

Robert rzucił okiem na brystol i wyczytał: Nestor Wiewiórka. Agencja główna informacyjna.

— Nie znam tego pana, nawet z nazwiska. Czy powiedział, czego chce? zapytał.

— Polecił mi tylko oświadczyć, że przychodzi w interesie osobistym i pilnym.

— Dobrze... Przyjmę go. Poczem zwracając się do Klaudjusza Grivot, rzekł: Nie zapomnij pan żadnych wskazówek, jakich panu udzieliłem co do tej roboty, wkrótce się z panem zobaczę.

Majster wyszedł, a woźny wprowadził Nestora Wiewiórkę.

Nie był to już ten dyrektor prawie młody, u którego widzieliśmy Gabrjela Savanne na schyłku grudnia. Włosy jego przedwcześnie posiwiały. Ramię miał przewieszone na bandażu, nieruchome, aż litość brała, na jego widok, twarz ciągle była w drganiach nerwowych.

Przypominamy czytelnikom, że dawny inspektor policyjny, wychodząc od siebie dnia 1-go stycznia, rażony został atakiem apoplektycznym wraz z częściowym paraliżem.

Robert, przyjrzawszy mu się, wskazał krzesło, na które Nestor Wiewiórka osunął się ociężale.

— Wszak z panem Verniere mam zaszczyt mówić?

zapytał zwolna, gdyż język pod wpływem paraliżu odmawiał mu posłuszeństwa.

— Tak, panie, odpowiedział Robert.

— Oddawna powinienem był stawić się u pana, ciągnął dalej Wiewiórka, lecz wypadek, który mnie dotknął przed dwoma miesiącami, nie pozwalał mi się ruszyć z miejsca. Straciłem skutkiem choroby możność należytego wysłowiania się, sądzę jednak, że będę w stanie dość jasno mówić, ażeby mnie pan zrozumiał.

— Oczekuję pańskich objaśnień, bo nie mogę się wcale domyśleć celu pańskich odwiedzin.

— Blizko trzy miesiące temu, pan kapitan okrętu, Gabrjel Savanne, powierzył mi zadanie, zupełnie sekretne i polecił mi, ażeby panu dać wiadomość o wynikach poszukiwań, których się podjąłem dla niego.

— Mnie? zawołał Robert

— Tak, panu. Przed opuszczeniem Paryża, dla odpłynięcia w nową podróż, przyjaciel pański, zapewne zwierzył się panu, jakie delikatne powierzył mi zadanie, co do wynagrodzenia, za które umówiliśmy się. Otrzymałem część tej ceny, pan zaś wypłacić miał resztę.

Robert spojrzał na gościa z najzupełniejszem ździwieniem.

— Co to znaczy?

Bezwątpienia Nestor Wiewiórka mniemał, że mówi z Ryszardem Verniere. Jakie zadanie sekretne powierzył mu Gabrjel Savanne, o którem Ryszard wiedział i za które miał zapłacić? Na chwilę przypuszczał, że owa choroba pomieszała Wiewiórce zmysły. Nagle jednak przypomniał sobie, że w kasie brata znalazł pa-

kiet banknotów, wynoszący sumę trzykroć sto tysięcy franków, na którego kopercie wypisane było: Depozyt Gabrjela Savanne. Przypomniał sobie słowa Weroniki Sollier, wobec sędziego śledczego twierdzącej, że kapitan okrętu złożył wizytę w Saint-Ouen, wieczorem dnia 30-go grudnia, chociaż Daniel oświadczył, że to niemożebne, gdyż według niego, brat przyjechał do Paryża dopiero nazajutrz, 31-go grudnia. Widocznie tkwiła w tem jakaś tajemnica, chciał ją poznać i dlatego starał się wyciągnąć przybysza na słówka.

— To, co pan mi mówi, rzekł, dotyczy rzeczy natury niezmiernie delikatnej. I pojmujesz pan, że nie mogę ci odpowiedzieć, zanim pana wprzód nie wypytam.

— Oczywiście, rozumiem i oceniam.

— Uczyń więc pan tak, jak gdybym o niczem nie wiedział, i powiedz mi, jakie zadanie powierzył ci Gabrjel Savanne.

Wiewiórka otarł pot z czoła. Zebranie i uporządkowanie myśli przyprawiło go o wielkie zmęczenie.

— O! doskonale, doskonale, powtórzył. Tak, może pan mnie wypytywać, a ja panu odpowiadać będę, ażebyś się przekonał, że nie masz do czynienia z jakim oszustem. Otóż chodziło, jak panu wiadomo niezawodnie, o odnalezienie śladów pewnej młodej kobiety i dziewczynki, opuszczonych przed kilku laty przez kapitana, którego wyrzuty sumienia gnębiły strasznie. Stracił je z oczu przed siedmiu laty i pragnął naprawić złe, wyrządzone opuszczeniem. Z powodów poważnych i pewnych, nie chciał się z tem zwierzyć nikomu z rodziny. Panu tylko, swemu najlepszemu przyjacielowi,

zgodził się odkryć tajemnicę swego serca! Dlatego też przed panem zdać mam sprawę z wyniku mych poszukiwań...

— Jakie jest nazwisko kobiety poszukiwanej? zapytał Robert.

— Germana Sollier.

— A dziewczynki?

— Marta.

Od kilku sekund pewien rodzaj intuicji ostrzegał Roberta, że Nestor Wiewiórka wymieni te dwa nazwiska. Słysząc więc je, nie doświadczył i nie okazał żadnego ździwienia. Zapytał dalej:

— I powiadasz pan, że Gabrjel Savanne chciał naprawić złe, wyrządzone opuszczeniem. W jaki sposób?

— Tego nie wiem, przypuszczam jednak, że chciał dla swej córki przeznaczyć jaki kapitał.

— Ale to tylko pan przypuszczasz?

— Pan Savanne nie wdawał się ze mną w te szczegóły, które mnie nie obchodziły.

— I pan przychodzisz tu po...

— Ażeby oznajmić panu, że odnalazłem ślady Germany Sollier i jej córki.

Tym razem Robert nie mógł się powstrzymać od drżenia.

— Odnalazłeś pan ślady Germany Sollier i jej córki! zawołał bratobójca.

— Tak, panie, odpowiedział Nestor Wiewiórka.

— Gdzież to?

— Tutaj, w Saint-Ouen. Szczególnym zbiegiem okoliczności obie osoby, których poszukiwanie zalecił mi

pański przyjaciel, mieszkały tuż przy panu. Z poszukiwań zarządzonych okazuje się, że Germana Sollier umarła 26 grudnia 1895 roku i że jej córka Marta wziętą została przez swą babkę, odźwierną w pańskiej fabryce.

— Jesteś pan tego pewny?

— Raport mego wyniku jest dokładny, a dołączony jest do niego akt zejście Germany Sollier, wyjęty w merostwie Saint-Ouen.

— Odkąd jesteś pan w posiadaniu tych wiadomości?

— Od 31-go grudnia.

— Dlaczego więc dopiero dzisiaj przychodzisz pan do mnie z temi wiadomościami?

— Zamierzałem przyjść z niemi do pana dnia 2. stycznia, nie mogłem przewidzieć, że 1. stycznia zrana, wychodząc od siebie, rażony zostanę apopleksją, której tak smutne skutki odczuwam na sobie. Dodaję panu, że jestem zrujnowany. Przez trzy miesiące mej choroby straciłem klientelę. Nie mogąc już pracować i będąc bez środków, musiałem zamknąć biuro, wtedy odnalazłem w moich papierach raport, dotyczący Germany Sollier, przypomniałem sobie o rozkazach pana Gabrjela Savanne i przyszedłem pana uprzedzić.

— Trochę późno!

— To prawda, ale przyzna pan, że to opóźnienie jest nieszczęśliwe. Przytem, bądź cobądź, dotarłem do rezultatu, tak żywo upragnionego przez kapitana, co uczyni go bardzo uszczęśliwionym.

— Uszczęśliwionym! powtórzył Robert, byłby nim zapewne, gdyby jeszcze żył.

— Co pan mówi? wyjąkał Wiewiórka.

— Powiadam, że kapitan Savanne umarł przed kilku tygodniami.

— Umarł! powtórzył Wiewiórka ze ździwieniem.

— Jak również pan Ryszard Verniere

— Pan Ryszard Verniere również?

— Blizko trzy miesiące temu.

— Więc któż pan jest?

— Ja jestem jego brat, Robert Verniere. Musiałeś pan rzeczywiście długo pozostawać bez przytomności, skoro nie wiesz nic o katastrofie, jaka nas pogrążyła w bolesnym smutku. Ryszard Verniere umarł, zamordowany 1. stycznia, unosząc do grobu tajemnicę. Marta Sollier znajduje się rzeczywiście przy babce, która już nie jest odźwierną, gdyż oślepła skutkiem rany, otrzymanej w obronie mego brata. Widzisz więc pan, jak pańskie wiadomości przychodzą zapóźno...

Nestor Wiewiórka wydawał się zgnębionym.

— Więc wynagrodzenie, które mi się należało, wyjąkał, na które liczyłem, po które przyszedłem.

— Nie mam obowiązku wypłacić, gdyż nie wiem, jaki pan miał układ z panem Gabrjelem Savanne.

— Ależ ja jestem biedny, bardzo biedny...

Robert mu przerwał:

— Ileż, podług pana, miałbyś pan otrzymać za przyniesienie wiadomości osobom interesowanym?

— Dziesięć tysięcy franków.

— Czyś pan co dostał już na rachunek?

— Pięć tysięcy franków, tytułem prowizji.

— I nie uważasz pan tego za dostateczne?

— Ależ, panie, co było umówione...

— Mnie nie obchodzi, przerwał bratobójca. Ja o niczem nie wiem. Nawet nie znałem kapitana Savanne, a zatem nie mogę nic uczynić. Jednakże przez wzgląd na stan pańskiego zdrowia, ze współczucia, wynagrodzę panu za podróż, jaką tu odbyłeś.

I wyjąwszy z pugilaresu dwa banknoty po sto franków podał je Nestorowi Wiewiórce.

Ten zrozumiał, że nie może się sprzeciwiać. Wziął dwieście franków, mruknął jakieś podziękowanie, ukłonił się i odszedł, wielce zasmucony.

Robert okazywał zimną krew podczas całej rozmowy z Wiewiórką, gdy jednak ten wyszedł, uczuł się znów pomieszanym.

— Tu jest klucz zagadki, postawionej przez Weronikę u sędziego śledczego! wyszeptał. Trzysta dziesięć tysięcy franków, znalezionych w kasie Ryszarda, Depozyt Gabrjela Savanne, przeznaczony był dla Marty Sollier, córki naturalnej kapitana. Ryszard je przyjął, ażeby dać później dziecku, które już było u swej babki. Gabrjel rzeczywiście odwiedził brata mego wieczorem 30 grudnia. To o tej wizycie Weronika mówiła Danielowi Savanne. Rady, o które go prosiła, miały niezawodnie na celu otrzymanie objaśnienia, co uczynić, ażeby otrzymać majątek, przeznaczony dla małej. Zapewne ma ona pokwitowanie, podpisane przez Ryszarda. Ta kobieta musi zniknąć, jak jej wnuczka, i ona zniknie. Ja tego chcę!...

* *
*

Daniel Savanne, opuściwszy Saint-Ouen w przeddzień wieczorem, powrócił niezwłocznie do domu.

List, który nań oczekiwał, nadesłany był z ministerjum marynarki. Daniel widząc kopertę urzędową, rzekł do siebie, że ten list powinien mieć związek ze zgonem Gabrjela.

Otrzymano z Hanoi pakiet, poprzednio należący do kapitana okrętu i który przed śmiercią kazał przesłać swemu bratu. Daniel wezwany został do ministerjum dla tych papierów.

Od czasu wysłania depeszy, donoszącej w sposób lakoniczny o zgonie, brakowało dalszych wiadomości. Wreszcie nadeszła wiadomość, w jakich warunkach nastąpiła śmierć kapitana Savanne.

O godzinie dziesiątej sędzia udał się na ulicę Królewską, gdzie natychmiast się zobaczył z oficerem, któremu powierzono wręczenie papierów kapitana.

Był to pakiet, opieczętowany pięcioma pieczęciami i zaadresowany do Daniela.

— Teraz, panie, zapytał, czy mogę poznać przyczyny katastrofy, która nas tak okrutnie ugodziła?

— Otrzymaliśmy raport szczegółowy, odpowiedział oficer. Czy chcesz pan, abym mu go powtórzył?

— Proszę.

— Jest to poprostu protokół lekarza okrętu, dowodzonego przez pańskiego brata, a poświadczony przez zastępcę kapitana. Do protokółu dołączony został akt zejścia, który panu oddam. Opuszczając Tulon w styczniu, kapitan Savanne otrzymał z prefektury marynarki pakiet zapieczętowany, z którym miał się zapoznać do-

piero w tydzień po odjeździe. Kiedy otrzymał ten pakiet, cierpiał już chorobę, na którą umarł po kilku tygodniach.

— Cóż to była za choroba? bo kiedym widział się z moim bratem po raz ostatni, nic nie zapowiadało w nim tak bliskiej katastrofy, zapytał Daniel.

— Była to z początku gorączka, następnie tyfus. Kapitan Savanne zmuszony był zdać dowództwo okrętu na swego pomocnika. Położył się do łóżka. Przez chwilę spodziewano się, że będzie można pokonać chorobę, (protokół doktora to zaznacza), wkrótce jednak stracono wszelką nadzieję, i kapitan umarł, powierzywszy swemu pomocnikowi papiery, przeznaczone pod pańskim adresem.

— A ciało mego brata? wyszeptał urzędnik bardzo zmartwiony.

— Otrzymał pogrzeb marynarzy... w morzu.

Daniel zwiesił głowę, a z oczu jego popłynęły łzy, których nie starał się wcale ukryć.

Oficer wziął z biurka arkusz papieru stemplowego, pokryty pismem. Przyłożył pieczątkę ministerjum marynarki i podał go sędziemu śledczemu.

— Oto, rzekł, kopia zaświadczona aktu zejścia kapitana Gabrjela Savanne.

Daniel wziął ją i powrócił na bulwar Malesherbes. Tu czekał nań Henryk.

Przed otwarciem przyniesionego pakietu zapieczętowanego, pan Savanne opowiedział bratankowi, w jaki sposób umarł jego ojciec, a zmartwienie młodzieńca jeszcze się wzmogło, gdy się dowiedział, że nie będzie

miał nawet pociechy modlenia się i płakania na jego grobie.

Zarówno Daniel jak Henryk z niecierpliwością patrzyli na zapieczętowaną kopertę, która zawierała ostatnie zwierzenia kapitana, a jednak nie śmieli jej otworzyć. Zdawało im się, że ztamtąd wydostanie się nowe zmartwienie. Wreszcie Henryk wyszeptał:

— Czy pragniesz, stryju, zostać sam, ażeby zapoznać się z papierami, które są do ciebie zaadresowane?

— Nie, moje drogie dziecko, wcale tego nie pragnę, gdyż te papiery, jako pochodzące od twego ojca, obchodzą ciebie tak samo, jak mnie.

Poczem kolejno rozerwał pięć pieczęci na kopercie. Przedewszystkiem zobaczyli dwa listy w kopertach, zapieczętowanych pieczątką kapitana. Jeden z nich nosił napis: Dla mego brata. Drugi te trzy wyrazy: Dla mego syna. Sędzia śledczy podał ten list bratankowi sam złamał pieczątkę na kopercie, naszącej jego nazwisko.

List, zaadresowany przez Gabrjela do brata, był krótki. Oto co zawierał:

„Mój drogi Danielu! Dotknięty jestem nieubłaganą chorobą. Cokolwiekbądź mówi doktor, starający się mnie uspokoić, wiem, że jestem stracony, czuję, iż życie ze mnie ulata. Nie zobaczę już ani ciebie, ani syna, ani Francji. Tyś wychował mego syna, jak gdyby był twoim, drogi Danielu, a kochasz go, jak ja go kochałem. Ta pewność sprawia mi ostatnią radość i dzielę między was obu ostatnią myśl.

„Przebacz mi, mój bracie ukochany, ty coś nigdy

nic nie ukrywał przedemną, przebacz mi, że unoszę, do grobu tajemnicę, której nie śmiałem i której nie śmiem jeszcze powierzyć. Tak mi ciężko w oczach twoich obniżać siebie, stracić twój szacunek, który mi był tak drogim. Jeżeli później dowiesz się o tej tajemnicy nieznanej, wszak nie będziesz bez litości. Okażesz mi swą pobłażliwość, rozgrzeszysz mnie, jak mnie rozgrzeszyli inni. To ostatnia prośba, którą ci zasyła umierający brat.

„Pozostawiam Henrykowi piękny majątek, przeszło milion, złożony u mego notarjusza, zarazem i przyjaciela, którego znasz. Wiem, że Henryk kocha Alinę Verniere i mam nadzieję że i ona kocha go również. Błogosławię ich miłość. Szczęśliwy będę, jeżeli z po za grobu będę ich widział połączonych. W papierach, które ci przesyłam, znajdziesz list do mego najlepszego przyjaciela, Ryszarda Verniere, który, czego jestem pewny, pragnie tego związku.

„Ucałuj za mnie mego syna, ucałuj Alinę, ucałuj Matyldę, ja wąs całuję wszystkich. To mój ostatni pocałunek. Morze pochłonie moje ciało. Pamiętaj o mnie. Żegnam cię raz jeszcze, mój bracie. Żegnam!

Gabrjel Savanne.“

Daniel nie mógł powstrzymać głośnego płaczu, twarz mu zalały łzy.

Henryk tymczasem czytał list, przysłany mu przez ojca. Na obliczu jego malowało się przerażenie.

Daniel spostrzegł, jak zbladł.

— Co ci jest, moje dziecko? zapytał go. Czyż list zawiera coś nieprzewidzianego, strasznego?

Henryk podał list stryjowi.

— Czytaj, stryju, rzekł.

Daniel czytał:

„Kochane dziecko moje, już cię nie zobaczę nigdy. Jak memu bratu, posyłam ci ostatnią myśl moją, ostatnie pożegnanie. Sam pozostaniesz przy stryju, który więcej i lepiej był ci odemnie ojcem i który uczynił z ciebie uczciwego człowieka, prawego i pożytecznego.

„Ta pewność, że jesteście obok siebie, połączeni ciepłem i niewzruszalnem przywiązaniem, jest dla mnie wielką pociechą w tej posępnej godzinie, gdy potrzebuję tak bardzo być pocieszonym, bo ciężar bardzo wielki przygniata mą duszę, tembardziej, że zabieram z sobą tajemnicę błędu, do którego nie śmiem przyznać się ani przed bratem moim, ani przed tobą. Obawiam się, że znalazłbym w tobie niemiłosiernego sędziego, a jednak nieraz chciałem, żebyś mnie osądził! Ale nie śmiałem.

„Jest człowiek, który zna moją tajemnicę. To Ryszard Verniere, mój najlepszy przyjaciel. Ojciec Aliny, którą kochasz! Piszę jednocześnie do niego. Pozostawiam mu swobodę, ażeby przed tobą odkrył błąd nieprzebaczalny, którego wyrzut mnie gnębi.

„Zapytaj go. Jeżeli ci opowie, nie potępiaj mnie, przebacz mi. Dłużej nie mogę pisać. Nie widzę już nic. Całuję cię i kocham.

Twój ojciec."

— Ale do jakiegoż to błędu nie śmiał się przed nami przyznać mój ojciec? zawołał młodzieniec. Błąd, który zatruwał ostatnie chwile jego życia, bolesna tajemnica,

wiadoma tylko panu Ryszardowi Verniere? A pan Verniere nie żyje i nie dowiemy się o niej nigdy. Mój stryju, co ci ojciec napisał w tym przedmiocie?

— Zobacz moje dziecko, odpowiedział Daniel i podał mu list brata, który Henryk przeczytał szybko

— Żadnego szczegółu, rzekł następnie z przygnębieniem. Ale gdzie jest list do pana Verniere?

Pan Savanne szukał w papierach.

— Oto list, rzekł po chwili, wskazując kopertę z tym napisem:

„Do oddania po mej śmierci i za pośrednictwem mego brata memu przyjacielowi Ryszardowi Verniere“. Koperta zamknięta była pieczęcią lakową.

— Zobacz, stryju, co zawiera ten list, wyrzekł młodzieniec.

Daniel wskazał na pieczęć.

— List jest zapieczętowany, odparł.

— Cóż to szkodzi?

— List zaadresowany jest do Ryszarda Verniere.

— On nie żyje.

— Nie mamy prawa otworzyć tej koperty.

— Masz prawo, stryju, ponieważ nie możesz listu doręczyć adresatowi. Ojciec pisze do mnie, że pozostawia swemu przyjacielowi wolność odpowiedzić mi, jeżeli go zapytam. Tak więc jest to upoważnienie do zbadania listu, skoro Ryszard Verniere już nie żyje.

— Sumienie zabrania mi uczynić, czego żądasz, zawołał urzędnik.

— A cóż ci, stryju, nakazuje?

— Spalić tę kopertę, bez otworzenia jej.

— I nie dowiemy się niczego, i obadwaj mimowoli wyrzucać będziemy zmarłemu ojcu, że nie miał za życia zaufania do nas. Jest tam tajemnica, która przejmuje dusze nasze niepokojem. Czyż nie lepiej poznać błąd mego ojca, ażeby mu go przebaczyć? Nie pojmuję, stryju, twego wahania...

— Ja nie tylko się waham, ale wprost odmawiam. Obowiązkiem moim jest spalić ten list.

Daniel zbliżył się do kominka, lecz Henryk zastąpił mu drogę.

— Nie, mój stryju, rzekł, nie spalisz tego listu! Jeżeli nie masz prawa go czytać, nie masz również prawa go spalić. Alina jest spadkobierczynią po swoim ojcu. Jej to winieneś oddać list, adresowany do jej ojca, bo ten list do niej należy.

— Zatem, odparł sędzia śledczy, zatem chcesz, ażebym tej, która może, która ma zostać kiedyś twoją żoną, powierzył tajemnicę twego ojca?

— Dlaczego nie? Ojciec mój popełnił błąd, muszę to przypuścić, skoro on przyznał i żałował, niezawodnie jednak błąd to nie taki, ażeby pozostawił niezatartą plamę na honorze. Dlaczego by więc Alina nie miała go poznać?

Pan Savanne miał odpowiedzieć, gdy wtem zapukano zlekka do drzwi gabinetu.

— Proszę, rzekł urzędnik, rzucając list na biurko.

Drzwi się otworzyły.

Ukazały się Alina i Matylda..

— A to jakim sposobem jesteście w Paryżu, moje dzieci? zapytał je sędzia.

— Miałyśmy trochę sprawunków do załatwienia. Pani Verniere była łaskawa nam towarzyszyć i czeka na nas w salonie, odpowiedziała Alina.

— A! zawołał Henryk, to nie przypadek was sprowadza: to Opatrzność. Poczem zwracając się do córki sędziego śledczego, dodał: Moja droga Matyldo, proszę cię, idź do pani Verniere, będącej w salonie, a my tam za chwilę przyjdziemy. Stryj i ja mamy do powiedzenia kilka słów naszej drogiej Alinie.

Matylda śpiesznie wyszła. Alina stała bardzo ździwiona, zapytując sama siebie, co to znaczy i jakie zwierzenie może jej pan Savanne uczynić.

— Stryju, rzekł wtedy Henryk, przed chwilą cię prosiłem i teraz ponawiam prośbę. Nie odtrącaj jej. Błagam cię o to.

— A więc, niech i tak będzie! Jeżeli jednak następstwa czynu, który mi narzucasz, będą fatalne, na ciebie spadnie odpowiedzialność zupełna.

Alina, bardzo zaintrygowana, stała się niespokojną.

— Ale o cóż tu chodzi? wyjąkała.

— Dziecko moje, odpowiedział Daniel, otrzymaliśmy szczegóły, których oczekiwałem w przedmiocie śmierci mego biednego brata. Dziś wręczono mi papiery, które dla mnie przysłał. Do tych papierów załączone były trzy listy: jeden do Henryka, drugi do mnie, trzeci nosił nazwisko twojego ojca. Przed śmiercią Gabrjel pomyślał o przyjacielu, którego wielce kochał. Nie mogę, niestety, oddać go twemu biednemu ojcu, stosownie do życzenia mego brata, i postanowiłem go spalić. Lecz, jak mi się zdaje, zawiera on w sobie tajemnicę, którą

Henryk pragnie poznać. Nalegał też, ażeby list ten został tobie oddany, chce, ażebyś go otworzyła, przeczytała i ażebyś zdecydowała, tak, jakby uczynił twój ojciec, czy powinnaś, czy możesz wyjawić nam jego treść? Jeżeli osądzisz, że obowiązkiem twoim jest zamilczeć przed nami, co się dowiesz, będziesz milczała, i sama zapomnisz! I Daniel podał jej list.

Alina ręką drżącą rozdarła kopertę, przeczytała pocichu z głębokiem skupieniem ostatnie pożegnanie, które Gabrjel Savanne przesyłał swemu przyjacielowi, Ryszardowi Verniere.

Henryk i stryj jego śledzili niespokojnie na twarzy młodej dziewczyny ślady wrażenia, jakie na niej sprawiało czytanie. Ku wielkiemu źdzìwieniu zobaczyli, że maluje się na niej tylko wzruszenie. Córka Ryszarda płakała.

— Ależ, rzekła przez łzy, gdy skończyła, ten list wzruszający nie zawiera nic takiego, o czem byście nie mogli wiedzieć. Mówi on wprawdzie o tajemnicy, o zeznaniu, uczynionem memu ojcu przez swego przyjaciela, i zwalnia go od zaprzysiężonej tajemnicy, w razie, gdyby Henryk chciał go wypytywać. Zresztą, mój drogi, możesz się upewnić własnemi oczyma. I Alina podała mu list otwarty.

Z gardłem ściśniętem, głosem zaledwie wyraźnym, syn Gabrjela odczytał następujące wyrazy:

„Dobry mój, stary przyjacielu, Ryszardzie! Gdyśmy się rozstawali, nie chciałeś dać wiary przeczuciom moim. Widzisz dzisiaj, że się sprawdzają. Ta myśl, która mnie trapiła, myśl o bliskiej śmierci, była ostrzeżeniem od

Boga, przed którym stanąć mam i który, jak mam nadzieję, przyjmie mnie w Swem miłosierdziu.

„Stary przyjacielu mój, już się nie zobaczymy, kiedy będziesz czytał ten list, ja już przestanę żyć. Tyś był jedynym powiernikiem moich zgryzot, ty tylko wiesz, co ja wycierpiałem. Żałuję, wreszcie zachowam na zawsze wspomnienia tego wieczora, który spędziłem przy tobie, wieczora bardzo posępnego, bardzo bolesnego, a jednak rozświetlonego prawie radosnem światłem, posępnego i bolesnego wspomnieniami złego, jakie uczyniłem, a rozświetlonego myślą, że to złe mogłem, dzięki tobie, naprawić nieco.

„W owej epoce, jak chyba nie zapomniałeś ze zgrozą odtrącałem myśl, aby syn mój nie poznał tajemnicy mej słabości, mej winy. Przed śmiercią wyznaję przed nim, że w mojem życiu jest czarny punkt i że pragnąłbym od niego przebaczenia. Jeżeli zechce poznać ten punkt czarny, zapyta cię. Zwalniam cię z danej przysięgi. Powiedz mu prawdę. Być może nawet, że lepiej będzie, gdy się dowie. Serce podyktuje mu, jak ma postąpić, a ja jestem pewny jego serca.

„Żegnaj, mój stary przyjacielu, myśl o mnie i przez miłość dla mnie, czuwaj dobrze, nad kim wiesz. Żegnam!

Gabrjel Savanne."

Dla Henryka żadne światło nie tryskało z tego listu. Jaką słabość, jaki błąd, popełnił jego ojciec? Tylko Ryszard Verniere mógłby był na to odpowiedzieć, a Ryszard Verniere już nie istniał.

— Nic! wyszeptał zniechęcony, nie dowiem się niczego nigdy!

Daniel Savanne ze skupieniem słuchał, gdy Henryk czytał głośno. Dwa punkty go uderzyły. Na słowa, wyrzeczone przez bratanka: „Nie dowiem się niczego nigdy“! Odpowiedział pocichu: A może ja się dowiem! I biorąc z rąk młodzieńca list, zamknął go w szufladce biurka.

IX.

— Pani Verniere oczekuje nas, mój drogi, wyrzekł następnie sędzia, nie dajmy jej czekać.

Alina i Henryk podążyli za nim do salonu, gdzie żona Roberta znajdowała się z Matyldą.

Rozmowa była krótka.

Daniel i bratanek jego nie ukończyli jeszcze przejrzenia papierów kapitana Savanne. Wrócili się do gabinetu i przekonali się wkrótce, że to, co im pozostawało do obejrzenia, było względnie małego znaczenia.

— Ojciec pozostawił ci ładny majątek, rzekł sędzia śledczy, gdy ukończyli tę pracę. Sądzę, że uczynisz dobrze, nie podnosząc go z rąk naszego przyjaciela Robineta, który oddawna ma powierzone interesa twego ojca i moje. Czyś gotów usłuchać tej rady?

— Bezwarunkowo, drogi stryju.

— Zjemy więc śniadanie i idziemy do niego.

Obaj mężczyźni przeszli do pokoju jadalnego, gdzie podane już było śniadanie.

Pan Robinet, notarjusz, przy ulicy Richelieugo, nie wiedział o śmierci swego klienta, Gabrjela Savanne.

Gdy mu oznajmiono wizytę sędziego śledczego wraz z bratankiem, poszedł na ich spotkanie z wyciągniętemi rękami. Na widok szerokiej krepy na ich kapeluszach, zadrżał.

— Po kim jesteście w żałobie, moi przyjaciele, zapytał żywo.

— Mój brat umarł, odpowiedział Daniel, a oczy jego napełniły się łzami.

— Umarł. Kapitan Savanne umarł! zawołał notarjusz zdumiony, a ja go widziałem tak pełnego życia przed trzema miesiącami niespełna! Gdzież i jak wydarzyło się to wielkie nieszczęście?

— Brat mój padł ofiarą tyfusu, na falach morza, przed miesiącem. Zwiastowała to nam depesza, ale dziś dopiero otrzymaliśmy kopię aktu zejścia.

— I przychodzicie, zapytać mnie, o stanie majątku, który złożył na moje ręce mój klient nieodżałowany?

— Tak.

— Służę panom. Siadajcie, proszę.

I rejent wskazał krzesełka, stojące przy biurku.

— Czy brat powierzył panu jaki testament? zagadnął Daniel.

— Nie, i byłbym bardzo zdziwiony, gdyby testament napisał. Po co? Syn jest jedynym spadkobiercą.

— Niewiadomo panu, czy Gabrjel gdzieindziej pozostawił kapitały?

— Byłem jedynym depozytarjuszem wszystkiego, co posiadał, i z czystem sumieniem powiedzieć mogę, że podczas jego długiej nieobecności, jak najlepiej prowadziłem jego interesy. Zresztą podziękował mi za to, gdy

mnie odwiedził w ostatnich dniach grudnia.

Daniel zmarszczył brwi, słysząc pana Robineta, mówiącego o wizycie kapitana Savanne w ostatnich dniach grudnia, ale nie podniósł tego szczegółu, postanawiając go jednak później wyświetlić.

— Jaką cyfrę przedstawia obecnie spadek mego brata? zapytał.

— Powiem panu, gdy zajrzę do księgi kasowej.

Kazał sobie przynieść książkę, zawierającą rachunki Gabrjela Savanne, znalazł odpowiednie miejsce, i podsunął cyfry przed oczy Daniela i jego bratanka.

— Widzicie, panowie, rzekł, milion sto tysięcy franków, do czego trzeba dodać jeszcze procent za trzy miesiące.

Urzędnik przebiegł wzrokiem szeregi cyfr. Uderzyła go jedna data.

— Trzydziestego grudnia, przeczytał głośno. Gabrjel był u pana trzydziestego grudnia roku zeszłego.

— Tak.

— I pan mu dałeś trzysta tysięcy franków?

— Pokwitowanie znajduje się w mojej kasie.

— Ależ, zawołał Henryk, ojciec nie był w Paryżu 30. grudnia, skoro tego dnia stanął dopiero w Tulonie. W niedzielę zrana, wprost z kolei, przyszedł do mego stryja, w tem musi być pomyłka co do daty.

— Nie ma żadnej pomyłki co do daty, kochany panie Savanne, odparł rejent, i to tylko pańska pamięć nie dopisuje. Kapitan Savanne znajdował się w Paryżu 30. grudnia niezawodnie, bo jeszcze był u mnie po raz pierwszy 28. tegoż miesiąca, i po zapoznaniu się ze

swym rachunkiem i podziękowaniu za zarząd interesów, zażądał odemnie trzysta tysięcy franków, ot ta suma jest tutaj zapisana. Oczywiście nie miałem w swej kasie trzysta tysięcy franków w banknotach, trzeba było sprzedać papiery wartościowe nazajutrz na giełdzie 30. grudnia, więc w ciągu dnia oddałem mu fundusz, którego potrzebował.

Rejent, wstawszy z fotela, otworzył kasę, wyjął papier, i pokazał sędziemu oraz jego bratankowi

— Oto pokwitowanie, rzekł, widzicie, panowie, że ma datę 30. grudnia.

Obaj przybyli milczeli. Zapytali się w myśli:

— Dlaczego skłamał przed nami, utrzymując, że przybywa zrana 31. grudnia, gdy znajdował się w Paryżu co najmniej już od trzech dni?

Po chwili milczenia Daniel podchwycił:

— Pozwoli mi pan zadać jedno pytanie?

— I owszem.

— Czy brat mój powiedział panu, jaki użytek zamierza uczynić z trzystoma tysiącami franków, które od pana odebrał?

— Tak. Stwierdziwszy, że pieniądze te przedstawiają procenty narosłe, które mógł był wydać, które byłby wydał z pewnością, gdyby był pozostał we Francji, że zatem syn nie może mieć pretensji, gdyby niemi rozporządził podług swego upodobania, objaśnił mnie, że jeden z jego przyjaciół, przemysłowiec, którego interesy się chwiały, prosił go o ratunek, co też uczynić chciał, pożyczając mu trzysta tysięcy franków.

— Czy wymienił panu przyjaciela, któremu tak szla-

chetnie przychodził z pomocą?

— Nie, przyznaj pan, że delikatność niepozwoliła mię go wypytywać w tym przedmiocie.

— To słuszne. Dziękuję panu za udzielone nam objaśnienia. Co zaś do majątku mego brata, należy on teraz do mego bratanka, lecz w imieniu jego, proszę pana, abyś go zechciał zachować w swem ręku i czynić w dalszym ciągu dla syna, coś pan czynił dla ojca.

— A ja będę panu tak wdzięczny, jak i mój ojciec, dodał Henryk Savanne.

Rejent podając rękę nowemu klientowi, odpowiedział:

— Uczynię to z całego serca.

Rozmowa się skończyła. Obaj opuścili kancelarję notarjusza i udali się na bulwar Malesherbes.

Młodzieniec wydawał się pod wrażeniem przygniatającego smutku, który zrodziło w jego duszy czytanie listów ojcowskich i tak niespodziewane objaśnienie rejenta.

Przybywszy do domu, rozstali się. Henryk zamknął się w swym pokoju, ażeby tam pracować a Daniel w swym gabinecie, ażeby wszystko rozważyć.

Dotknęło go dziwne postępowanie brata, gdyż ten oznajmił, że przybył do Paryża dopiero 31. grudnia. U rejenta otrzymał niestety dowód tego kłamstwa, a nadto istniał jeszcze inny, a który wynikał z listu, odczytanego przed kilku godzinami i napisanego przez Gabrjela do Ryszarda Verniere.

Daniel odczytał ten list, w którym uderzyły go dwa zdania. Wziął ołówek niebieski i podkreślił pierwsze:

„Ty byłeś jedynym powiernikiem mych zgryzot. Ty tylko wiesz, co ja wycierpiałem. Zachowasz, żałując mnie, wspomnienie o tym wieczorze grudniowym, który przepędziłem przy tobie.“

Zatem w wieczór 30. grudnia znajdował się w fabryce Saint-Ouen, dokąd się udał, wychodząc od rejenta, który mu dał trzysta tysięcy franków. Zatem nazajutrz zrana Ryszard Verniere na bulwarze Malesherbes, stawał się wspólnikiem Gabrjela, udając, że go widzi po raz pierwszy po jego przyjeździe. Istniała między nimi jakaś tajemnica?

Ale urzędnik przypomniał sobie, że Weronika Sollier mówiła mu o jego bracie i że jej zaprzeczył, gdy twierdziła, że wprowadziła kapitana Savanne do Ryszarda Verniere, wieczorem 30. grudnia. Przypomniał sobie, że była w jego gabinecie, w sądzie, w chwili gdy Henryk przybył zgnębiony, przynosząc wiadomość o śmierci ojca, i że wtedy niewidoma, badana przez niego, odpowiedziała: Teraz już nie mam nic do powiedzenia panu. Weronika musiała więc znać tajemnicę, powierzoną przez Gabrjela Ryszardowi Verniere. Skoro nie stało Ryszarda, należało się do niej zwrócić.

Drugie zdanie, które podkreślił brzmiało:

„Żegnaj, mój stary przyjacielu, myśl o mnie i przez miłość dla mnie, czuwaj dobrze nad niem.“

Te ostatnie wyrazy szczególnie go uderzyły. Nad kim Ryszard Verniere miał czuwać?

Urzędnik złożył list, zaadresowany do Ryszarda, i wziął drugi, pisany do niego przez brata.

Tu podkreślił również to zdanie:

„Jeżeli dowiesz się o tej tajemnicy, nie będziesz nielitościwym. Rozgrzesz mnie jak inni rozgrzeszyli“.

Kogo Daniel wskazywał pod tym wyrazem inni? Jednym z nich był niezawodnie Ryszard.

Daniel długo siedział zamyślony, szukając w swym mózgu klucza tajemnicy mówiąc do siebie:

— Ta wizyta mojego brata w Saint-Ouen, w przeddzień dnia, kiedy Ryszard Verniere został zamordowany i okradziony, kiedy podpalono jego fabrykę, kiedy Weronika Sollier padła, ugodzona jak i on, kulą mordercy. Gdyby to wszystko miało z sobą związek? Wybadam znowu Weronikę Sollier i kasjera Prieur, szeptał. Ja nie tracę odwagi. Muszę się dowiedzieć, jaką tajemnicę powierzył Gabrjel Ryszardowi... i będę wiedział...

* *
*

W życiu przykre wypadki często idą ławą, jak niepowodzenia w grze. Tak samo szereg ich następował teraz dla Roberta Verniere.

Najprzód usłyszał jak Henryk Savanne twierdził, iż może przywrócić wzrok Weronice; potem dowiedział się od Nestora Wiewiórki, że Marta jest córką Gabrjela, z czego wynikało, iż trzykroć sto tysięcy franków, skradzione przezeń z kasy brata, należało do tego dziecka; potem dowiedział się od O'Briena, że w ambasadzie podejrzewano go o popełnienie zbrodni w Saint-Ouen; potem powtórzył sobie sto razy, że Marta, uśpiona znowu snem magnetycznym, nie omieszka wskazać go, jako mordercę Ryszarda, i oto nowy cios miał go ugodzić.

Otrzymał list od barona Schwartz, naczelnika biura wywiadowczego przy ambasadzie, zawierał on tylko kilka

słów, lecz groźny był swoim lakonizmem.

Oto jego treść:

„Panie Robercie Verniere!

„W interesie pańskim, w interesie przyszłości pańskiej fabryki i spokoju pańskiej rodziny, proszony jesteś o stawienie się jaknajwcześniejsze przy ulicy Verneuil, między 9-tą, a 10-tą zrana. Nieomieszkaj pan przybyć na to zaproszenie, którego powinieneś zrozumieć całą doniosłość, i przyjm moje ukłony.

Baron Wilhelm Schwartz".

„P. S. Przynieś pan ten liścik, wprowadzą pana do mnie dopiero po zobaczeniu liściku".

Czego on chciał? jaki cios miał zadać? Robert przypomniał sobie list, który mu dał O'Brien. Ten list, jak twierdził magnetyzer, miał się stać tarczą, gdyby Niemcy chciały go zaatakować.

Co przedsięwziąć? Czy miał posłuchać rozkazującego zaproszenia barona Schwartza? Na to pytanie, które sobie postawił, odpowiedział bez wahania, tak!

Trzeba było zajrzyć niebezpieczeństwu w oczy i wiedzieć, czem mu grożono.

Przedewszystkiem jednak, trzeba było upewnić się, czy list, który posiadał, daje rzeczywiste bezpieczeństwo. W tym celu należało przetłomaczyć cyfry.

Wyjął z szufladki list i wyczytał tytuł: „Służba głównego sztabu". Potem niżej skreślone po niemiecku te wyrazy: „Jego ekscelencja ambasador cesarstwa niemieckiego w Paryżu". Dalej następowały zdania cyfrowane.

Widząc dwie pierwsze litery P. L. skreślone u góry,

przypomniał sobie, że O'Brien powiedział mu: klucz małego Laroussa, (Petit Larousse)

Dla przetłomaczenia trzeba mu było trochę cierpliwości. Wziął z biurka słownik potem wlepił oczy w list, otwarty przed nim.

Wydaje nam się zbytecznem podać czytelnikom list w całości. Ażeby im wytłomaczyć mechanizm przekładu, wystarczy pierwsza linia, która tak się przedstawiała:

=515 + 7 = 670 + 23 = 245 — 9 = 132 — 1 — 672 — 11 —

Robert przyjrzał się pierwszym dwom cyfrom. Były to 515 i 7.

Dawny szpieg w służbie pruskiej mógł z łatwością dokonać pracy, którą zapewne podejmował nie po raz pierwszy. Otworzył encyklopedję, przerzucił strony i zatrzymał się na stronie 515. Znak +, który następował, wskazywał mu, że powinien szukać wyrazu na drugiej kolumnie tejże strony, gdzie wyraz ten był siódmym. Ten siódmy był to wyraz: Niech. Napisał go ołówkiem pod pierwszemi cyframi. Przechodząc wtedy do drugiej cyfry; 670 + 23 odnalazł stronicę 670 i policzył aż do dwudziestego trzeciego wyrazu na drugiej kolumnie, co dało mu wyraz: Wasz, który podpisał pod drugą cyfrą. Przyszedł do trzeciej cyfry: 245 — 9, poszukał strony 245. Znak —, umieszczony między dwiema liczbami, mówił mu, że wyraz znajduje się dziewiąty na pierwszej kolumnie i że wyraz ten jest: Ekscelencja, i podpisał go pod trzecią cyfrą.

Jak z tego widać sekret ten był nader prosty i zarazem bardzo bezpieczny. Komu mogłoby przyjść na myśl, że kryptografia niemiecka umieści sekret swej

korespondencji w encyklopedji francuskiej?

Trzy kwadranse przepędził na odcyfrowaniu listu, i to mu dało dosłownie, co następuje:

„Niech — wasza — ekscelencja — nie traci — oczy — kapitan — artylerji — D — przydany — ministerjum — wojny — ma — wydać — plan — uruchomienie — armja — francuskie — wypadek — wojna — płacić — wynagrodzenie — pięć — sto — tysiące — frank — potrzeba — różne — Porozumienie — przedstawiciel — ambasada — dotyczący — proch — bez — dym — Potrzeba — nowy — pocisk — marynarka — torpile".

Tłómaczenie wolne tych myśli, podanych w stylu telegraficznym, nie było trudne do zrobienia.

Robert odczytał biegle:

„Niech wasza ekscelencja nie traci z oczu kapitana artylerji D., przydanego do ministerjum wojny. Oficer ten ma nam wydać plany uruchomienia armji francuskiej na wypadek wojny. Zapłacić mu aż do wysokości pięć kroć sto tysięcy franków za potrzeby różne. Porozumiewać się z przedstawicielem wojskowym w naszej ambasadzie. Trzeba nam sekretu prochu bezdymnego, zastosowanego we Francji i modelu nowych pocisków dla torpedowców i dział marynarki".

— O'Brien mnie nie oszukał, rzekł do siebie Robert Verniere. To istotnie broń potężna, którą zużytkuję w razie potrzeby. Co to za kapitan, którego tu podają tylko pierwszą literę? zapytał siebie. Zresztą, co mnie to obchodzi! Tem gorzej dla niego, jeżeli będę potrzebował go obryzgać błotem! Niech każdy dba o siebie w walce życiowej!.. Tak! odpowiem na wezwanie ba-

rona Schwartza! On myśli, że mnie ma w swym ręku, a to ja go trzymam! Jutro pójdę na ulicę Verneuille.

Jakkolwiek miał zupełną pewność, że jest potężnie uzbrojony do walki, zmarszczka głęboka przerznęła czoło Roberta. Myślał o O'Brienie. Gdzie znaleźć można Amerykanina? Tego nie wiedział, a jednak jego tylko uważał za zdolnego, do usunięcia z drogi wszelkich przeszkód, które ją zawalały. Jednak starał się uspokoić, mówiąc:

— Interesa jego wymagają, ażeby mi przyszedł z pomocą, więc nie może i nie powinien mnie opuścić.

Wreszcie, ażeby odpędzić posępne myśli, które go trapiły, wyjechał do Saint-Ouen, gdzie roboty około fabryki wymagały codzień jego obecności.

X.

Daniel życzył sobie wyjazdu do Parc Saint-Maur, nie chciał jednak znajdować się sam w willi, a nie śmiał powiedzieć pani Verniere:

— Zabieram pani moje dzieci!

Matylda i Alina miały tę samą myśl co i on, ale wahały się zwierzyć z niej przed sobą.

Córka Daniela zdecydowała się pierwsza to powiedzieć swej przyjaciółce i pewnego poranku, gdy się przechadzały po parku w Neuilly, rzekła do niej:

— Nie możesz sobie wyobrazić, jak pragnęłabym nadejścia tej chwili, kiedy ojciec zawiezie nas do Parku Saint-Maur.

Alina westchnęła z pewną ulgą. To, czego nie śmiała sama powiedzieć, wymknęło się z ust jej przyjaciółki.

— A! rzekła, ściskając ręce Matyldzie, jak ja cię rozumiem i słuszność przyznaję. Ciotka moja pani Verniere jest bezwątpienia bardzo dobrą dla nas i bardzo przywiązaną, a jednak zdaje mi się, że oddycham tu mniej swobodnie, niźli tam. A przytem"...

— A przytem co moja droga? spytała Matylda.

— Henryk, jak i za lat dawnych, zamieszkałby z nami w willi parkowej i widywałabym go przynajmniej codzień. Tu zaledwie zajrzy, a gdy przychodzi, zamieniamy z sobą zaledwie słów kilka. Tam rozmawialibyśmy długo, przechadzając się po cienistych alejach nad brzegami Marny, które wolę sto razy niż brzegi Sekwany.

— Czy tylko dla tych powodów pragniesz opuścić to miejsce? spytała Matylda bacznie wpatrując się w swą przyjaciółkę.

Na to pytanie Alina zarumieniła się i nie odpowiedziała.

— Mów do mnie szczerze. Wiesz, że jestem twoją przyjaciółką szczerą i przywiązaną Wiesz, że znam tajemnicę twego serca... Nie wahaj się więc wyjawić, że szczęśliwą będziesz, oddalając się ztąd, bo obok przywiązania pani Verniere, które jest dla ciebie drogiem, inne jeszcze uczucie sprawia ci utrapienie.

— O! prawda, wyszeptała Alina.

— To uczucie jest Filipa de Nayle.

— Zrozumiałaś go?

— Oddawna już i to wcale nietrudne do odgadnięcia, bo to bije w oczy. On cię kocha!

— Niestety!

— Czy ci to powiedział?

— O! nie cóż znowu! Nie pozwoliłabym na to, ale dał mi to do poznania, jak i ciotka.

— Więc pani Verniere wie?

— Wie, że Filip mnie kocha i przed kilku dniami, krótkiemi słówkami dała mi do zrozumienia, iż byłaby szczęśliwą, widząc mnie żoną jej syna.

— Cóżeś ty na to odpowiedziała?

— Nic. Udałam, że nie rozumiem.

— Trzeba było odrazu skończyć, mówiąc prawdę.

— Jaką prawdę?

— Że ty kochasz Henryka. że jesteś jego narzeczoną.

— Nie mogłam tego uczynić, gdyż jej wynurzenia nie były dość otwarte. A zresztą, obawiałam się ją zranić, tyle jej mam do zawdzięczenia! Pomyśl, co uczyniła dla mnie. Byłam zrujnowaną! Biorąc mnie za wspólniczkę z mężem i synem, czyż nie zapewniła mi majątku w przyszłości? Nie miałabym śmiałości wręcz wyznać, że kocham Henryka. Byłoby to złamać jej serce, bo ona ubóstwia swego syna, który jest zresztą dobrym i miłym chłopcem i dla którego byłabym z najzupełniejszem uznaniem, gdyby się nie był tak nie w porę zakochał we mnie.

— Więc gotowaś mu odmówić swej ręki?

— Raczej umrzeć wolałabym, niż się zgodzić.

— Więc gdy pani Verniere zada ci pytanie stanowcze, co odpowiesz?

— Sama myśl o tem mnie przestrasza.

— Pewna jesteś, że kochasz Henryka?

— Z całego sercra i z całej duszy.

— A więc niech ta miłość doda ci odwagi. Pojmuję i podzielam twą wdzięczność dla pani Verniere. Ale nie będziesz potrzebowała majątku, mogącego od niej pochodzić, gdyż Henryk jest bogaty. Opuśćmy ten dom, uciekniesz przed niebezpieczeństwem, które przewidujesz. Oddalisz od siebie Filipa i uprzedzisz Henryka, co się dzieje.

— A jeżeli się mylę? Jeżeli niebezpieczeństwo nie istnieje? Jeżeli ja biorę za oznaki miłości zwyczajną tylko grzeczność?

— Nie, wcale się nie mylisz, bo to, co ty widziałaś, i ja widziałam i zrozumiałam jak i ty, znaczenie tego ugrzecznienia ze strony Filipa. Chociaż się nie oświadcza, jego niepokój, kiedy się zbliża do ciebie, drżenie jego głosu, gdy do ciebie przemawia, spojrzenia, jakiemi się wpatrują jego oczy, gdy patrzy na ciebie, wszystko to dość wyraźnie mówi za niego. Gdy będziemy w Parku, będzie cię widywał rzadziej.

— I zapomni o mnie, rzekła żywo Alina.

— Na to nie licz, moja droga! odparła Matylda z uśmiechem, zbyt jesteś czarującą, ażeby o tobie zapomnieć tak prędko, ale w braku sposobności, kiedy Filip nie będzie cię męczył całodziennemi nadskakiwaniami, może zrozumie nareszcie, że nie ma najmniejszych widoków, na spodobanie się tobie.

— Przypomnij sobie, że ojciec twój wymógł na pani Verniere obietnicę, że gdy się sprowadzimy do Parku, on tam przybędzie, ażeby czas jakiś spędzić z nami.

— Tem lepiej, bo tam niepodobna jej będzie nie zauważyć porozumienia, istniejącego między tobą a Hen-

rykiem. Zobaczy, że się kochacie i wyrzeknie się swych projektów. Zresztą, jeżeliby ona tego nie widziała, ja postaram się jej otworzyć oczy.

— Jak ty to wszystko dobrze układasz!..

— Pozwól mi działać. Najgłówniejszem będzie wpływać na ojca, ażeby jak najprędzej zabrał nas do Parku Saint-Maur. I tego również się podejmuję.

— Kiedy pomówisz z ojcem? zapytała Alina.

— Nic nie wiem, zapewne gdy zawiadomi, kiedy tu przyjedzie, w każdym zaś razie, napiszę doń, wstawszy od stołu, a właśnie dzwonią na śniadanie.

Rzeczywiście dźwięki dzwonka wzywały do pokoju jadalnego mieszkańców willi Neuille.

Po śniadaniu Matylda udała się do swego pokoju i, jak postanowiła, napisała do ojca.

* * *

Prosimy czytelników, ażeby nam towarzyszyli na ulicę Verneuil, do gabinetu głównego naczelnika służby wywiadowczej w ambasadzie niemieckiej.

Baron Wilhelm Schwartz siedział rozparty na fotelu za wielkiem biurkiem, pokrytem papierami i broszurami, i palił ogromne cygaro, głaszcząc się ręką lewą po pięknej brodzie jasnej, przystrzyżonej wachlarzowato.

Przed nim stał rosły mężczyzna, w liberji, pokorny, jak żołnierz pruski przed podoficerem na mustrze. Był to lokaj, pomerańczyk, którego widzieliśmy w służbie u magnetyzera, któremu się zdawało, że liczyć może na jego przywiązanie i dyskrecję.

— Z uwagą odczytałem wasz raport, mówił do niego baron Schwartz. Trzeba, ażebyś mi dał dokładne szcze-

góły o faktach, których byłeś świadkiem.

— Pan baron raczy mnie zapytać, odpowiedział pomerańczyk, bo zdaje mi się, że nie mogę nic dodać do tego, com mu pisał w raporcie.

— Więc to Robert Verniere przychodził do doktora O'Briena?

— Tak, to on. Nie mogłem się omylić, ponieważ znam go oddawna.

— A ta kobieta, ta niewidoma, która przychodziła radzić się jasnowidzącej?

— To dawna odźwierna z fabryki Ryszarda Verniere.

— I to po odwiedzinach tej kobiety postanowił raptownie opuścić Paryż?

— Tegoż wieczora oznajmił mi o swojem wyjeździe, a nazajutrz zrana zostaliśmy zapłaceni i odprawieni.

— I nawet nie mogliście się przekonać, czy ten wyjazd był rzeczywisty i jaki był jego powód?

— Drzwi od gabinetu doktora były szczelnie zamknięte i dlatego starałem się napróżno podsłuchać, co się mówiło między nim i panną Mariani. Nie mogłem podchwycić ani jednego wyrazu, sądzę jednak, że wyjazd był konieczny, klientela się zmniejszała, pieniądze stawały się rzadkiemi, panna Mariani nudziła się. Mój pan miał ochotę spróbować szczęścia gdzieindziej.

— Jesteś bardzo użytecznym, Hermanie, i o tem pamiętać będziemy. Otrzymałeś ładną nagrodę, a Natan, bogaty bankier, całkiem nam oddany dał ci miejsce doskonałe, gdzie musisz nam oddać usługi znaczne. Nie zapomnij otrzymanych poleceń.

— Polecono mi rozciągnąć bezustanny dozór nad

oficerem artylerji, do którego zgodziłem się za lokaja, upozorowawszy, pochodzenie alzackie; mam otwierać szuflady przy pomocy dobranych kluczy, czytać całą jego korespondencję i kopiować wszystko, co mi się wyda szczególnie zajmującem.

— Tak, to dobrze, nie trać nic z oczu, a zwłaszcza nieomieszkaj przeglądać bacznie papiery zwinięte wrzucone do kosza. W ten sposób często można poczynić nieoszacowane odkrycia, francuzi są tak lekkomyślni.

— Przyniosłem kilka z tych papierów.

— Przejrzę je... Dostarczaj ich więcej.

— Pan baron może zawsze liczyć na mnie.

— Teraz cię więcej nie potrzebuję, mój Hermanie. Weź te dwa luidory, i nie zapominaj, że jeżeli mnie zobaczysz przychodzącego z wizytą do twego nowego pana, winienem pozostać dla ciebie zupełnie nieznanym.

Pomerańczyk schował dwa luidory, ukłonił się z szacunkiem i wyszedł po cichu z gabinetu.

Baron spojrzał na zegar. Była godzina dziesiąta.

— Czy przyjdzie dziś zrana? mruknął.

Potem zaczął przeglądać papiery i czynić notatki.

Robert, dostawszy list barona, powiedział sobie:

— Jutro pójdę.

Nazajutrz jednak, ustępując chwiejności, będącej główną właściwością jego charakteru, odłożył to na później. Wreszcie, poradziwszy się swego wspólnika, Klaudjusza Grivot, bardzo zaniepokojonego tem grożącem wezwaniem, kazał się dorożce zawieść na róg ulicy Ojców Świętych. Ztamtąd przez ostrożność zamierzył iść pieszo na ulicę Verneuil.

Dorożka była odkryta i koń biegł szybko. Na wysokości Łuku Tryumfalnego, minęła się z karetką zaprzężoną w dwa konie. Robert zamyślony nie zauważył człowieka, którego twarz dawała się widzieć przez otwarte okno karetki i który dawał mu znaki ręką.

Dorożka toczyła się dalej. Karetka zatrzymała się raptownie i zawróciła, podążając za dorożką Roberta Verniere.

Ta zatrzymała się wreszcie na rogu ulicy Ojców Świętych. Robert zapłacił dorożkarzowi i pieszo zapuścił się w ulicę.

Człowiek, który go śledził, również wysiadł i śpieszył się, jakby go chciał dogonić. Zobaczył potem, że skręcił w ulicę Verneuil i zadzwonił do drzwi pałacyku, noszącego numer 4, poczem znikł po za bramą. Śledzący zatrzymał się i zmarszczył brwi z miną niezadowoloną, ale wypogodził twarz prędko.

— Zaczepię go, gdy ztamtąd wyjdzie, wyszeptał, i zaczął go wyczekiwać, na rogu ulicy Ojców Świętych.

Drzwi Robertowi otworzył służący, zapytując po niemiecku:

— Czego pan chce?

— Widzieć się z baronem Schwartz, odpowiedział bratobójca w tymże samym języku.

— Czy ma pan list dla wejścia?

— Mam.

— Proszę o ten list.

— Oto jest.

Lokaj spojrzał na adres i rzekł.

— A! bardzo dobrze, otrzymałem rozkazy. Pan ba-

ron czeka na pana.

— Czeka na mnie, pomyślał Robert, więc był tak pewny, że przyjdę.

— Zechce pan ze mną pójść, rzekł służący.

Jakkolwiek panował nad sobą zupełnie i zebrał się już wprzód na odwagę, mąż Aurelii nie mógł się ochronić od przejmującego niepokoju.

Robert przestąpił próg gabinetu barona Wilhelma Schwartz. Ten siedział przy biurku, paląc wiecznie grube cygaro i lewą ręką głaszcząc piękną brodę jasną. Nie wstał nawet przy wejściu Roberta, a wyraz twarzy jego nie miał w sobie nic ujmującego.

— Spodziewałem się pana wcześniej, panie Verniere, rzekł doń tonem suchym.

— Dlaczego wcześniej? zapytał nowoprzybyły z wyraźnym spokojem.

— Bo przypuszczałem, żeś pan dość sprytny, aby dobrze zrozumieć słowa mego listu, odpowiedział.

Robert odparł:

— Sprytu, jaki przypuszczał pan we mnie, może mi brak, ale wyznaję, że listu pańskiego nie rozumiem dotąd.

Prusak rzucił na Roberta szczególne spojrzenie.

— A jednak przyszedł pan! zawołał.

— Przez ciekawość. Ażeby szukać rozwiązania zagadki i wreszcie przez wzgląd na pana, przedstawiającego naród, który mi niegdyś okazał życzliwość.

Schwartz ukłonił mu się ręką.

— Szczęśliwy jestem, że słyszę od pana taką mowę, rzekł tonem, wyraźnie złagodzonym, dowodzi to, że pan

pamiętasz o tej życzliwości. Niech pan siada. Mamy z sobą do pomówienia.

— Jestem do pańskiego rozporządzenia, ale wytłómacz mi pan najprzód, proszę, list pański, którego ostre wyrażenia zdawały się wyrażać groźbę.

— Jeżeli go pan tak zrozumiał, to dlatego, że pan się czujesz rzeczywiście zagrożonym.

— Zbyteczne złudzenie, panie baronie, ja nie czuję się zagrożony niczem na świecie...

— Czyś pan tego tak pewien?

— Tak, jestem pewien i zapytuję się, jaki miecz wisieć może nad moją głową?

Wilhelm Schwartz zacisnął cienkie wargi, i ważąc słowa, odpowiedział z powolnością wyrachowaną:

— Nie znałem pana dawniej w Berlinie, gdyś pan oddawał nam wielce szacowne usługi, i żałuję, gdyż przyjemnie byłoby mi stwierdzić, jak pańscy zwierzchnicy cenili zasługę pańską, gorliwość, przywiązanie dla naszych interesów, nienawiść dla Francji.

Robert zdziwiony nieco tym wstępem tak łagodnym, miał się na baczności.

— Nienawiść moją dla Francji? powtórzył. Mylisz się, panie baronie. Francja jest moim krajem.

— Ponieważ ją zdradzasz na korzyść Niemiec, musisz więc pan mieć powody dla jej nienawidzenia. Ja mam tu przed oczyma notatki, które pana dotyczą. Bardzo interesujące, z nich się dowiedziałem o wszystkiem, coś pan uczynił przeciw swemu krajowi, któregoś się pan wyparł oddawna.

Robert dał znak zaprzeczenia.

— Przepraszam! ciągnął dalej baron, nie można zadawać kłamu rzeczywistości. W danej chwili zgłosiłeś się pan z ofiarowaniem swych usług. Przyjęto je i uczyniono dobrze. Jeżeli nastąpiło zerwanie stosunków między panem i głównym sztabem, to z pańskiej winy, bo stałeś się podejrzanym. Zamknięto przed panem kasę, z której przywykłeś obficie czerpać, ale nie powinieneś pomimo to zapominać, że gdy wszystkiego panu brakło, znalazłeś w Niemczech oparcie i dochody.

Ta mowa wykrętna, która jakby nie zmierzała do żadnego celu, denerwowała Roberta. Przerwał wręcz boronowi Schwartzowi.

— Na co te rozprawy, które dałyby się streścić w kilku słowach? rzekł. Wiem, czem byłem, wiem czem jestem. Skoro mnie pan wezwałeś do siebie, miałeś powód. Jakiż to? Odpowiedz mi pan szczerze i nie baw się ze mną niepotrzebnie w dyplomację.

— Jesteś pan doświadczonym, o tem wiem, rzekł dostojnik z uśmiechem.

— Obeznany jestem ze zwyczajami pańskiego rządu i tylko! Napisał pan do mnie co następuje: „W imieniu przyszłości fabryki pańskiej rodziny, proszony pan jesteś o przybycie jak najprędzej na ulicę Verneuil.“ Otóż przyszedłem i oczekuję od pana objaśnienia. Racz mi je pan dać, w przeciwnym razie będę miał zaszczyt pana pożegnać.

Baron Schwartz przygryzł usta.

— Ten człowiek nie domyśla się, że go trzymam w ręku, pomyślał. Gdyby się spodziewał, mówiłby innym tonem. Potem dodał głośno: Chcesz pan objaśnienia

stanowczego, drogi panie Robercie Verniere. To je panu dam. W jakich warunkach znajdujesz się pan w Paryżu? To nam jest wiadome. Brat pański umarł śmiercią tragiczną, którą się zajmiemy za chwilę, jeżeli to będzie potrzebnem. Żona pańska sprzedała wszystkie swe posiadłości na terytorjum niemieckiem, ażeby osiąść we Francji i dostarczyć panu kapitałów niezbędnych do odbudowania fabryki w Saint-Ouen, którą prowadzisz ze swym pasierbem, w charakterze wspólnika. Opuszczając Niemcy bez zamiaru powrotu, zabrałeś pan z sobą wielką ilość sekretów, które przeniknąć pozwalało panu nasze zaufanie. Te tajemnice, które w znacznej części dotyczą postępu naszych uzbrojeń, są wielkiej doniosłości. Chcemy wierzyć, że nie zechcesz pan ich zużytkować na naszą szkodę, więc nie mówmy o tem, lecz pomówmy o projektach, powziętych przez pana, kiedy byłeś w Berlinie. Przedstawiłeś pan w głównym sztabie modele nowych kartaczy, wynalezione przez pana.

— I zostały odrzucone! zawołał Robert.

— Bo nie miałeś pan zaufania już w odpowiednich sferach, ale nie dlatego, ażeby nie uznano zalet wynalazku. W fabryce w Saint-Ouen, urządziłeś pan oddział specjalnie dla wyrobu pocisków wojennych, oraz warsztaty dla fabrykacji nowej udoskonalonej kartaczownicy. Pański pasierb, uczeń szkoły sztuki i rzemiosł w Châlons, i bardzo uzdolniony, podług naszych wiadomości w przedmiocie uzbrojeń, będzie panu niósł pomoc ze swej wiedzy i zdolności, co zdwoi pańską siłę. Otrzymałeś pan już z ministerjum wojny i ministerjum ma-

rynarki zachętę i obstalunki. Wszystko to nie może nam się podobać i postanowiliśmy nakazać panu.

— Nakazać mnie! przerwał Robert.

— Doskonale! Na pozór będziesz pan pracował dla Francji, w rzeczywistości jednak pracować pan będziesz dla Niemiec, a to panu zapewni świetne zyski pieniężne. W krótkim czasie dojdziesz pan do majątku!.. Widzisz więc pan, że nie bawię się w dyplomację, że gram z panem w otwarte karty!

— Więc masz pan szpiegów wszędzie! wyszeptał Robert.

— Tak, wszędzie, kochany panie Verniere. Wiemy o wszystkiem, co się dzieje, o wszystkiem, co się mówi, o wszystkiem, co myślą we Francji! Masz pan tego dowód. Teraz pomówmy o interesach. Ile pan zażądasz, ażeby być naszym człowiekiem? Ustanów pan cyfrę i zapamiętaj, że się nie targujemy...

— Nie zażądam nic, ponieważ nie chę nic przyjąć! I wszelkie propozycje pańskie, jakkolwiek świetne, odrzucam, odparł Robert.

— U!.. Co za bezinteresowność! rzekł baron tonem drwiącym. Zaraz widać, że potrzeba nie dokucza panu, jak dawniej...

— To prawda, a kiedy potrzeba nie istnieje, pojęcia się zmieniają.

— Można mieć inny bat na człowieka, niż potrzebę, i o tem się pan przekonasz. I dlatego ponawiam swe propozycje, które radzę panu przyjąć. Ileż trzeba ofiarować, ażeby Robert Verniere, wielki przemysłowiec, stał się znowu dla Prus tem, czem był w Berlinie zgło-

dniały Robert Verniere?

— Nie trzeba mu nic ofiarowywać! Powtarzam panu, że wszystkiego odmawiam.

— Strzeż się pan! Zostaniesz złamany.

— Nic sobie z tego nie robię.

— Zobaczymy! Zacznijmy z innego tonu. Chciałem panu tego oszczędzić, ale nie każdy może czynić, jak chce, a pan mnie do tego zmuszasz. Przypomnę więc panu, bo jakbyś o tem zapomniał, że od trzech miesięcy idziesz drogą, która prowadzi na rusztowanie.

Robertowi zdawało się, że jest przygotowany na wszystko. Tego się jednak nie spodziewał. Dreszcz przeszedł mu po ciele. Baron Schwartz ciągnął dalej:

— Tak, na rusztowanie!.. Słówko jedno, jedno tylko słówko odemnie, a zaraz byś się pan tam dostał! Sprawiedliwość francuska nie zna nazwiska mordercy pana Ryszarda Verniere. My jednak możemy ją o tem zawiadomić. Wtedy sąd zapyta brata człowieka zamordowanego, co czynił w Paryżu pod nazwiskiem Fryca Leymana od 28. grudnia zeszłego roku? Zapyta go zwłaszcza, co uczynił z klejnocikiem, przywieszonym do łańcuszka od zegarka, który miał przy sobie w noc zbrodni w Saint-Ouen, a klejnocik ten odnaleziono w zaciśniętej ręce Weroniki Sollier. Jest to cacko sztuki, panie Robercie Verniere, prawdziwe arcydzieło cyzelerskie. Lew, leżący i w szponach trzymający szmaragd, na którym wyryte są dwie litery, H. i N. cyfry hrabiego Henryka de Nayle, pierwszego męża pańskiej żony.

Robert przestraszony stał się bladym.

— O'Brien mnie sprzedał, pomyślał.

Baron Schwartz spostrzegł dreszcz i bladość. Ciągnął też dalej:

— Czy więc nic sobie z nas nie robisz, czy też ro zumiesz panie Verniere, że znajdujesz się w zupełności na naszej łasce? Zdawało ci się, że pozyskałeś bezkarność i to cię odurzyło! A teraz widzisz, że ta bezkarność trzyma się na nitce. Przyjm pan nasze propozycje, powtarzam, albo pana zadenuncjuję.

Bratobójca zamyślił się. Nie, O'Brien z pewnością nie mógł go zdradzić tak podle, gdy właśnie dawał mu broń do obrony. Odzyskał więc panowanie nad sobą i postanowił z tej broni skorzystać. Zamiast odpowiedzieć, jak baron się spodziewał, oświadczeniem najzupełniejszej uległości, odparł:

— Ażeby mnie zadenuncjować, musiał byś pan mieć dowody.

— Brelok oderwany od pańskiego łańcuszka, jest sam przez się dowodem niezbitym. Któżby go pozostawił w rękach odźwiernej fabrycznej, jeśli nie pan?

Baron Schwartz spodziewał się zaprzeczenia.

Jakież więc było wielkie jego ździwienie, gdy usłyszał, że Robert Verniere odpowiedział mu:

— To ja, rzeczywiście.

— Przyznajesz pan?

— Przyznaję.

— To zaczynamy się porozumiewać.

— O! to bardzo niepewne. Cóż pan możesz przeciw mnie uczynić? Oskarżyć mnie. Powiedzieć, że jestem sprawcą zbrodni w Saint-Ouen...

— I to uczynimy, jeżeli pan nie przyjmiesz naszych propozycji.

— Nie przyjmuję ich i dodaję, że panowie nie przejmujecie mnie wcale obawą! Oskarżcie mnie. Jak chcecie! Ja na wasze oskarżenie odpowiem również oskarżeniem! Ja zostanę uwięziony, skazany, ale zadam waszemu rządowi ranę nieuleczalną! Zdemaskuję was ku oburzeniu mocarstw europejskich, które potępią was przez pruderję. Ja zabiłem człowieka! Więc cóż z tego? Wy chcecie zamordować naród!

— Zdaje mi się, niech mi Bóg przebaczy, że to pan grozisz teraz? zawołał baron z wściekłością.

— Pan mnie atakuje, ja się bronię! Idź pan i powiedz prokuratorowi rzeczypospolitej, że zamordowałem Ryszarda Verniere i złóż na to dowód... Ja na to odpowiem i dowiodę, że byłem na żołdzie Prus i że działałem z ich rozkazów. One chciały zniszczyć fabrykę Ryszarda Verniere, patrjotę, którego nie mogły kupić, a którego wynalazki i prace wydawały się im niebezpiecznemi dla nich.

— Wiesz pan dobrze, że to kłamstwo! przerwał Wilhelm Schwartz, siny z gniewu.

— Wiem, że się to wyda prawdą! Zaczekaj pan! Musisz mnie wysłuchać, gdy powiem! Jestem ostatnim z nędzników, ukarzcie mnie, ale ukarzcie także tych którzy mi nakazali zbrodnię!

— Nie uwierzą panu.

— Muszą mi uwierzyć, gdy złożę w sądzie dowody waszej nikczemności.

— Warjat pan jesteś! tych dowodów niema.

— Oto jeden. To list cyfrowany, pochodzący z biura głównego sztabu w Berlinie i adresowany do waszego ambasadora w Paryżu. Cóż pan na to?

Robert wyjął z kieszeni list, który rozłożył i przesunął go przed oczyma barona ale zdala od jego rąk.

Ten już nie głaskał jasnej brody. Powieki mu drgały, drżenie nerwowe wstrząsało mu usta i ręce.

— List cyfrowany! wyjąkał.

— Ale pozwolił mi go odcyfrować egzemplarz słownika Petit Larousse, rzekł Robert. List jest podpisany i ma stempel głównego sztabu i zresztą jest zrozumiały, jak się należy. Niech pan posłucha.

I bratobójca odczytał głośno, tonem szyderskim, list już nam znany. W chwili gdy kończył czytać, Wilhelm Schwartz schwytał z szuflady biurka rewolwer nabity i rzucił się na niego.

— List! rozkazał. Daj mi ten list, albo palnę panu w łeb!

— O panie baronie, widocznie bierzesz mnie pan za głupca? odpowiedział Robert z największym spokojem, powinieneś pan był pomyśleć, że to tylko kopia, a oryginał znajduje się w dobrych rękach. Taki wypadek jest przewidzianym. Gdybym nie wyszedł żywym od pana, oryginał zostałby oddany komu z prawa należy. Teraz oskarż mnie pan, jeżeli ci to serce dyktuje, a wiesz jaka będzie odpowiedź.

Baron wydał ryk bezsilności.

— To O'Brien dał panu ten dokument, nieprawdaż? zapytał głosem zdławionym.

— Nie on, ale co pana to obchodzi?

— Za ile sprzedasz mi pan oryginał tego listu?

— Ile mi pan ofiarowujesz?

— Trzysta tysięcy franków.

— To mało.

— Pięćset tysięcy franków.

— Ta cyfra dowodzi mi, jaka jest doniosłość dla pana tego papieru i jaki ona stanowi dla mnie środek bezpieczeństwa! Ponieważ więcej mi zależy na życiu, niż na pieniądzach, nie oddam tego papieru gdybyś mi pan nawet ofiarował miliony.

— Strzeż się, panie Verniere.

— Czego?

— Są tajemnice, które zabijają!

— Ta mnie nie zabije, dopóki nie będziesz pan miał nadziei dostania do rąk kompromitującego listu. Zresztą, nie będziesz się pan potrzebował obawiać niczego odemnie, jeżeli ja nie będę się obawiał niczego od pana. Przyjmijmy sposób postępowania zupełnie odpowiedni. Niemcy znają me zbrodnie, ja znam ich. Milczmy i będziemy dobrymi przyjaciółmi...

Baron Schwartz uspokoił się.

— Rzeczywiście, jesteś pan człowiekiem bardzo silnym, rzekł z uśmiechem trochę wymuszonym, bardzo żałuję, żeśmy pozwolili panu od nas odejść.

— Ja również żałowałem tego dawniej, lecz teraz już nie żałuję.

— Pomówmy otwarcie. Chcesz pan mieć majątek?

— Liczę na to, że mi go da praca.

— Mówię o majątku niemałoznacznym, wielkim majątku, majątku, przewyższającym pańskie nadzieje i ma-

rzenia. Trzy miljony, ja je panu dam.

— Chcesz mnie pan kusić.

— Trzy miliony, powtórzył Wilhelm Schwartz, i nasze poparcie dla obrony pana, gdyby cię oskarżono, i nasze wspólnictwo, gdyby ci było potrzebne, dla usunięcia swych wrogów. Stań się zarazem naszym przyjacielem, naszym sprzymierzeńcem, a pragnienia najbardziej wygórowane będą zaspokojone. Żyjesz pod kuratelą pani Verniere, podlegasz skutkom aktu spółkowego, który cię wiąże z jej synem i z córką pańskiego brata. Jesteś tylko panem na pozór. My pana wybawimy z tej kurateli i z tych więzów, pieniądze przywrócą panu niezależność! Zostaniesz pierwszym przemysłowcem we Francji! Służ nam, a my uczynimy cię wielkim, i nikt z najprzebieglejszych dyplomatów nie odgadnie, jakie nas z sobą łączą stosunki. Bądź jak dawniej naszym gorliwym współpracownikiem! Wydaj nam wszystkie sekrety uzbrojeń francuskich, które przy swojem położeniu będziesz mógł poznać lepiej niż ktokolwiek inny, a będziesz mógł liczyć na nas, jak my liczyć będziemy na pana! Zgoda?

Czoło Roberta okryło się potem.

Człowiek, którego znamy, człowiek, którego poznaliśmy w jego uczynkach, nie mógł się obrażać na te propozycje. Zepsuty do szpiku kości, chciwy pieniędzy, przejęty strachem sądu przysięgłych, rusztowania, pragnący bardziej niż kiedykolwiek życia hulaszczego i rozwięzłego, nie miał żadnych skrupułów, gotów był całkiem się zaprzedać, lecz nie chciał się oddać niezwłocznie. Zapytał się sam, czy te miljony pokryją

bezkarność, jaką mu przyrzekano, czy nie kryją w sobie jakiej zasadzki. Gdy milczał, baron Schwartz powtórzył:

— No czy się zgadzamy?

— Trzeba mi czasu do namysłu, odpowiedział Robert głosem głuchym.

— Czy to ukryta odmowa?

— Nie. Ja nie odmawiam, lecz chcę się namyślić.

— Przecież zrozumiałeś mnie pan dobrze? Więc dlaczego się pan wahasz?

— Bo zastanowienie jest konieczne. Nie można brać tak lekko postanowienia tak ważnego.

— Niech i tak będzie. A list cyfrowany?

— Nie zrobię z niego użytku, powinieneś pan to zrozumieć, tylko w razie napaści z pańskiej strony. Możesz więc pan być spokojny, jak ja nim jestem.

— Byłeś pan u O'Briena w przeddzień jego zniknięcia?

— Być może, ale dopiero od pana dowiedziałem się o jego zniknięciu.

— Przyznaj pan, że to on ci oddał list, z którego broń masz przeciw nam.

— Nie zaprzeczam tego bezwzględnie, a zresztą z listu tego ja nie czynię broni, tylko tarczę.

— Więc utrzymujesz pan, że nie wiesz, gdzie się znajduje amerykanin?

— Tak, utrzymuję, bo to prawda.

— Powiedz pan raczej, że mi nie ufasz.

— Gdyby tak było, przyznaj pan, że początek rozmowy z panem, dawałby mi do tego prawo. Robert wstał, postanawiając nie przedłużać rozmowy. Proszę pana o miesiąc do namysłu, wyrzekł dalej, czy dasz

mi go pan.

— Skoro trzeba, ale odtąd radzę panu nic przeciw nam nie przedsiębrać.

To było powiedziane tonem groźby.

— Nie mam w tem żadnego interesu bo oddalibyście cios za cios! odpowiedział Robert. Za miesiąc będę miał zaszczyt zobaczyć się z panem.

Bratobójca skierował się ku drzwiom gabinetu i opuścił pałacyk, odprowadzany przez barona aż do bramy.

Powracając tą samą drogą, przez ulicę Ojców Świętych ku wybrzeżu, gdzie zamierzał wziąć dorożkę, Robert mówił do siebie:

— Jeżeli nie przyjmę ich propozycji, ci ludzie znajdą sposób, ażeby mnie zgładzić i to tak, że nikt nie będzie mógł posądzić o morderstwo. Przygotują jaki wypadek. Bądź cobądź są oni silniejsi odemnie! I pomyśleć, że jedyny człowiek, który może mi doradzić i pomódz, zniknął niewiadomo gdzie. Dokąd wyjechał O'Brien? Co się z nim stało? Co porabia?

W chwili gdy zadawał sobie to pytanie, uczuł, że go ktoś zlekka dotknął. Zdziwiony obrócił się.

Człowiek, którego widzieliśmy w karetce, potem pieszo, był o dwa kroki od niego i głosem cichym i prędkim rzekł doń:

— Bierz pan to i idź spiesznie, nie oglądając się za mną. Może ktoś z ulicy Verneuil szpiegować pana.

Robert nie poznał ani osoby, ani głosu. Wziął nie bez niepokoju kawałek papieru, który mu wsunął do ręki.

Człowiek z karetki ciągnął dalej:

— Czytaj pan i nie odwracaj się.

Potem udał się w kierunku przeciwnym, niż szedł Robert Verniere.

Słowa: „Może ktoś z ulicy Verneuil szpiegować pana“ zmieszały Roberta, ściskał gorączkowo list w palcach i niecierpliwie pragnął jaknajprędzej poznać jego treść, starając się daremnie odgadnąć, kto może być tym tajemniczym nieznajomym. Doszedł na wybrzeże, gdzie znajdowała się stacja dorożek. Wsiadł do jednej z nich i kazał się wieść wybrzeżem w kierunku kościoła N. Marji Panny. Teraz zapuścił w dorożce firanki i rzucił oczyma na papier, który mu palił palce. Zawierał on tylko te wyrazy, pisane ołówkiem:

„Wsiądź pan do pierwszego pociągu, który odchodzić będzie niebawem. Następnie wysiądź pan w Joinville-le-Pont. Idź pan na most, tam pośrodku mostu znajdziesz pan schody, prowadzące na brzeg Marny. Zejdź pan temi schodami i zaczekaj na mnie, nie dam na siebie długo czekać.

„O. B“.

Robert wydał okrzyk radości. O. B. Te pierwsze litery znaczyły tyle co podpis O'Briena.

Ten, który, jak sądził, może go podtrzymać i kierować nim, więc go zobaczy, w chwili gdy najmniej na to liczył. Opuścił szybę dorożki i zawołał na woźnicę:

— Na dworzec Vincennes, szybko! Dostaniesz na piwo!

Woźnica zaciął konia i dorożka potoczyła się prędko.

XI.

W chwili, gdy dorożka wioząca Roberta Verniere, miała wjechać na podwórze dworca kolejowego, mu-

siała się zatrzymać, ażeby przepuścić powóz odkryty, za którym jechał omnibus familijny ze stacji.

W powozie siedziały: pani Verniere, Matylda i Alina. Omnibus napakowany był kuframi i pudłami.

Robert wychylił głowę przez drzwiczki, aby zobaczyć, jaki jest powód zatrzymania się wehikułu, i cofnął się szybko, spostrzegając swą żonę, synowicę i córkę sędziego śledczego. Wśród myśli i zajęć jakie go oblegały, zapomniał zupełnie, iż urzędnik, ustępując życzeniu Matyldy, które zresztą zgadzały się i z jego życzeniami, postanowił przyśpieszyć o trzy tygodnie swój wyjazd na wieś, dokąd pani Verniere miała im towarzyszyć i przepędzić z nimi czas pewien.

Dzień ten był wybrany do odjazdu. Zegar stacyjny wskazywał godzinę 10 m. 50. Pociągi odchodziły regularnie o godz. 11 minut 5 i o 11 godz. 35 min.

Robert nie chcąc się znaleźć wobec żony, której trzeba byłoby wytłómaczyć jego obecność w tych stronach, dał rozkaz woźnicy, ażeby zatrzymał się przed bramą sąsiadującą z dworcem. Ztamtąd mógł się wszystkiemu przyglądać. Widział, jak trzy kobiety, powiedziawszy kilka słów lokajowi Daniela Savanne, wyszły z dworca i skierowały się do restauracji na bulwarze Beaumarchais.

— One jeść będą śniadanie, pomyślał, służba udaje się wprost do Parku Saint-Maur, ażeby wszystko gotowe było w chwili ich przyjazdu. Wobec tego będę musiał jechać dopiero następnym pociągiem.

Karetka, która nadjechała szybko i zatrzymała się u wejścia pasażerów, zwróciła uwagę Roberta. Wysiadł

z niej jakiś człowiek. Verniere poznał w nim osobistość, która wsunęła mu do ręki papier na ulicy Ojców Świętych. Był to doktor O'Brien, tak przedziwnie ucharakteryzowany, że niepodobna go było poznać.

Podejść do niego byłoby niezręcznie i ryzykownie. W pół godziny później pojechał pociągiem.

Już od pół godziny Daniel Savanne znajdował się w sądzie, w swym gabinecie z pisarzem i odczytywał po raz dziesiąty zeznania świadków, przesłuchanych w przedmiocie zbrodni w Saint-Ouen. W przeddzień wezwał znowu do siebie, jako świadków, kasjera Prieura, Magdalenę byłą służącę Ryszarda Verniere, Weronikę Sollier i małą Martę. Z niecierpliwością oczekiwał tych czworo świadków, pragnąc wielce zbadać tajemnicę, dotyczącą obecności brata jego Gabrjela u Ryszarda wieczorem 30-go grudnia 1893 roku. Zdawało mu się, że te odwiedziny Gabrjela u jego przyjaciela, odwiedziny, do których się nie przyznawał, musiały mieć jakąś łączność z morderstwem przemysłowca i myślał o związku logicznym między tymi dwoma wypadkami.

Kasjer Prieur przybył pierwszy.

— Pan zakończył rachunki fabryczne 30. grudnia wieczorem? zapytał sędzia.

— Tak, panie.

— O której godzinie?

— Między godziną szóstą a siódmą.

— Tego wieczora znajdowała się w kasie suma około pięćset pięćdziesiąt dwa tysiące franków?

— Pięćset pięćdziesiąt dwa tysiące dwieście dwadzieścia siedm franków, poprawił kasjer.

— Czy po ukończeniu rachunków, opuściłeś pan fabrykę? zapytał urzędnik.

— Tak, panie. Około kwadrans na ósmą.

— Czy się pan nie dowiedział, że po pańskiem odejściu przyszedł ktoś i złożył u pana Verniere sumę poważną?

Prieur potrząsł głową.

— Nie, panie, rzekł, i to mi się wydaje bardzo nieprawdopodobnem.

— Dlaczego?

— Nazajutrz, w niedzielę 31. grudnia, jadłem śniadanie z panem Ryszardem Verniere, w towarzystwie Klaudjusza Grivot. Pewny jestem, że gdyby jaki depozyt oddany został, pryncypał byłby mi o tem powiedział, polecając mi zapisać go w rachunkach firmy.

— A czy właściwie mógł o tem nie mówić?

— Tak, jeżeli suma, która mu została powierzoną, miała pozostawać po za wszelkiemi obrotami firmy.

— To dobrze, dziękuję panu, panie Prieur i nie zatrzymuję pana dłużej. Możesz pan wrócić do siebie.

Kasjer się oddalił i woźny wprowadził Magdalenę, dawną służącą Ryszarda. Daniel Savanne miał jej zadać tylko jedno pytanie, mianowicie:

— Czy wieczorem 30. grudnia widziała u swego pana jakiego oficera marynarki?

Odpowiedziała twierdząco: oficer ten jadł obiad z Ryszardem Verniere.

Zaraz też po odprawieniu Magdaleny, zostały wprowadzona niewidoma i mała Marta. Sędzia polecił swemu sekretarzowi, ażeby się oddalił chwilowo.

Pani Sollier przeczuwała, że ze strony sędziego śledczego będzie teraz mowa o ojcu Marty.

— O cokolwiek cię zapytają, powiedziała Marcie, pamiętaj, że nie powinnaś nic oświadczać, bo pamięć twoja umarła. Ja odpowiadać będę za ciebie.

— Bądź spokojną, babciu, odparła córka Germany, o cokolwiek mnie zapytają, nie powiem nic.

Pan Savanne usadowił niewidomą naprzeciw siebie.

— Moja dobra pani Sollier, zaczął urzędnik, kuzyn mój, Henryk Savanne, zajmuje się panią poważnie w tej chwili. Dziś nawet zobaczy się z doktorem Sermet, który panią leczył w szpitalu, i zapyta go o rady a jednocześnie i o szczegóły operacji, jaką pani przeszłaś. W szpitalu swym studjuje wypadki, mogące być podobnemi do wypadku pani, chce nabrać pewności, czy jest możebne poddać panią operacji, bez narażenia życia, na niebezpieczeństwo, a kiedy będzie już pewnym, nie zawaha się wcale i odwoła się do pomocy i doświadczenia najsłynniejszych specjalistów. Miej nadzieję, jak i my, że Bóg zechce ci wzrok przywrócić, na ukaranie winowajców, których śledzimy. Zresztą, zdaje mi się, że jesteśmy na śladzie.

— Czy miałbyś pan podejrzenie na kogo? zawołała niewidoma.

— Tak i nie, odpowiedział urzędnik, zmierzając dojść do celu wymijającemi drogami. Kiedy sprawa jaka zajmuje człowieka, wtedy łączy się z sobą jedne fakty z drugiemi i z tych kombinacji nieraz tryska światło. To też w pani zeznaniu pierwszem, jedna mnie rzecz uderzyła.

— Jaka, proszę pana?

— Kiedy pani przyszłaś tutaj, po wyjściu ze szpitala, wiedziałaś dobrze, że się znajdujesz w gabinecie urzędnika, któremu powierzono śledztwo w sprawie zbrodni w Saint-Ouen. Przyszłaś pani do sędziego śledczego z powziętym zamiarem powierzenia mu tajemnicy, zapytania go o radę.

Drgnęła i ręka jej ścisnęła ramię małej Marty.

— Chodziło o rzecz bez znaczenia, rzekła.

— Bez znaczenia może dla pani, lecz nie dla sprawiedliwości, odparł Daniel. Mówiłaś mi pani o wizycie, złożonej panu Verniere przez mego brata, Gabrjela Savanne, dnia 30. grudnia wieczorem.

— Tak, przypominam to sobie, lecz pan mi odpowiedziałeś, że się muszę mylić, to bardzo było możliwe, ponieważ nie znałam kapitana Savanne.

— Niezawodnie wymienił przed panią swoje nazwisko, ażebyś go oznajmiła panu Verniere.

— Są nazwiska do siebie podobne, a pamięć może mnie mylić.

— To bardzo nieprawdopodobne. Ostatecznie ten oficer marynarki i pan Ryszard jedli z sobą obiad i przepędzili wieczór razem.

— To możebne, nie pamiętam dobrze. Dwa dni przedtem pochowałam córkę, w głowie mi się mąciło.

— Pani Sollier, zawołał sędzia, pani nie mówisz mi prawdy! Pani doskonale wiesz, że oznajmiłaś kapitana Savanne, że przepędził kilka godzin z panem Ryszardem Verniere, i musisz pani znać powody tej długiej rozmowy.

— Pan się myli! rzekła ociemniała żywo.

— Ja się nie mylę i znajduję na to dowód w słowach, wymienionych przez panią tutaj, gdyś się dowiedziała nagle, że brat mój umarł, i kiedy prosiłem panią o odłożenie na później zwierzeń, jakie miałaś mi uczynić. „Pan Savanne umarł“ odpowiedziałaś mi wręcz „nie mam panu już nic do powiedzenia“. I to dlatego że dowiedziałaś się, iż znajdujesz się wobec jego brata. Gabrjel Savanne i Ryszard Verniere mieli między sobą jakąś tajemnicę, wiadomą pani, którą byłabyś mi wyjawiła, gdybym się nie był nazwał Danielem Savanne. My jesteśmy pewni, że Gabrjel Savanne złożył u Ryszarda Verniere sumę trzysta tysięcy franków. W liście pisanym przez brata mego do swego syna przed śmiercią, oskarża się o popełnienie za życia ciężkiego błędu. Oznajmia mu, żeby zapytał Ryszarda Verniere, do którego pisze jednocześnie, donosząc, że go zwalnia z danego zobowiązania i upoważnia go do opowiedzenia synowi, jeżeli się tenże uda do niego. Ryszard Verniere umarł, a ja mam przekonanie, że pani tylko możesz odkryć tę tajemnicę, którą nam poznać należy w interesie prawdy i sprawiedliwości!

Czoło niewidomej zroszone było potem. Byłaby chciała mówić, lecz ostatnie wyrazy, przez urzędnika wyrzeczone, przyprowadziły jej na pamięć przysięgę, uczynioną przez nią ojcu Marty. Wprawdzie sędzia mówił, że kapitan okrętu pisał do syna, oskarżając się za błąd i dodając, że zwalnia Ryszarda Verniere z danego słowa. Ale co to znaczyło dla niej? Mogli ją oszukiwać. Najlepszy dowód, że chociaż Gabrjel Savanne oskarżał

się o winę, nie mówił jednak o jaką. Powinna była milczeć.

— Ja nic nie wiem, proszę pana, rzekła niewidoma głosem nieco cichym ale bardzo stanowczym.

— To znaczy, że pani nie chcesz odpowiedzieć? odparł Daniel niezadowolony.

— Nie mogę odpowiedzieć, bo nic nie wiem.

— Czyż więc pani nie zrozumiała? Widzenie się mego brata z Ryszardem Verniere może się łączyć węzłami tajemniczemi ze zbrodnią, której Ryszard i pani byliście ofiarami. Gdybyś pani dała poznać nam przyczynę tych odwiedzin, może pomogłabyś pani sprawiedliwości do pomszczenia was obojga.

— Ja nic nie wiem, proszę pana.

— Przysięgasz mi na to pani?

Weronika zawahała się na sekundę.

— Dlaczego pyta mnie pan o przysięgę?

— Jeżeli pani nie kłamiesz, dlaczego nie masz tego uczynić?

— A więc! rzekła, przysięgam na to.

Widocznem się stawało, dla Daniela Savanne, że nalegać dłużej byłoby zbytecznem. I zadzwoniwszy na woźnego, dał mu rozkaz odprowadzenia niewidomej i wnuczki aż na dziedziniec sądu.

W kilka minut później babka i jej wnuczka jechały w kierunku Saint-Ouen.

* *
*

Skutkiem spotkania, jakie miał Robert na stacji kolei w Vincennes, doktor O'Brien pierwszy przybył do Joinville-le Pont i natychmiast udał się na miejsce,

które wskazywał list lakoniczny. Naturalnie Roberta jeszcze tam nie było. Nieobecność ta wydała mu się dziwną.

Zastanowił się jednak prędko, że jakiś wypadek mógł go opóźnić, i dla zabicia czasu przechadzał się po wybrzeżu. Nadzieja jego nie doznała długiego zawodu.

Robert ukazał się, idąc bardzo prędko i kierując się ku schodom, prowadzącym na wybrzeże.

Magnetyzer powitał go u dołu tych schodów.

— Nareszcie znajduję pana! zawołał Robert. Wiesz, żem pana przeklinał z całego serca. Nie wiedząc, gdzie pan jesteś, sądziłem, żeś dał za wygranę wszystkiemu, pozostawiając mi na karku walkę z losem.

— Ja miałbym dać za wygranę; o nie! odparł amerykanin. Przecież idzie mi o rozegranie partji aż do końca, a szczególniej o wygranę, musisz pan jednak zrozumieć, że powinienem się otoczyć wyraźnemi ostrożnościami, i przebrania moje dowodzą panu jaką doniosłość przywiązuję do tego, ażeby nie zostać poznanym.

— Mamy do pomówienia.

— Tak, dużo!

— Ale ja literalnie umieram z głodu. Gdzie możnaby tu zjeść śniadanie?

— Najlepiej będzie w „Gnieździe Słowika". Pięć minut drogi. Jest to restauracja w pobliżu. Byłem już tam raz ze spaceru w tych stronach. Śniadanie będziemy mieli niezłe i rozmawiać będziemy spokojnie. Ta restauracja Słowika w niedzielę jest licznie nawiedzaną przez Paryżan, którzy robią wycieczki po Marnie.

W dniu powszednim bardzo mało osób najczęściej nie ma nikogo.

Podążyli w oznaczoną stronę, po drodze rozmawiając o interesach. Robert pragnął się dowiedzieć, jakim sposobem O'Brien znajdował się właśnie w chwili, gdy wychodził z ulicy Verneuil; O'Brien zaś chciał poznać powód wizyty Roberta u barona Schwartza.

Kilka słów wystarczyło amerykaninowi dla objaśnienia bratobójcy, że udawał się do willi w Neuilly, gdzie spodziewał się go zastać, gdy w tem minął się z nim jadącym i dlatego zawrócił i śledził go, i że lękając się szpiegów niemieckich, postanowił wyznaczyć mu schadzkę po za Paryżem. Ze swej strony Robert opowiedział szczegółowo scenę, jaka się odbyła między nim a naczelnikiem biura wywiadowczego.

— Wszystko to było tak dziwne, że przez kika minut sądziłem, żeś pan mnie zdradził.

— Nie mam do pana urazy za to podejrzenie, odpowiedział O'Brien. Było one nieuzasadnione, lecz prawdopodobne. Ale prawdziwego zdrajcę znam.

— Któż to taki?

— Łotr pomerańczyk, który był u mnie w służbie, którego wcale nie podejrzewałem, a który podsłuchiwał pod drzwiami i podglądał przez dziurkę od klucza na rachunek barona Schwartz. Zapewne słyszał, jak dziecko mówiło we śnie magnetycznym, szpiegował nas, gdyśmy rozmawiali w sprawie pieczątki, pozostałej w ręku Weroniki Sollier, i opowiedział to wszystko później na ulicy Verneuil. To aż nadto tłómaczy, dlaczego naczelnik biura był tak dobrze obeznany ze wszystkiem.

Co z nim chcesz uczynić?

— Ten mnie trzyma tym nieszczęsnym brelokiem, rzekł Robert.

— Tak, ale pan go trzymasz listem.

— List nie zabezpiecza mnie zupełnie. Ci ludzie mnie zgładzą, ażebym im nie szkodził.

Amerykanin nie odpowiedział. W myśli zaś mówił do siebie:

— O! do tego są zdolni zupełnie. Poczem, zwracając się do Roberta: Przyjm pan, co ci proponują, rzekł.

— Mam miesiąc do namysłu. Zobaczę co uczynić.

Przyszli przed restaurację Słowika, rozglądając się.

Było to coś oryginalnego. Dwie ściany długości około czterdziestu metrów a wysokości dwa i pół były zbudowane, a na tych murach osadzony został maleńki budynek, w którym korytarz miał przepierzenie, dzielące całe miejsce na dwie części. Dwa pokoje stanowiły mieszkanie Słowika, inne stanowiły gabinety restauracyjne. Na dole znajdowała się kuchnia, mały salonik, na przodzie pokój dość obszerny, rodzaj muzeum, którego przedmioty były bardzo dziwaczne. Tu, na ścianach, wisiały w małych ramkach fotografie słynnych złodziei, podpalaczy, morderców, anarchistów; obrazy lub rysunki, przedstawiające ważniejsze zbrodnie, popełnione w departamencie Sekwany od lat dwudziestu. W głębi była cała zbrojownia, złożona z broni morderców, sztyletów, noży i t. p. Potem w innych ramkach listy z pochwałami urzędowemi od profekta policji, od naczelnika służby bezpieczeństwa. Figura woskowa przedstawiała Słowika, ranionego podczas aresztowania mordercy.

Robert zatrzymał się, przyglądając się tej szczególnej knajpce...

— Któż jest ten Słowik? zapytał O'Briena.

— Dawny inspektor policji! odpowiedział tenże. Dwadzieścia razy narażał życie w walce ze zbrodniarzami, wreszcie przyszedł tu szukać wypoczynku i sposobu do zarabiania trochę pieniędzy.

— I pan mnie prowadzisz do policjanta? wyszeptał bratobójca z żywym niepokojem.

— Uspokój się pan, odparł amerykanin z uśmiechem. Słowik raz na zawsze rozstał się z służbą bezpieczeństwa. Zerwał z policją i zajmuje się tylko jedynie ogłaszaniem swych pamiętników w jednym z poczytnych dzienników. Zaledwie go widać w jego zakładzie.

Przeszli po stopniach schodów drewnianych i weszli.

Chłopiec ukazał się na ich spotkanie.

— Czem panom służyć? zapytał.

— Śniadaniem.

— Dziś dzień powszedni, goście bywają w takie dni rzadko i spiżarnia mało zaopatrzona. Mamy tylko jajka świeże, kurczę na zimno, szynkę, sałatę i sery.

— To więcej niż potrzeba, odpowiedział O'Brien. Proszę nam to podać.

Obaj przybysze rozgościli się. Byli sami, zatem mogli rozmawiać swobodnie. Ani jeden, ani drugi, nie słyszeli, jak z tyłu budynku otworzyło się okienko. Ukazała się w niem głowa męzka o wesołem obliczu.

— Ho! ho! ho! mruknął po chwili właściciel tej głowy, co tu porabia ten ptaszek?

— Kto taki? zapytała osoba, siedząca przy stoliku, na którym stały dwie filiżanki kawy.

— A Robert Verniere, brat wielkiego przemysłowca, zamordowanego w Saint-Ouen. A! mój stary Słowiku, gdybyś ty był jeszcze w prefekturze, mam nadzieję, żebyś był wytropił całą sprawę, gdy teraz oni nic nie robią i winowajcy pozostają nieznanymi!

Słowik, bo to był on, właściciel restauracji, dawny inspektor policji, wstał i sam zajrzał przez okienko.

— Nie dziwię się, że Robert Verniere znajduje się tutaj, rzekł po chwili. Jest on z jegomościem, którego już widziałem w tych stronach od kilku dni, a który mi się wcale nie podoba. Ale wiesz, mój dobry Magloire, że mam już dość tego polowania na łotrzyków, morderców, anarchistów i na wszelkich złoczyńców. Niech wszyscy łotrzy się włóczą, a mnie co do tego?

— Niestety, odrzekł Magloire, zamykając okno.

Obaj znów usiedli przy stole. Słowik nalał kawy do filiżanek i wódki do kieliszków.

— Zatem żenisz się? zagadnął następnie.

— Za dziesięć dni, w sobotę. Wszak będziesz mi drużbą?

— Czyż można odmówić tego staremu koledze z pułku? Pamiętałeś o mnie, to mi sprawia przyjemność. Więc chcesz się pożegnać z katarynką?

— Tak i zamieniam ją na bufet restauracyjny. Ale mam następczynię, a raczej dwie. Biedną kobietę ociemniałą, o której ci mówiłem, i jej wnuczkę. Poznasz je na weselu. Oddałem im katarynkę.

— To dobry uczynek! Zresztą, tyś zwykł czynić do-

brze, i przyniesie ci to szczęście w małżeństwie.

Przerwali gawędkę dla zapalenia fajek.

Tymczasem w małej salce jadalnej Robert Verniere i O'Brien, jedząc śniadanie, zajmowali się interesami, które były powodem ich zebrania, nie przypuszczając, że byli widziani i zauważeni przez najwierniejszego i najlepszego przyjaciela Weroniki Sollier.

Gdy chłopiec usługujący wyszedł, O'Brien zapytał Roberta:

— Więc baron Schwartz oskarża mnie, żem panu oddał ten list, który panu daje nad nim przewagę?

— Tak.

— I chciał się koniecznie dowiedzieć czy panu wiadome jest miejsce mego schronienia?

— Chciał koniecznie coś ze mnie wydobyć, i sądzę, że, gdyby wiedział, gdzie pan jesteś, miałbyś bardzo wielką przykrość.

Amerykanin wzruszył ramionami.

— Ja się go nie boję, rzekł.

— Tak, ale ja się go obawiam wielce! Mam przekonanie, że ci ludzi mnie zgładzą, jeżeli nie zechcę być im posłuszny. Panie O'Brien, ja w tobie pokładam całe zaufanie. Ale pan, pomimo obietnic, nic jeszcze nie przedsięwziąłeś, względem usunięcia tego dziecka, tak podatnego na wpływ magnetyzmu, że kto inny może je uśpić i wszystkiego się dowiedzieć.

— Bądź pan cierpliwy i uspokój się. Dziecko za kilka dni będzie w mej mocy.

— A Weronika Sollier? Pan powiedziałeś, że może wzrok odzyskać.

— Narażając się na utratę życia! Ktoby się ośmielił przedsięwziąć taką operację?

— Kto? Henryk Savanne. Jego wiedza okulistyczna jest wielka. Jeżeli mu się uda, przyznajesz pan, że jestem zgubiony. Ja za zniknięcie Marty ofiarowałem panu sto tysięcy franków. Podwoję tę sumę, jeżeli jednocześnie zniknie Weronika.

— Ja się w takie rzeczy nie bawię, odpowiedział magnetyzer przestraszony, rozglądając się dokoła ażeby się upewnić, czy kto nie mógł usłyszeć Roberta mówiącego. Byli jednak sami.

— Więc mnie pan opuszczasz! wyjąkał bratobójca, a twarz jego blada i zmieniona przedstawiała niewysłowiony widok przestrachu.

— Popełnić za dwieście tysięcy franków zbrodnię, która mnie może zaprowadzić pod gilotynę i jeszcze nad to porwać dziewczynkę, nie, mój przyjacielu, nie!

— Trzysta tysięcy!

— Próżne byłyby pańskie złudzenia! Jest pańska pieczątka. Śmierć Weroniki nie przeszkodziłaby pozostaniu tego dowodu w ręku sędziego. Trzebaby znaleźć jaki sposób, ażeby nietylko usunąć ślepą, ale usunąć i ten dowód, który może pana zgubić.

— Znajdź pan ten sposób, a ja ci ofiaruję trzecią część tego, co Niemcy mi przyrzekają, jeżeli przyjmę ich warunki.

— Przyrzekają panu trzy miliony?

— Tak, więc dla pana będzie jeden.

Amerykanin przyłożył palec do ust, nakazując mil-

czenie. Do pokoju wszedł posługacz, przynosząc nową potrawę.

O'Brien, z czołem zmarszczonem od myśli, rozważał. I rozłakomiony ponętną perspektywą otrzymania miliona, szukał sposobu, ażeby go zarobić. Naraz podniósł głowę, a oczy mu się zaświeciły ogniem.

— Mam! znalazłem! zawołał.

Robert spojrzał na niego, jak skazany na śmierć patrzałby na zwiastującego mu ułaskawienie.

— Ale, dodał magnetyzer, powodzenie zależy od wielu rzeczy. Trudności są wielkie. Czy pan jesteś pewny, że Weronika Sollier oddała sędziemu śledczemu pieczątkę, która znajdowała się w jej ręku, gdy przyszła ażeby się poradzić jasnowidzącej?

— Tego jestem pewien.

— Czy pan Savanne ma ją u siebie, czy też znajduje się w jego kancelarji w sądzie?

— Zapewne jest u niego w domu wraz z aktami sprawy w Saint-Ouen, którą studjuje bezustannie.

— Czy pan zupełnie pewny tego jesteś?

— Nie, ale przypuszczam.

— Trzeba w jak najkrótszym czasie przekonać się o tem stanowczo.

— Przekonać się! Ale w jaki sposób?

— E! mój panie, miej trochę przedsiębiorczości i trochę pomysłów. Ja nie mogę wszystkiego brać na siebie. To, czego od pana żądam, nie przedstawia trudności! Pan Savanne, jeżeli go zapytasz zręcznie, sam ci wszystko powie, uważając za rzecz naturalną, że pragniesz poznać w tej sprawie najdrobniejsze szczegóły.

— Dobrze, już ja się tem zajmę.

— Gdzie mieszka pan Savanne?

— Na bulwarze Malesherbes.

— Czy zajmuje cały pałacyk sam?

— Nie, ale obszerne mieszkanie. Ale od dziś, korzystając z pogody, przeniósł się czasowo do własności, jaką posiada w parku Saint-Maur.

— W parku Saint-Maur! powtórzył O'Brien.

— Przy alei Północnej. Jest to wielka i piękna willa, której ogród ciągnie się aż do wybrzeża Marny.

— Znasz pan ten dom?

— Nie, ale go poznam, gdyż pani Verniere przyjedzie tam, ażeby przepędzić jakiś czas z Savannami.

— Ponieważ żona pańska będzie tam mieszkała, wszak i pan mógłbyś tam mieszkać chwilowo, gdyby okoliczności tego wymagały.

— Uczynię tak, ażeby to było możebne.

— Czy w tej chwili obszerne jest pomieszczenie?

— Obszerne, jak nam mówił Henryk Savanne. Mogą się tam pomieścić cztery rodziny.

— Czy młody Savanne mieszka ciągle przy stryju?

— Ciągle. W zimie na bulwarze Malesherbes, a w lecie w parku Saint-Maur.

— Doskonale! A teraz posłuchaj mnie pan. Zamiast przeszkadzać żonie i pasierbowi w namawianiu Henryka Savanne do spróbowania operacji z Weroniką Sollier, przyłączysz się do nich, prosząc go, ażeby projekt swój jak najprędzej urzeczywistnił.

— I pan to mówisz poważnie?

— Jak najpoważniej w świecie. Ponieważ potrzeba

będzie przynajmniej dwóch tygodni dla przygotowania tej operacji, a podczas tych dwóch tygodni chora musi znajdować się pod okiem okulisty, pan tego dokaż, ażeby operacja odbyła się w parku Saint-Maur.

— Operacja ślepej u sędziego śledczego? zawołał Robert. Czyś pan głowę stracił?

— Bynajmniej. Tylko zrób pan tak, jak pragnę. Rezultat sam odpowie za mnie.

— Sprowadzić niewidomą do tego domu, gdzie w razie przywrócenia jej wzroku pierwsze spojrzenie jej padłoby na mnie! Ależ to niedorzeczne!

— Powiedziałem panu, że dwóch tygodni potrzeba na przygotowania. Otóż, zanim te dwa tygodnie upłyną, jeżeli tylko słuchać będziesz moich rad i pomagać mi będziesz sprytnie, Weronika Sollier nie będzie już istniała, pan odzyskasz pieczątkę, która cię niepokoi, a mała Marta będzie w mojem ręku.

— Pan to uczynisz?

— Uczynię, jeżeli tylko pan dokażesz tego, czego żądam.

— Licz pan na mnie, zrobię nawet niemożebne.

— Rzecz naturalna, że mała Marta musi towarzyszyć babce do Daniela Savanne.

— Nie rozłączą ich. Ale czy niewidoma zechce zamieszkać w willi?

— Musi zamieszkać!

Po chwili milczenia i namysłu Robert wyszeptał:

— Tak się wszystko urządzi, że i ona zechce.

O'Brien podchwycił:

— Udaj się pan jaknajprędzej do willi w parku Saint-Maur. Poznaj pan jak najdokładniej rozkład wewnętrzny, schody, drzwi, a jeżeli możebne zaopatrz się pan w klucze. Zresztą, musimy się prędko zobaczyć z sobą. W interesie pańskim jest, ażebym ciągle był wtajemniczany w to, coś pan uczynił. Ja dotrzymam słowa, a liczę, że i pan swego dotrzyma.

— Z trzech milionów, przyrzeczonych przez barona Schwartza, pan otrzymasz jeden, to zaprzysiężone.

— Przy najbliższem spotkaniu wszystko załatwimy. Wyjazd mój opóźnię o miesiąc, jeżeli zajdzie potrzeba, i uczynię dla pana, co nikt nie byłby zdolny uczynić!

— Daj mi pan swój adres.

— W parku Saint Maur, przy alei Jaskółczej nr. 1. willa Kasztanów, niedaleko od alei Północnej, gdzie, jak mi pan powiedziałeś, znajduje się willa pana Daniela Savanne.

— Jeżeli miałbym panu co donieść, pod jakiem nazwiskiem trzeba byłoby do pana napisać?

— Pod nazwiskiem Nelsona.

Robert wyjął z kieszeni notes, w którym zapisał sobie nazwisko i adres magnetyzera.

Służący przyniósł kawę.

— Rachunek natychmiast, rozkazał bratobójca.

Dwaj wspólnicy zamienili z sobą ostatnie i krótkie objaśnienia i opuścili zakład Słowika, który już poprzednio wyszedł, ażeby odprowadzić do Noyent swego kolegę pułkowego, Magloira.

Na końcu miasta Joinville, O'Brien i Robert rozstali się. Amerykanin brzegiem rzeki powrócił do parku Saint-

Maur. Chciał sam naocznie poznać położenie i powierzchowność zewnętrzną willi sędziego. Podwójna zbrodnia, którą miał obmyślić, musiała wpłynąć na zmianę poprzednich jego planów, dotyczących wykradzenia Marty.

XII

Daniel Savanne wychodząc z gmachu sądowego, miał udać się do swej rodziny w parku Saint-Maur, gdzie zamierzał przepędzić kilka dni i rozgospodarować się w swym gabinecie, który zajmował co rok w lecie.

Pożegnawszy swego sekretarza, ułożył systematycznie w skórzanej tece, którą z sobą zabierał wszystkie dokumenty, dotyczące zbrodni Saint-Ouen, wziął z szuflady kilka kluczy i wyszedł. Zamiast jednak skierować się ku stacji Vincennes, gdzie wyznaczył spotkanie Henrykowi, udał się na wybrzeże Złotników. Tam wszedł do sklepu znajomego jubilera.

— Daleko pan już z tą robotą, którą panu powierzyłem? zapytał go pan Savanne.

— Przedmiot wrócił z odlewu dziś zrana, panie sędzio, odpowiedział kupiec. Posłałem go niezwłocznie do jednego z naszych najzręczniejszych rytowników, wraz z modelem, który mi pan dał. Kazałem oszlifować kamień bez wartości, ale zupełnie podobny z koloru do szmaragdu w breloku. Na kamieniu kazałem też wyryć owe litery, i mogę pana zapewnić, że, prócz wartości, kopia będzie zupełnie podobna do oryginału.

— A kiedy robota będzie ukończona?

— Najpóźniej za trzy dni; jeżeli pan zechce, mogę panu go odnieść do sądu.

— To zbyteczne. Wolę go wziąć tutaj. Ale jeszcze co innego: Czy pan raczył się zająć zebraniem wiadomości, których pan był łaskaw się podjąć?

— Zająłem się zaraz nazajutrz po bytności u pana sędziego.

— I cóż?

— Nic jeszcze. Widziałem się z kilkoma kolegami, bardzo biegłymi w jubilerstwie artystycznem. Nie zgadzają się oni co do pochodzenia owej pieczątki, chociaż wszyscy uznają ją za bardzo dawną. Jeden z nich widzi robotę włoską i przypisuje ją Benvenutowi Cellini, inny wreszcie oświadcza, że to dzieło flamandzkie.

— A pan jakiego jesteś zdania?

— Nie śmiem go mieć, gdyż nie jestem takim znawcą, jak moi koledzy. Ja jednak twierdzę bez obawy omyłki, że jeżeli pieczątka jest starodawną, wspaniały szmaragd rytowany jest współczesny i zastąpił inny kamień, który pochodził z epoki klejnotu.

— I który zapewne nosił inne cyfry, rzekł pan Savanne.

— Prawdopodobnie.

— A zatem za trzy dni przyjdę do pana po model i kopię.

— Będą gotowe.

Daniel Savanne oddalił się i wziął dorożkę, ażeby się udać na stację Vincennes, gdzie od kilku chwil oczekiwał go już bratanek.

Sędzia wyglądał posępnie. Nietylko śmierć jego brata smutkiem przepełniała mu duszę, ani upór Weroniki, nie chcącej odpowiedzieć na pytania, dotyczące kapi-

tana Savanne, ale nadto niepowodzenie zupełne i rozpaczliwe poszukiwań czynionych, dla odnalezienia tropu morderców Ryszarda Verniere. Cztery długie miesiące upłynęły od strasznego dramatu w nocy z 1. na 2. stycznia, i sprawiedliwość nie mogła postąpić kroku naprzód, ani rzucić światła na ciemności, zalegające dokoła zbrodni.

Dzienniki już jakby zapomniały o tej sprawie, gdy nagle przed kilku dniami, jakby na dane hasło, znów zaczęły pisać, używając wyrazów gwałtownych, oskarżając prefekta policyjnego o ślamazarność, a służbę bezpieczeństwa publicznego o niedoświadczenie, przyczem nie szczędzono wymówek prokuratorowi i sędziemu śledczemu Danielowi Savanne. Jego zwłaszcza traktowano brutalnie, mówiono o jego reputacji wyśrubowanej, o jego nadętej miernocie.

Drażniło to Daniela i szukał wszelkich sposobów, ażeby szydercom nakazać milczenie powodzeniem.

Ponieważ różne ślady, któremi dążono, nie doprowadziły do żadnego rezultatu, z rozpaczy pomyślał w końcu o klejnocie, który miał w ręku. Klejnot ten, o ileby nie był klejnotem rodzinnym, musiał pochodzić od jubilera francuskiego lub zagranicznego, który, gdyby mu go pokazano, poznałby go i wskazał nabywcę. Nie chcąc więc niczego zaniedbać, powziął myśl zrobienia dokładnej kopii pieczątki i posłania agenta pewnego i zręcznego, dla pokazania tej podobizny wszystkim jubilerom w większych miastach. Zapewne długiem to byłoby i kosztownem, ale na to nie zważał Daniel Savanne. Jemu chodziło tylko o skutek możliwy.

Henryk, jak powiedzieliśmy oczekiwał stryja na stacji.

Po skończeniu codziennej pracy w szpitalu i po zjedzeniu śniadania na prędce, młodzieniec udał się do mieszkania prywatnego chirurga naczelnego w szpitalu św. Ludwika, do doktora Sermet. Przynaglany przez panią Verniere, przez Matyldę i przez Alinę, ażeby spróbował jak najprędzej przywrócenia wzroku Weronice Sollier, Henryk chciał wypytać chirurga o szczegóły co do rany, która sprowadziła ślepotę, i co do operacji, przez niego dokonanej, a której ranna prawdopodobnie zawdzięczała życie.

Doktor znał Henryka. Przyjął go jak najgrzeczniej, odpowiadał na wszystkie jego zapytania i zawnioskował, że nie wierzy w powodzenie usiłowań, o których mu mówiono, i opinię swą opierał na rozumowaniach naukowych bardzo poważnych. Henryk nie dochodził jeszcze do żadnego wniosku. Chciał zbadać na nowo i bardzo zblizka kalectwo Weroniki, przed pomówieniem z naczelnym ordynatorem swej kliniki.

Stryjowi, który go wypytywał, odpowiedział:

— Wszystko, co mi mówią, niepokoi mnie. Nie wiem jeszcze, jakie powezmę postanowienie, ale przyznać muszę, że się lękam.

*

* *

Brama główna posiadłości Daniela Savanne otwierała się na aleję Północną. Willa, zbudowana między wielkim dziedzińcem z trawnikami i staremi drzewami, a ogrodem, sprawiała dobry efekt wśród krajobrazu. Sztachety z żelaza kutego zamykały podwórze. Po za temi sztachetami krzewy, artystycznie przystrzyżone,

tworzyły firankę z zieleni. Szerokie schody kamienne o ośmiu stopniach prowadziły do drzwi wejściowych, dających wstęp do przedsionka bardzo wysokiego o ciemnych obiciach. Do tego przedsionka otwierały się obszerne pokoje parterowe, salon, jadalnia, sala bilardowa, bibljoteka i palarnia.

Na pierwszem piętrze dwa apartamenty oddzielne, Daniela Savanne i Matyldy. Alina, jak w Paryżu, zajmowała pokój łączący się z pokojem Matyldy. Gabinet pracy sędziego śledczego oddzielony był od jego sypialni małym salonikiem.

Drugie piętro było powtórzeniem pierwszego. Henryk miał tam swój pokój.

Na trzeciem piętrze, dokąd prowadziły osobne schody, mieściła się służba.

Ogród, jakeśmy powiedzieli, ciągnął się aż do Marny, kończąc się placykiem, przytykającym do parkanu i ocienionym podwójnym rzędem wspaniałych kasztanów. Na lewo od tego placyku wznosił się kiosk wiejski z pokryciem słomianem, na prawo zaś maleńki domek z dwoma pokojami na parterze i z dwoma również na pierwszem piętrze.

Matylda i Alina, gdy przybyły do tej willi, gdzie od lat dziecięcych przepędzały tak miłe chwile, uczuły niezmierną ulgę, wydało im się, jakby co najmniej ciężar spadł im z piersi.

Pani Verniere bardzo się spodobała ta siedziba.

Matylda pokazała ją jej szczegółowo i prosiła o wskazanie apartamentów, gdzie chciałaby zamieszkać, proponując jej ustąpienie mieszkania, które zajmowała

z Aliną. Aurelia oparła się temu, ażeby w czemkolwiek zmieniać tryb życia dwóch przyjaciółek i wybrała jeden z eleganckich małych apartamentów na drugiem piętrze.

Kiedy Daniel z Henrykiem przyjechał do willi, goście już się rozgościli i obiad był gotów.

Po obiedzie odbyto mały spacer nad brzegiem Marny, której wody spokojne odbijały gwiazdy, i każdy około godziny dziesiątej udał się do swego pokoju.

Nazajutrz zrana Henryk odjechał do kliniki, gdzie zajęcia wymagały jego każdodziennej obecności. Powrócić miał w południe do parku Saint-Maur.

Daniel Savanne przepędził część poranku w bibliotece na porządkowaniu papierów, które wziął w sobą. Tak się urządziwszy w sądzie, iż mógł był trzy dni przepędzić na wsi, korzystać chciał z odosobnienia, dla nowego zbadania akt i dokumentów w sprawie Saint-Ouen.

Matylda kazała ogrodnikowi spuścić na rzekę łódkę do przejażdżki. Liczyła na to, że kuzyn jej po południu, przewiezie ich po Marnie, co było ulubioną ich rozrywką. Zresztą w razie potrzeby, mogła była przy pomocy Aliny zastąpić młodzieńca, gdyż obiedwie, oddawna przyzwyczajone do wiosłowania, nabrały wprawy fachowych przewoźników.

Nadzieja ich nie doznała zawodu. Henryk powrócił do willi na śniadanie i pierwszy zaprojektował zawiezienie pani Verniere i młodych dziewcząt aż do mostu Chenueriere, pośród uroczych wysepek, na których słońce wiosenne przyspieszało kiełkującą roślinność.

Henryk zaopatrzył się w wiosła, i podążył za Aliną, panią Verniere i Matyldą, otworzywszy furtkę, dającą przejście na wybrzeże. Osoby nasze miały się skierować ku małej przystani, gdzie spoczywała łódka, gdy Henryk zatrzymał się raptownie.

Naprzeciw schodków drewnianych, prowadzących z brzegu do łódki, znajdowała się szeroka barka płaska, przywiązana do długiej i mocnej żerdzi, wbitej w koryto rzeki. Na tyle łodzi siedział jakiś człowiék przed stalugą, mającą płótno, na którem widniały pierwsze zarysy krajobrazu. Człowiek o włosach białych i takiejże brodzie przybrany w kapelusz słomkowy o szerokich rondach, wydawał się pochłoniętym zupełnie przygotowaniem na palecie farb, które miały odpowiadać barwie nieba na jego obrazie. Usłyszawszy otwierającą się furtkę, przerwał swą pracę i obrócił się. Na widok dam ukłonił się. Odkłoniły mu się, a on znów zabrał się do pracy.

Łódź, do której wsiadali mieszkańcy willi Savanne, była elegancka, mocna i dość znacznych rozmiarów, tak, że pomieścić mogła ośm osób. Zresztą nie należało się lękać niebezpieczeństwa, gdyż Henryk ze zręcznością przewoźnika łączył wiele spokoju i ostrożności.

— Idźcie panie powoli, zalecał, proszę ostrożnie, bo nie byłoby przyjemnie, użyć kąpieli, która byłaby zupełną, gdyż woda jest tutaj głęboka.

Malarz wyszeptał między zębami, tak, że go nikt nie mógł słyszeć:

— Cztery metry, ja sondowałem.

Matylda usiadła przy sterze. Pani Verniere i Alina

zajęły miejsca na środkowej ławeczce.

Henryk odwiązał łódkę, wziął wiosła i, robiąc niemi po mistrzowsku, manewrował ku środkowi rzeki.

Malarz patrzył na oddalających się, potem zwrócił oczy ku miejscu, które opuściła łódka

— Takie wycieczki są mi bardzo nie na rękę, mruknął, ale cóż zrobić!.. Tymczasem wiem, co wiedzieć chciałem. Tą furtką wychodzą na spacer. Zapewne pozostawiają klucz od furtki w kiosku. Widziałem już co robią, gdy wychodzą. Teraz trzeba zobaczyć, co robią, gdy powracają.

Łódź prowadzona przez Henryka, znikła za mostem.

Malarz, w którym czytelnicy poznali niezawodnie magnetyzera O'Briena, odwiązał barkę swą od żerdzi, wbitej w koryto Marny, i przypłynął do przystani obok willi Savanne. Kiedy dotarł na miejsce, przyjrzał się drobiazgowo palom, podtrzymującym schody.

— Wszystko to bardzo kruche! rzekł do siebie, po szczegółowych oględzinach.

I odbił łodzią na miejsce, które zajmował przed tem, potem znów się wziął do pędzli i szkicował dalej niebo i główne punkta krajobrazu.

O'Brien nie miał wcale talentu malarskiego, lecz pędzle jego biegały szybko po płótnie i mógł uchodzić za amatora malarza.

Towarzystwo z willi wkrótce powróciło do schodków przystani.

— Malarz ciągle jest jeszcze, rzekła cicho pani Verniere.

Przybito do brzegu. Tym razem O'Brien nie poru-

szył się wcale. Nadstawił tylko uszu, udając zajętego najzupełniej pracą, chcąc pochwycić rozmowę.

Henryk przywiązał łódkę i dopomógł paniom wysiąść.

— Masz klucz od furtki? zapytała go Matylda.

— Mam. Ja zabieram z sobą rzeczy. Klucz zostanie w zamku, zamkniesz za mną.

— A gdzie go położyć?

— Razem z kluczem od łódki w szopie, jak zwykle.

Henryk wziął dywanik, którym przykryta była ławka i poszedł otworzyć furtkę.

Pani Verniere i Alina szły naprzód i zwolna podążyły do willi.

O'Brien nie stracił ani słowa z tego, co było mówione. Na teraz wiedział już dosyć. Złożył przybory malarskie, odwiązał łódkę i odpłynął ku Saint-Maur, gdzie przybił naprzeciw restauracyi, której właściciel wynajął mu łódkę, mającą mu posłużyć, jak mówił, do robienia szkiców z natury na rzece.

*
* *

Powróćmy do fabryki w Saint-Ouen.

Klaudjusz Grivot, chociaż żarliwy przy robocie, z twarzą zawsze uśmiechniętą, niemniej jednak zajęty był przyszłością. Niebezpieczeństwa gromadzące się dokoła jego wspólnika, a tem samem i jemu grożące, przejmowały go prawdziwym przestrachem. Pomoc O'Briena budziła w nim zaufanie bardzo ograniczone, a zresztą czyż amerykanin, nawet rozłakomiony obietnicą bardzo grubej sumy, zgodzi się zgładzić Weronikę Sollier. I łamał sobie głowę, ażeby wynaleźć kombinację, która mogłaby zapewnić im ocalenie, w razie gdyby magne-

tyzer cofnął się, zrażony ogromem zbrodni.

Bezwątpienia Grivot sam zdolny był do popełnienia tej zbrodni. Ale po co broczyć krwią ręce, jeżeli można było uczynić inaczej? Szukał więc ciągle sposobu. Nagle myśl pewna przebiegła mu przez głowę. Znalazł sposób pożądany, a Robert niezawodnie zgodzi się na niego.

Robert jednak dnia tego nie pokazał się w fabryce, nie mógł więc niezwłocznie podzielić się z nim powziętym projektem. Trzeba było zatem czekać do dnia następnego.

Bratobójca nie mógł przecie nie być przez dwa dni z rzędu w fabryce, gdzie roboty wymagały jego kontroli.

Rozstawszy się z O'Brienem na moście Joinville, Robert uznał, z powodu spóźnionej pory, za właściwe, nie jechać do Saint-Ouen i udał się wprost do willi Neuilly, gdzie, jak wiedział, nie zastanie już żony, ani bratanicy, ani też córki Daniela Savanne.

Nazajutrz, bardzo wcześnie, pojechał do fabryki z pasierbem.

Młodzieniec wyglądał smutnie, i smutek ten nie uszedł uwagi męża Aurelii.

— Jakoś mi wyglądasz strapionym? zagadnął. Czy co w interesach naszych nie idzie tak, jakbyś chciał?

Filip, tak znienacka zagadnięty, mocno się zaczerwienił. Na chwilę zawahał się, zanim odpowiedział:

— Nie, mój przyjacielu, nie... wyjąkał wreszcie.

Robert spostrzegł to pomieszanie i wahanie.

— Doprawdy? podchwycił.

— Ależ zapewniam cię.

— Tak mnie zapewniasz, że jeszcze bardziej mnie to utwierdza w przypuszczeniu, że ci coś dolega. Czy to z powodu fabryki?

— Bynajmniej.

— Nie masz jakiego kłopotu z robotnikami?

— Najmniejszego.

— To nie rozumiem twej miny stroskanej. Czyż to odjazd matki tak cię martwi?

— Tak, trochę, odpowiedział młodzieniec, znowu się rumieniąc.

Rumieniec ten po raz drugi uderzył Roberta.

— Ho! ho! rzekł z uśmiechem. Niepotrzebniem się trwożył! Twój smutek należy do tych, jakie nie powinny niepokoić. Rozumiem go.

— Co rozumiesz? wyjąkał Filip, spoglądając lękliwie na ojczyma.

— Powiem ci, jeżeli przyrzekniesz mi odpowiedzieć z zupełną szczerością...

— Ależ...

— No, moje drogie dziecko, jestem twoim przyjacielem, prawie twoim ojcem, więc możesz mieć we mnie powiernika. Ciebie zasmuca nietylko odjazd twej matki, przy niej są dwie panienki, zachwycające. Ty jesteś także młody, a miłość łatwo się rodzi w młodych sercach. Odgadłem, co?

Ton dobroduszny, jakim mówił Robert Verniere, ośmielił Filipa.

— A więc tak, wyszeptał, zgadłeś!

— Bo było to tak widoczne, że powinienem był od-

gadnąć wcześniej. To Matylda Savanne, nieprawdaż?

Filip potrząsł głową, słysząc ojczyma, wymawiającego nazwisko Matyldy Savanne.

— Nie ona, odpowiedział.

Robert drgnął.

Czyżby syn jego żony miał pokochać córkę brata, przezeń zamordowanego?

— Alina? zawołał głosem nieco drżącym.

— Tak... Alina...

Lekki pot zwilżył skronie bratobójcy, ale szybko otrząsnął się ze wzruszenia.

— A czy wie Alina, że ją kochasz? zapytał.

— Nie.

— Czy matka twoja wie, jakie cię uczucie przejmuje?

— Tak.

— I pochwala to?

— Tak sądzę.

Czoło Roberta zmarszczyło się.

— Dlaczego mi nie mówiła o tem? spytał.

— Czeka zapewne na to, aż przyszłość naszej fabryki będzie zupełnie zapewnioną.

— Bardzo jesteś jeszcze młody, ażebyś się miał żenić, mój drogi chłopcze, odparł Robert.

— Mam już lat dziewiętnaście skończonych.

— I myślisz, że w roku dziewiętnastym już się jest mężczyzną skończonym.

— Bezwątpienia, jeżeli kto ma przymioty poważne i rozsądek męzki.

— Dobrze. Przepędzimy niedzielę całą w parku Saint-Maur u pana Savanne i ja pomówię z twą matką o

tem, coś mi powiedział.

Twarz Filipa rozpromieniła się. Było dlań wiadomem, że matka bronić będzie jego sprawy z porywającą wymową i że ją wygra.

Powozik zatrzymał się przed bramą fabryki.

Robert udał się niezwłocznie do swego gabinetu, ażeby przejrzeć nadeszłe listy, Filip zaś poszedł do pokoju dlań przeznaczonego i łączącego się z salą rysunkową. Tu przyjrzał się planom, które w przeddzień kazał ostatecznie wykończyć, potem wraz z ojczymem zwiedzili warsztaty, gdzie wykonywane były obstalunki, które w ciągu następnego miesiąca miały być dostarczone dla marynarki do Tulonu.

Klaudjusz Grivot wyszedł na ich spotkanie, zawsze pełen uszanowania, jak zwykle, wobec Roberta i Filipa de Nayle. Ten ostatni nie mógł więc ani na chwilę podejrzewać zażyłości tajemniczej, jaka istniała między tymi dwoma ludźmi, związanymi zbrodnią.

— Cóż się dzieje z kulami nowego modelu? zapytał Robert.

— Modele są gotowe, odpowiedział Grivot.

— Bądź łaskaw przygotować notatkę, objaśniającą o nowych działach, rzekł Robert do pasierba, i niech to będzie w jak największym sekrecie, dodał.

— Brak mi kilku ostatnich wiadomości, odparł młodzieniec, ale to, czego żądasz, będzie gotowe, zanim będziemy musieli pójść do komisji egzaminacyjnej w szkole Fontainebleau.

— Pospiesz się. W tym interesie kartaczownic, oprócz względów patrjotycznych, zarobić można ogromne sumy.

Mozin jest naszym współzawodnikiem, nie zapominajmy o tem, musimy mieć nad nim przewagę. Panie Grivot, niech pan zajdzie do mego gabinetu, mam z panem do pomówienia.

Robert Verniere opuścił warsztaty a za nim wyszedł majster.

Gabinet pryncypała opatrzony był podwójnemi drzwiami, tak, że rozmowy w nim niepodobna było słyszeć na zewnątrz, gdyby nawet kto chciał podsłuchiwać. Nikt też nie mógł wejść, bez uprzedzenia dzwonkiem elektrycznym, a Robert dopiero naciskał sprężynę przy biurku, która drzwi otwierała.

Skoro się znaleźli sami, Klaudjusz zabrał głos.

— Pilno mi było zobaczyć się z tobą, rzekł.

— Czy masz mi powiedzieć coś ważnego?

— Nie, ale chcę ci wyjawić projekt, jaki mi przyszedł do głowy.

— Co do naszych wynalazków?

— Co do naszych interesów.

— W fabryce?

— Po za fabryką.

— Pozwól wprzód ci powiedzieć, żem się widział z O'Brienem...

— I cóż? Zgadza się na usunięcie ślepej?

— Tak. Ale to będzie kosztowało drogo.

— Nigdy za drogo nie kupuje się spokoju.

— Obiecałem milion.

— Milion! zawołał Grivot, czyś ty oszalał?

— Wszak powiedziałeś przed chwilą, że nigdy za drogo nie kupuje się spokoju.

— Ależ wszystko ma swe granice! Zresztą zkąd weźmiesz ten przyobiecany milion?

— To nie ja go zapłacę...

— Któż więc?

— Niemcy.

Tu Robert opowiedział znaną czytelnikom rozmowę z przedstawicielem Prus.

— I ty gotów jesteś poddać się wymaganiom Niemiec? zagadnął Grivot.

— Zdecydowany jestem na wszystko, ażeby ocalić nasze głowy. Za dwa raporty o wynalazkach, Prusy zapłacą trzy miliony, O'Brien działać będzie, a my, zaopatrzeni w dwa pozostałe miliony, zostawimy mojego pasierba, ażeby sobie radził jak może z fabryką, sami zaś powędrujemy dokąd indziej.

— Tak, ale podejrzenie ścigać nas będzie.

— Podejrzenie bez dowodów nie znaczy nic.

— Ha! masz słuszność... Niemcy są naszą jedyną deską zbawienia... Wyjaw im te sekrety, ale za pieniądze gotówką.

— Bądź spokojny, będę działał i o tyle będę ostrożny, ażeby się nie skompromitować względem Francji. Jeżeli oskarżenie ma nastąpić, spadnie ono na tych, którzy nie będą w stanie dowieść, że nie są winni.

— Kiedy O'Brien ma działać?

— O ile można jak najprędzej. Działanie jego zawarunkowane jest jeszcze wykonaniem różnych kroków przygotowawczych względem pani Sollier.

Klaudjusz z głową zwieszoną, z czołem zmarszczonem, rozmyślał.

— Co ci jest? zagadnął Robert.

— Bo mnie się wydaje, że nie mamy wciąż jeszcze gruntu pod nogami, że nic jeszcze pewnego nie ma w twych planach zarówno jak amerykanina, i że zanim dojdziecie do kresu swych projektów, nadejść może katastrofa, która zniweczy wszystko i wyśle nas w podróż, której ani ja ani ty wcale sobie nie życzymy.

— Słowem, boisz się?

— Ja tylko tak jak ty, dbam o swą skórę i wcale nie jestem uspokojony waszemi kombinacjami, które mi się wydają wątpliwemi.

— Znajdź coś lepszego, rzekł Robert oschle.

— Może znalazłem.

— Wytłómacz się.

— Ażeby się wytłómaczyć, muszę trochę zboczyć od przedmiotu, ale niebardzo. Czy pan Daniel Savanne bardzo przywiązany był do twego brata?

— Jak brat.

— Czy również przywiązany jest dla Aliny?

— Kocha Alinę, jak gdyby była jego córką, i gotów byłby dla niej do wszelkich poświęceń! Za to ci ręczę! gdybyśmy nie byli przyjechali do Francji, gdyby żona moja nie była się zajęła przyszłością tego dziecka, jestem pewien, że byłby uczynił dla niej to, co uczyniłby dla swej córki. Tak, on kocha Alinę tak samo, jak kocha Matyldę, a ta uważa Alinę jak swą siostrę.

— Otóż gdyby ta Alina, to dziecko, dla którego, jak powiadasz, gotów byłby do wszelkich poświęceń, zagrożone było w swoim honorze lub w honorze ko-

gokolwiek ze swoich bliskich i gdyby, dość było mu zamknąć oczy, dla zapobieżenia tej niesławie, czy sądzisz, że uczucie jego, jakby ojcowskie, nie odniosłoby przewagi nad jego bezstronnością sędziowską?

— Zadajesz mi zagadkę, której nie domyślam się rozwiązania, odparł Robert.

— Czy sądzisz wreszcie, Grivot ciągnął dalej, że przywiązanie Daniela Savanne dla Aliny Verniere byłoby dość silne, ażeby go skłonić do zapewnienia spokoju twej bratanicy, gdyby w tym celu musiał się wyrzec ukarania sprawców zbrodni w Saint-Ouen?

Robert wlepił w Klaudjusza oczy, palące gorączką.

— Nie rozumiesz? podchwycił majster.

— Mniej niż kiedykolwiek, odpowiedział bratobójca. Jakim sposobem przywiązanie Daniela Savanne dla córki po moim bracie mogłoby z tego urzędnika, niewolniczo oddanego swym obowiązkom, niezłomnego, uczynić wspólnika naszego, bo milczenie jego, gdyby znał zbrodniarzy, byłoby wspólnictwem.

— Dość byłoby, gdyby twój pasierb został mężem Aliny Verniere.

— Filip! zawołał Robert, miałby zaślubić Alinę!...

— Ach, mój Boże! Widzisz, jakie to proste. Zgadzam się na wszelkie twoje z O'Brienem kombinacje, przypuszczam, że się powiodą, lecz ta, którą ci proponuję, uwieńczy dzieło, zapewniając nam bezkarność ostateczną. Niechaj twój pasierb poślubi pannę Verniere. Gdy to małżeństwo zostanie zawarte, małżeństwo, na które pan Savanne, jako opiekun, da swe przyzwolenie, nie lękam się już wcale, gdyby nawet otrzymał oskar-

żenie, poparte dowodami, przeciw nam, bo czyżby się nie cofnął przed skandalem, którego pierwszą ofiarą byłaby jego droga wychowanica. Chętnie zamknie on wtedy oczy i cały interes w łeb weźmie. Teraz rozumiesz?

Tak, Robert rozumiał.

— Masz słuszność, wyrzekł Robert po chwili milczenia.

— Tego pewny byłem z góry, podchwycił Klaudjusz Grivot. Ażeby przyznać mi rację, dość mnie było zrozumieć. Więc zgadzasz się na mój plan?

— Tak.

— Zatem jużeśmy w zasadzie postanowili małżeństwo; czy jednak nie będzie przeszkód do pokonania?

— Jakich? Jeżeli Daniel Savanne jest opiekunem przydanym Aliny, ja jestem jej opiekunem głównym. Radzie familijnej wiadomo, ile dowodów przywiązania złożyłem dla tego dziecka. Nowy też dowód złożę, wydając ją za mąż za mego pasierba, który jest bardzo miłym młodzieńcem i będzie bardzo bogatym! Rzeczywiście myśl twoja jest wspaniała. O'Brien ze swej strony działać będzie, a my ze swej przez małżeństwo Filipa de Nayle z Aliną Vernier, mój zaś układ z baronem Schwartz opłaci koszta weselne. Przyszłość zapowiada się wesoło.

Rozmowę przerwał odgłos dzwonka elektrycznego. Robert nacisnął sprężynę, otwierającą drzwi.

Filip wszedł. Przynosił ojczymowi rysunki robót mechanicznych, które fabryka miała wykonać.

Wszyscy trzej zajęli się sprawami fabrycznemi.

XIII

Dzielny przyjaciel nasz, mańkut Magloire, pomimo załatwiania wszelkich interesów, związanych z objęciem w posiadanie hotelu i restauracji po matce Aubin i dotyczących jego małżeństwa, które miało nastąpić jednocześnie z zagospodarowaniem się w kupionym zakładzie, Magloire, pomimo to wszystko, znalazł jeszcze czas, ażeby być u komisarza policji w Saint-Ouen i u mera, ażeby przekazać na Weronikę Sollier pozwolenie na odbywanie wędrówek z katarynką we wszystkich wsiach departamentu Sekwany.

Pewnego dnia zwykli stołownicy, przybywszy na śniadanie, spostrzegli, że nie było już dawnego szyldu. Zamiast słów: U matki Aubin, czytano dużemi literami: „Pod Katarynką“. Restauracya. — Wina. — Gabinety towarzyskie. — Salony dla uczt weselnych. Magloire — następca.

Pierwsze dnie wiosenne były bardzo piękne. Wille, niezamieszkane podczas zimy, naprędce przystrajały się na przyjęcie swych lokatorów, żądnych świeżego powietrza i ciepłych promieni słonecznych.

Weronika i jej wnuczka nie miały już dni oznaczonych na zwiedzanie tej lub owej wioski. Tam, gdzie zamierzały pozostać tylko godzinę, musiały chodzić z katarynką z ulicy na ulicę i od domu do domu przez dzień cały. Monety srebrne padały bezustannie do rąk Marty, która, po wyprzedaży kabał amatorom, śpiewała głosem wątłym, lecz bardzo dokładnym piosenki, których ją nauczył przyjaciel Magloire, a którym wtórowała Weronika na katarynce. Fundusik ich oszczędno-

ściowy zwiększał się z dniem każdym, ku wielkiej radości babki.

— Nie jestem już młodą, mówiła do siebie, i miałam wiele zmartwień, a to niszczy człowieka. Może już nie pożyję długo. Z pewnym kapitalikiem Marta będzie mogła dać sobie radę. Przytem gdy mnie nie stanie, Magloire jej nie opuści, pod tym względem jestem spokojną, najlepiej jednak byłoby, ażeby pozostała zupełnie niezależną i niepotrzebującą nikogo...

*
* *

Daniel Savanne, jak już wiemy, zachował dla siebie kilka dni odpoczynku, ażeby je spędzić w willi Saint-Maur.

W sobotę udał się do sądu, ażeby zajść do gabinetu i przejrzeć nagromadzone podczas jego nieobecności papiery. Po wyjściu z sądu, przed powrotem na wieś, wstąpił do jubilera, któremu powierzył wykonanie kopii pieczątki oskarżycielskiej.

Kopia ta była gotowa i Daniel aż się zadziwił na widok doskonałej roboty i dokładności naśladownictwa, gdy porównał z sobą oba przedmioty.

— Ponieważ ja sam mógłbym się omylić, rzekł do jubilera pan Savanne, może pan będzie łaskaw naznaczyć czem model.

Jubiler białą nitką jedwabną obwiązał szyję lwa srebrnego.

Daniel zapłacił umówioną cenę i zabrał oba przedmioty.

Przybywszy do willi, udał się wprost do swoich pokojów, rozwinął klejnoty, fałszywe i prawdziwe. Ory-

ginał schował w szufladzie biurka, kopię zaś pozostawił na biurku, w miejscu widocznem, poczem rzekł do siebie:

— Mając go przed oczyma, nie zapomnę, a w poniedziałek, przy odjeździe, dopilnuję, ażeby Berthoud, zaopatrzony w ten klejnot, rozpoczął poszukiwania.

Zadzwoniono na obiad. Daniel poszedł do salonu, gdzie nań czekano.

Po obiedzie udano się do parku, dla przechadzki nad brzegami Marny, mało uczęszczanemi.

Alina szła pod rękę z Danielem. Pani Verniere postępowała obok nich, unosząc się nad pięknościami krajobrazu, który się roztaczał przed jej oczyma, i który słońce zachodzące złociło wszystkimi swymi ogniami.

Matylda i Henryk szli zwolna za nimi. Młoda dziewczyna jakby umyślnie zwolniła kroku, ażeby dać się bardziej wyprzedzić przez idących na przodzie.

Nie zdając sobie sprawy z życzenia Matyldy, Henryk chciał iść prędzej. Położyła mu rękę na ramieniu.

— Idź wolniej, rzekła do niego półgłosem, mam z tobą do pomówienia i pragnę, ażeby pani Verniere nie mogła mnie słyszeć.

Henryk spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Tak, podchwyciła młoda dziewczyna, czytając w oczach kuzyna zdziwienie, chcę z tobą pomówić i to w twoim interesie. Nie miejże tak zdziwionej miny i posłuchaj mnie.

— Cały jestem w słuch zamieniony, moja droga kuzyneczko, odparł Henryk z uśmiechem Co chcesz mi powiedzieć nowego?

— Bardzo ważne rzeczy. Spisek się knuje przeciw tobie.

— Spisek przeciw mnie! A mój Boże, z jakiego powodu?

— Z powodu miłości twej dla Aliny.

Henryk drgnął, a z ust jego zniknął uśmiech.

— Co mówisz? wyrzekł jednak tonem prawdziwego niedowierzania.

— Czyś nie zauważył w willi Neuilly niezwykłej uprzejmości Filipa de Nayle względem Aliny?

— Nie, nie zauważyłem tego. Widziałem tylko, że Filip tak samo jak jego matka, otacza Alinę jak najdelikatniejszemi staraniami, i przyznaję, że wydało mi się to bardzo naturalnem.

— Bardzo naturalne, gdyby to było oznaką tylko przyjaźni, ale syn pani Verniere nietylko przyjaźni doznaje dla mej przyjaciółki. Poprostu miłość popycha Filipa przeciw tobie, a pani Verniere, pochwalając tę miłość, marzy tylko o tem, ażeby ożenić swego syna z tą, która jest twoją narzeczoną.

— O! moja Matyldziu, co ci się zdaje.

— Dlaczego?

— Filip nie ma jeszcze dwudziestu lat. Panienkę można wydać w tym wieku, a nawet wcześniej, ale nie żeni się chłopca dziewiętnasto-letniego.

— Czyż prawo tego zabrania?

— Nie, ale zwyczaje.

— To nic. Ja ci powiadam, że Filip kocha Alinę i że ona to już spostrzegła tak, jak i ja. Nie śmiała ci o tem mówić. Pani Verniere zaś co chwila ma to

na myśli i pozwala to odgadywać w swych słowach. Ona sobie wbiła w głowę to małżeństwo i wszystko uczyni, ażeby dopiąć swego zamiaru.

Henryk z brwiami zmarszczonemi zamyślił się w ciągu kilku sekund, potem podchwycił:

— Ależ takie małżeństwo byłoby niedorzecznością. Toż to dwoje dzieci!..

— Ja cię uprzedzam, podchwyciła Matylda. Teraz, skoro cię ostrzegłam, rzecz twoja czuwać.

— Alina jest moją narzeczoną. Ma słowo moje, a ja jej. Wie, że może mi zaufać, a zaufanie moje dla niej jest bez granic.

— Masz słuszność, lecz Alina jest słabszą, aniżeli sądzisz!

Te ostatnie wyrazy zaniepokoiły nieco syna Gabrjela Savanne.

— Nawet gdyby Alina była słabą, wyszeptał, nie złamałaby słowa, zresztą ona mnie kocha.

— Tak, ale przewiduje ona, że lada dzień pani Verniere i Filip otwarcie pomówią z nią i boi się...

— Czego?

— Boi się zranić i o rozpacz przyprawić tych, dla których czuje przecież głęboką życzliwość i bezgraniczną wdzięczność, i kto wie czy nie będzie zbyt słabą, ażeby powiedzieć stanowczo: Nie.

— A! wyrzekł Henryk z rozdrażnieniem, małżeństwo moje z Aliną musi czemprędzej nastąpić.

— Nie śpiesz się. Tymczasem niema jeszcze niebezpieczeństwa palącego.

— Mam nadzieję, ale nie chcę, ażeby Filip de Nayle

mówił o miłości do mej narzeczonej!..

— Filip jest zakochany, ale bardzo młody i bardzo lękliwy, więc się nie ośmieli. Zaczekajmy. Ja o to dbać będę, ażeby Filip nie miał nigdy sposobności do rozmowy z Aliną sam na sam. Gdyby więc wyznał miłość swą twojej kuzynce, byłoby to w mojej obecności, a licz na mnie, że odpowiem. Teraz o tem ani słowa, oto ojciec mój już powraca.

* *
*

Zaproszeni na niedzielę do willi Savanne; Robert Verniere z pasierbem wyjechali z Neuilly o godzinie siódmej zrana. Niecierpliwość Filipa była wielką. Zobaczyć się miał z matką a jednocześnie z tą, która, odkąd po raz pierwszy ujrzał ją, pozostała bez przerwy w jego myśli.

Robert, dla innego powodu, niemniej od niego był niecierpliwym. Mógł teraz przystąpić do wykonania planu, powziętego przez O'Briena, i chociaż nie przenikał nawskróś myśli amerykanina, gotów był posłusznym mu być we wszystkiem. Jednocześnie myślał i o projekcie Klaudjusza Grivot.

O godzinie dziewiątej powóz Roberta zajechał przed ganek willi. Na ganku znajdowali się pani Verniere, Alina, Matylda i Henryk Savanne.

Daniel nie spodziewając się tak wczesnego przyjazdu gości, pracował w swym gabinecie, i tak dalece zatopił się w pracy, iż nie słyszał wcale, jak powóz zajechał.

Roberta i jego pasierba powitała Matylda.

Henryk trzymał się nieco na uboczu. Zajęty zwie-

rzeniami, uczynionemi mu w przeddzień przez kuzynkę, przyglądał się uważnie Filipowi. Ten, ucałowawszy matkę, zbliżył się do Aliny, i ściskając ją za rękę, to bladł to się czerwienił. W zachowaniu się młodej panienki znać było pewne pomieszanie.

— Matylda ma słuszność, rzekł do siebie Henryk. On ją kocha! To bije w oczy! Jakim sposobem ja tego wcześniej nie spostrzegłem.

Robert doskonale panował nad sobą, ukrywając trapiące go myśli.

— Czy pana Savanne niema w domu? zapytał Henryka.

— I owszem jest, drogi panie, odpowiedział młodzieniec. Stryj spodziewał się panów nieco później i zapewne pracuje w swoim gabinecie, jak to czyni codzień, nawet w niedzielę, aż do śniadania.

— Czy nie moglibyśmy mu uścisnąć ręki, nie przeszkadzając w pracy?

— Byłby już swą pracę przerwał, gdyby wiedział o przybyciu panów. Może panowie pozwolą, że ich do niego zaprowadzę?

— Prosimy.

Henryk Savanne skierował Roberta i Filipa na pierwsze piętro, gdzie się znajdowało mieszkanie Daniela, i zapukał zlekka do drzwi gabinetu.

— Proszę! odezwał się urzędnik.

— Mój drogi stryju, rzekł młodzieniec, wchodząc, pan Verniere i pan de Nayle przychodzą cię przywitać.

Sędzia śledczy zerwał się szybko z krzesła i poszedł

z wyciągniętemi rękoma na spotkanie gości.

— Czy nie przerywamy pracy pańskiej? zapytał Robert.

— Bynajmniej. Nic mnie nie nagli, a jeżeli pracuję dziś zrana, to tylko z przyzwyczajenia.

Daniel i Henryk przystawili krzesła przy biurku, stojącem pośrodku pokoju. Robert, siadając, rzucił na biurko ukradkowe spojrzenie. Nagle drgnął. Ujrzał pieczątkę, pozostawioną przez siebie w ręku odźwiernej fabryki Saint-Ouen. Dowód jego zbrodni znajdował się tu, na świetle dziennem. Dość byłoby mu wysunąć rękę, ażeby go pochwycić, ażeby go usunąć, i byłby ocalony, jak mniemał, gdyż nie wiedział, że przed oczyma miał teraz tylko kopię, której sędzia śledczy posiadał oryginał. Lecz Daniel i Henryk znajdowali się naprzeciw niego. Kradzież klejnotu była niewykonalną w tej chwili, lecz nędznik wiedział przynajmniej, gdzie się on teraz znajduje.

Nagle ogarnął go niezmierny przestrach. Niebezpieczeństwo niezwłoczne groziło mu, i to najstraszniejsze, jakie mógł sobie wyobrazić. Filip de Nayle znał ten klejnot, jako pochodzący od jego ojca. Gdyby jego spojrzenie padło, poznałby go i nieomieszkałby zapytać: Zkąd się tu znalazła pieczątka po jego ojcu? Wtedy nastąpiłaby katastrofa. Pozostawałoby mu tylko palnąć sobie w łeb, dla uniknięcia kary. W ciągu kilku sekund, Roberta wstrząsało nerwowe drżenie, a na czoło wystąpił pot zimny. Ale uspokoił się prędko. Gruby tom akt różnych leżał na biurku tak, że zasłaniał klejnot przed oczyma Filipa, a zresztą młodzieniec, pogrą-

żony w miłości swej dla Aliny, nie zwracał wcale uwagi na otaczające go przedmioty. Pomimo to, Roberta paliło pragnienie opuszczenia pokoju, dokąd został wciągnięty ze swym pasierbem.

Ziszczenie tego życzenia nie dało na siebie długo czekać.

Odezwał się odgłos dzwonka.

— Dzwonek zaprasza nas na lekki posiłek, rzekł Daniel, a ponieważ odbyli panowie tak ranną podróż, zapewne jesteście przy apetycie.

Wyszli z gabinetu, i Robert zauważył, że Daniel nie zamknął drzwi na klucz. Dobrze było o tem wiedzieć i oznajmić o tem O'Brienowi, który chciał być szczegółowo powiadamianym.

Posiłek trwał krótko, poczem Daniel zaprosił gości do zwiedzenia jego posiadłości.

Robert przyglądał się wszystkiemu bacznie i starał się jaknajdokładniej zapamiętać.

Park był doskonale zadrzewiony, a zatem i zacieniony. Z tarasu, przylegającego do Marny, można było dostać się do domu ścieżkami będąc nie widzialnym. To szczególnie uderzyło bratobójcę.

Robert wskazał ręką domek po prawej stronie.

— A to ładny pałacyk, rzekł, znakomite schronienie dla lubiącego pracę poważną, zdala od wszelkiego zgiełku.

— Henryk mieszka tu czasem podczas większych upałów, odpowiedział pan Savanne, powietrze tu znacznie świeższe, niż w willi, a to z powodu rozłożystych drzew i sąsiedztwa rzeki.

— To pałacyk jest umeblowany?

— O! i bardzo dogodnie. Zaraz pan zobaczy.

Henryk na znak stryja, skierował się do pałacyku, otworzył drzwi, potem okna i podniósł rolety.

Pokój główny na parterze umeblowany był wielką sofą, mogącą w potrzebie służyć za łóżko, stołem, kredensem i kilku krzesłami, pokrytemi kretonem.

— To prawie sypialnia, rzekł Robert.

— Prawdziwa znajduje się na pierwszem piętrze, odparł Henryk.

— Jak to ładnie! zupełne odosobnienie, a więc i zupełna cisza.

Wyszli z domku, Robert zauważył, że młodzieniec pozostawił klucz w zamku. Wskazał sztachety, osadzone w parkanie, i zapytał:

— Dokąd prowadzi furtka w tych sztachetach?

— Na brzeg Marny.

— A to państwo zajmujecie się żeglugą?

— Tak, ale tylko dla przejażdżki naszej kuzynki i panny Verniere, które bardzo lubią tę rozrywkę.

— Otwórz nam i pokaż, rzekł Daniel Savanne do swego bratanka.

Henryk poszedł po klucz do szopy i otworzył furtkę.

Robert wbijał w pamięć wszystko, co widział.

Spacerujący udali się na brzeg rzeki, który liście już rozwinięte kasztanów pokrywały lekkim cieniem.

Po rzece przejeżdżali się odświętni Paryżanie.

Marna była poprzerzynana licznemi łódkami. Wiosła przewoźników, miarowym ruchem uderzając o fale, pryskały grubemi kroplami wody, które promienie słone-

czne zapalały tysiącem ogni.

— W niedzielę ten zakątek jest bardzo ożywiony, rzekł Daniel. Ale w ciągu dni powszednich zupełna tu cisza...

Doszli aż do małej przystani na rzece. O dwadzieścia kroków znajdowała się płaska łódź, którą przed dwoma dniami zauważyli pani Verniere, obie panienki i Henryk, a w niej pracował tenże sam pejsażysta. Robert rzucił nań bystre spojrzenie. Pomimo peruki i białej brody poznał O'Briena i pomyślał:

— Czuwa... można na nim polegać.

Na szmer głosów nieznajomy zwolna obrócił się. Zamienił spojrzenie z Robertem, poczem znów się zabrał do roboty.

Filip de Nayle przypatrywał się z upodobaniem łódce.

— Doskonała przejażdżka! zawołał. Łódka lekka, elegancka i mocna!

— Żałuję, że z niej dziś nie możemy korzystać, odrzekł Daniel Savanne. Ale to dzień nieodpowiedni. Po rzece snuje się za dużo ludzi. Jednak spodziewam się, że panowie odwiedzą nas nieraz w ciągu tygodnia, a Henryk rad będzie zwiedzić wraz z panem najładniejsze brzegi Marny.

— Taką przyjemność i ja radbym dzielić, wtrącił Robert.

— A czyż stoi co na przeszkodzie? podchwycił Daniel. Dom jest dla pana otwarty i zawsze bardzo szczęśliwi będziemy widzieć pana u nas; niechże pan raczy z panem Filipem przepędzać wszystkie wolne chwile, jakie pozostawi panom fabryka w Saint-Ouen.

— Tysiąckrotne dzięki za tak uprzejme zaproszenie, odparł Robert. Przyjmujemy je i skorzystamy z niego, skoro tylko na to pozwolą prace fabryczne.

Słowa te wyrzeczone zostały dość głośno, ażeby je mógł usłyszeć amerykanin w swej barce.

Powrócono do parku i skierowano się ku domowi, gdzie panie, siedząc w cieniu na tarasie, oczekiwały powrotu spacerujących.

Henryk i Filip poszli naprzód.

Robert, znalazłszy się nieco w tyle sam z Danielem, skorzystał z tego, ażeby zapytać:

— Czy ma pan jakie nowe wiadomości o zbrodni w Saint-Ouen?

— Niestety, nie, odpowiedział urzędnik, gdyby nie szło o pomszczenie brata pańskiego, który był moim przyjacielem, poddałbym się zupełnemu zniechęceniu i prosiłbym prokuratora o zwolnienie mnie od obowiązków, gdyż powątpiewam już sam o sobie. Wspomnienie Ryszarda, ojca naszej drogiej Aliny, nakazuje mi iść do końca, a przytem skoro rozpocząłem sprawę, nie mogę jej zaniechać bez kompromitacji. Pan jednak musi pojmować, jak są dla mnie bolesne te wszystkie zawody w tem nieszczęśliwem śledztwie. Ani kroku naprzód.

— Więc już pan niema nadziei wcale?

— Mam jeszcze pewną nadzieję w tym klejnocie, pozostawionym przez mordercę w ręku Weroniki. Kto wie, czy ten klejnot mną nie pokieruje?

Robert, słysząc sędziego śledczego, tak mówiącego, pomyślał:

— Ponieważ klejnot, o którym mowa, jest jego ostatnią nadzieją, wkrótce przestanie się spodziewać.

Doszli do tarasu.

* * *

Z rzeczy ważnych, z któremi O'Brien pragnął się zapoznać, przed rozpoczęciem dzieła, dużo już było Robertowi wiadomych. Wiedział, gdzie się znajduje brelok, i miał już pewność, że będzie mógł osiąść w willi Savanne na dni kilka, gdy okoliczności uczynią jego obecność potrzebną. Teraz pozostawało mu tylko nakłonić Henryka Savanne do operacji z Weroniką Sollier, ażeby sprowadzić ją do mieszkania sędziego. To było najtrudniejsze. Jednak nędznik liczył, że dopnie celu. Skoroby tylko Henryk ustąpił jego naleganiom, do których bez cienia wątpliwości dołożą swe prośby Aurelia, Alina i Matylda, pomyśli o doprowadzeniu do skutku małżeństwa swego pasierba z córką Ryszarda.

Gdy po śniadaniu podano kawę, Robert uznał chwilę za stosowną i zagadnął syna Gabrjela Savanne.

— Kochany panie Henryku, jak daleko pan jesteś z badaniami dotyczącemi biednej dawnej odźwiernej fabrycznej?

— Ciągle prowadzę jeszcze studja, odpowiedział młodzieniec.

— Ale pan nie zrzekł się myśli spróbowania jej wyleczenia? I czy to możebne?

— Nie, ale zamierzam się jeszcze radzić naczelnego lekarza w mem szpitalu, czy jednak nie będzie jeszcze innych trudności?

— Jakich? zapytał Robert

— Czy Weronika zechce się poddać operacji.

— Jeżeli tylko zaręczysz pan jej, że nie ryzykuje życia.

— Przygotowanie do operacji potrwa dość długo.

— Cóż to szkodzi?

— Potrzeba będzie, ażeby ze trzy tygodnie przepędziła w szpitalu, a jestem pewny, że nawet dla odzyskania wzroku, nie zgodziłaby się rozstać na tak długo z Martą, swoją wnuczką.

— Dziecko zabierzemy z sobą, odrzekła pani Verniere.

— Ona się nie zgodzi.

— Więc co robić? wtrąciła Alina.

— Zdaje mi się, że istnieje bardzo prosty sposób dla usunięcia trudności, zauważył Robert.

— Jakiż to sposób? zapytał Henryk.

— Za zezwoleniem pańskiego stryja, który chętnie się na to zgodzi, mógłby pan poddać tu nawet panią Sollier leczeniu przygotowawczemu.

— Tutaj?

— Tak. W ten sposób znajdowałaby się ona bezustannie pod pańskiem okiem, a miałaby przy sobie oprócz wnuczki, trzy dozorczynie, któreby ją pielęgnowały biegle i troskliwie.

— Jeżeli to może wpłynąć skutecznie na zezwolenie Weroniki, zgadzam się z całego serca, rzekł Daniel Savanne.

— Zrobić operację w tej willi? wyszeptał młodzieniec. Ależ gdzie moglibyśmy pomieścić niewidomą i jej wnuczkę? Potrzeba mi byłoby cienia, bardzo dużo cienia, okien jak najmniej słonecznych i okiennic, mogą-

cych dać zupełne ciemności.

— Ależ, zawołał Robert, a ten pałacyk nad brzegiem Marny, przecież on zdaje się odpowiadać wszystkim warunkom, postawionym przez pana.

— Pałacyk! zawołał Henryk, ależ tak, tak! pan Verniere na słuszność.

— Tak, to prawda! poparł Daniel Savanne. I teraz trzeba ci się zabrać do dzieła, mój kuzynku.

— Dobrze, ale wprzód muszę się poradzić jeszcze naczelnego lekarza w mej klinice.

Rozmawiano o tem dość długo. Potem Daniel wstał, ażeby napisać list do swego przyjaciela, okulisty naczelnego w szpitalu.

Matylda i Alina poszły do swego pokoju, chcąc się podzielić wrażeniami o zachowywaniu się Filipa.

Ten udał się wraz z Henrykiem do sali bilardowej, dla zagrania partji.

Robert pozostał sam z żoną.

— Czy chcesz się ze mną przejść po parku? odezwał się.

— Masz ze mną do pomówienia?

— Tak. O Filipie...

— Spodziewam się, iż nie daje ci powodu do użalenia, podchwyciła Aurelia niespokojna.

— O! cóż znowu! mam w nim doskonałego pomocnika, pełnego talentu, wiedzy i pracowitości.

Aurelia promieniała, tak mile połechtana w dumie macierzyńskiej.

Robert ciągnął dalej:

— Ja chcę pomówić z tobą o jego przyszłości.

— O jego przyszłości! powtórzyła pani Verniere.

Poszli do parku i usiedli na ławce pod lipami. Para małżeńska prowadziła dalej rozmowę. Robert delikatne poczynił uwagi o zmianach, zaszłych w usposobieniu Filipa, i o smutku, jaki go chwilami ogarniał; żona to samo przyznawała, i powoli zwierzyli się przed sobą, o czem wiedzieli dobrze, o miłości młodego chłopca dla Aliny. Wkrótce po wspólnem porozumieniu, oboje zadowoleni, że jedno drugie popiera w zamiarach, ułożyli projekt małżeństwa w sposób stanowczy.

— Niech Filip oświadczy się. Ja sam za kilka dni pomówię z panem Savanne.

Robert wstał i wrócili do willi.

XIII.

Gdy Daniel Savanne powrócił do pałacu sprawiedliwości, wezwał do swego gabinetu brygadjera Berthouta.

— Czy poznajesz ten przedmiot? zapytał tegoż.

I pokazał mu wyjętą z papierowego owinięcia kopię breloku Roberta Verniere.

— Doskonale, panie sędzio. To jest ten klejnocik, który Magloire znalazł w ręce zemdlonej Weroniki.

— A przynajmniej to jego kopia dokładna.

— Kopia!.. To!..

— Tak, rzeczywiście o tyle dokładna, że trudno ją odróżnić od oryginału. Na ten przedmiot liczę, że wskaże nam ślad nędznika, do którego należał, a przynajmniej który go nosił.

— Panie sędzio, trzebaby wiedzieć u którego jubi-

lera ten brelok został kupiony...

— Ja też liczę, że pan to wykryjesz, mój dzielny Berthout, bierz ten klejnocik, a oto na koszta podróży.

I pan Savanne podał mu sto franków.

Berthout podziękował i oddalił się.

Następnego dnia Berthout pojechał koleją do Survilliers i wszedł do swego przyjaciela antykwarjusza, pana Dutac, który mieszkał tu w ładnym schludnym dworku.

Dutac powitał go serdecznie, po długiem niewidzeniu, a po rozmowie o dawnych czasach, podczas smacznego i obfitego śniadania, agent opowiedział mu cel odwiedzin i pokazał mu pieczątkę.

Znawca i wytrawny antykwarjusz przyjrzał się jej zaledwie przez sekundę, poczem zawołał:

— Wolne żarty, to ma być staroświecki klejnot! Pieczątka jest srebrna, ale ten kamień to szkło i wart jest trzy i pół franka.

— Bo nie dałeś mi powiedzieć, że to tylko kopia, wykonana dla sędziego śledczego.

Teraz antykwarz zatopił się w badaniu cacka.

— O! o! rzekł naraz, nie, nie mylę się, ja miałem w swem ręku oryginał tej kopii...

— Miałeś oryginał w ręku? powtórzył Berthout niespokojnie.

— Tak. Jestem tego pewny. Dwadzieścia pięć, a może trzydzieści lat temu. Kupiłem go na wyprzedaży we Włoszech, podczas jednej z moich podróży. Naówczas nie było cyfr, wyrytych na szmaragdzie. Po powrocie do Paryża, wystawiłem tę pieczątkę w moim

sklepie przy ulicy Lafitte. Bardzo się podobała, ale wysoka cena, którą podałem, odstręczała amatorów, i sądziłem, że długo będę musiał czekać...

— Jednakże przyszedł jakiś nabywca?

— Naturalnie, skoro już nie posiadam tego cacka, a nie zostało mi skradzione...

— Postaraj się przypomnieć, komuś je sprzedał.

— Niepodobna, po tylu latach. Miałem bardzo liczną klientelę. Zapomniałem już nawet, za ile sprzedałem klejnot i za ile go kupiłem.

Po ostatnich słowach dawnego handlarza osobliwości zapanowała chwilowa cisza. Berthout zamyślił się głęboko. Naraz zagadnął raptownie.

— Ależ musiałeś zapisywać w swych książkach nazwiska nabywców?

— Kiedy miałem odsyłać przedmiot sprzedany do domu, zapisywałem nazwisko i adres, bo to było konieczne. W innych razach bardzo rzadko.

— Więc może właśnie, podchwycił Berthout, coraz bardziej rozgorączkowany, odesłałeś ten przedmiot do mieszkania nabywcy?

— Nie wiem!

— Ale możesz się dowiedzieć. Wycofawszy się z handlu, zachowałeś zapewne swe książki rachunkowe?

— O! tak. Były to towarzyszki całego mego życia. Są tu, na strychu, i zapewne myszy nieźle się niemi uraczyły...

— A gdybyś je przejrzał?

— Ależ to rachunki za lat pięćdziesiąt!

— Ja ci dopomogę. Jeżeli pozwolisz, osiędę tu przy

tobie i strona po stronie przejrzę te wszystkie rejestry, gdzie spoczywa niezawodnie prawda.

— To znowu co innego. Tobie do przejrzenia oddam wszystko. A kiedy przybędziesz?

— Skoro tylko dostanę pozwolenie od mej władzy, odparł Berthoud.

* *
*

Za staraniem Henryka Savanne zebrało się konsylium specjalistów-okulistów w willi Saint-Maur, znakomici ci lekarze, przy udziale doktora Sermet, mającego dać im wskazówki o leczeniu Weroniki Sollier, zbadali stan biednej ociemniałej. Specjaliści przyszli do przekonania, że operacja, celem przywrócenia wzroku, udać się powinna, i chociaż ciężka, nie zagraża życiu nieszczęśliwej.

Pomimo to ociemniała nie chciała się poddać operacji żadną miarą, z obawy, podtrzymywanej dawnemi twierdzeniami lekarskiemi, iż może operacji nie przeżyć, skutkiem czego śmierć jej osierociłaby tak drogą jej wnuczkę Martę. Żadne perswazje, żadne namowy, nie odniosły rezultatów.

Doktorzy, wobec tego opuścili willę, natomiast pozostał jeszcze Robert, który przybył niby umyślnie, dla wysłuchania zdań lekarzy. Pozostał on, gdyż chciał za nadejściem nocy odszukać O'Briena, i zawiadomić go o stanie rzeczy. Dopiero więc po godzinie ósmej wieczorem pożegnał się z Danielem. Zamiast jednak udać się na kolej, w drodze zboczył i zadzwonił do samotnego mieszkania rzekomego Nelsona.

— Spodziewałem się pana, rzekł amerykanin, otwierając drzwi.

— Jesteś pan sam? zapytał Robert.

— Zupełnie.

— A panna Miariani?

— Pojechała przed czterema dniami do Włoch, gdzie ma na mnie czekać. Nudziła się tutaj śmiertelnie, a zresztą była krępującą. Teraz pomówimy, co pana sprowadza. Jeżeli się nie mylę, pańska obecność o tej porze jest pomyślną wróżbą.

— Mylisz się pan zupełnie.

I opowiedział swemu wspólnikowi o oporze Weroniki, nie zgadzającej się na operację, choć, według opinii lekarskiej, mogła odzyskać wzrok.

O'Brien zaklął straszliwie.

— Ha! to ja tutaj straciłem czas! zawołał.

— Czy to z mojej winy?

— Tego nie mówię, lecz niemniej wszystko, co wykombinowałem, staje się niemożebnem. Złakomiony cyfrą przyrzeczonej mi przez pana sumy, chciałem po głupiemu ubiegać się za dwoma zajęciami naraz. Ja powinienem był już teraz znajdować się z małą Martą daleko od Francji, daleko od niebezpieczeństw, które mi grożą. Zamiast tego jestem tu i jestem dla niczego!

— Znajdźmy inny sposób.

— Plan, który ułożyłem, był jedynie wykonalny. Gdyby Weronika Sollier i jej wnuczka umieszczone zostały w willi Savanne, wszystko byłoby możliwe, prawie łatwe. Tymczasem niema ich tam i nie przyjdą, wszystko się skończyło. Pan nie masz się czego oba-

wiać, a ja jestem okradziony.

— Ja, powiadasz pan, nie mam się czego obawiać, powtórzył Robert, nie pojmując znaczenia myśli amerykanina.

— Naturalnie. Ślepa nie chce się poddać operacji, zatem przestaje być dla pana niebezpieczną, ponieważ pana nie pozna nigdy. Co do breloka kompromitującego, który oddała sędziemu śledczemu, wiesz, gdzie on jest, a klucze są we wszystkich drzwiach, zatem to już bagatela. Więc kochany panie, zabierz go. Do tego nie potrzebujesz mnie pan!

— Więc mnie pan opuszczasz?

— Ponieważ możesz pan sam działać...

— Zrzekasz się pan zarobienia sumy przyrzeczonej? Majątku?

— Zrzekam się, ponieważ jest to niemożebne.

— I chcesz porzucić myśl wykradzenia dziecka?

— O! nie. Majątek, którego nie będę mieć od pana, przyjdzie mi od niej! Ja porwę dziecko, a pan mi wyliczysz obiecane dwieście tysięcy franków.

— Ale jeżeli brelok wróci do mnie, nie będę już potrzebował się bać dziecka?

O'Brien zaczął się śmiać.

— Tak, to prawda, ale ja dla pana sprzedałem swe meble, porzuciłem gabinet porad magnetycznych, zamieszkałem tutaj, poświęcałem się najzupełniej, dla korzyści pańskich interesów. Jestem pewien, że pan wypłaci mi owe dwieście tysięcy franków bez targu, których zresztą potrzebuję, dla rozpoczęcia swych wędrówek po Europie.

— Kiedy pan będziesz gotów do odjazdu, odparł Robert, przyjdź pan do Neuilly, a ja wręczę tę sumę.

— To co innego!.. Z przyjemnością widzę, że masz pan pamięć i rozwagę. W dniu, kiedy Martę dostanę w swe ręce, przyjdę po wypłatę.

— Będę pana czekał i zawsze jestem na pańskie usługi.

Robert wstał i podał rękę magnetyzerowi.

— Do zobaczenia prędkiego, rzekł O'Brien, ściskając wyciągniętą rękę.

Robert, opuściwszy O'Briena, pośpieszył na stację kolejową i wsiadł na pociąg, którym mógł do siebie powrócić.

XV.

Roboty wyjątkowe, któremi Filip de Nayle i Klaudjusz Grivot zajmowali się w fabryce Saint-Ouen, postępowały szybko. Plany nowej kartaczownicy polnej, bomb, wynalezionych przez Roberta dla torpedowców i armat szybko strzelających, jak również formuły chemiczne nabojów, mających posłużyć do wyrzucania tych pocisków, zostały przejrzane, poprawione i oddane komisji egzaminacyjnej. Ta uderzona została pomysłowością nowych i śmiałych kombinacyj.

Próby z tymi nowymi wynalazkami odbyć się miały w szkole artyleryjskiej w Fontainebleu, w obecności komisji egzaminacyjnej i ministra wojny.

Opisy wynalazków zostały oddane, a duplikaty ich pozostały w fabryce.

Robert poprosił pasierba, ażeby przygotował jeszcze

jeden egzemplarz planów i formuł.

— Po co ten trzeci egzemplarz, skoro został się nam duplikat? zapytał Filip.

— Może nam być potrzebny, a chciałbym, ażebyś go sam napisał, jak i poprzednie.

Kiedy ojczym dawał zlecenia, Filip nie sprzeciwiał się nigdy.

W kilka dni potem nastąpiły urzędowe doświadczenia z wynalazkami i dały rezultat jak najlepszy.

Był to tryumf zupełny. Nazajutrz podpisany został kontrakt w ministerjum marynarki i wojny, a w dwa dni później Journal Officiel ogłosił nominację dyrektora fabryki w Saint-Ouen, jako kawalera Legii honorowej, za wyjątkowe zasługi.

W domu Daniela Savanne powitano zdarzenie to wielką radością. Aurelia, zapominając o przeszłości, stawała się dumną ze swego męża.

Filip, promieniejąc, mówił:

— To sprawiedliwość! I dodał pocichu: Może i ja tego dostąpię w przyszłości.

Sam też Robert upajał się powodzeniem i nie myślał nawet o tem, że ta wstążeczka czerwona, oznaka honorowa, którą śmiał nosić, była ufarbowana krwią jego brata!

Prace naglące i bieganina po ministerjach nie przeszkadzały mu myśleć bezustannie o projekcie małżeństwa, będącem dlań środkiem wybawczym.

W niedzielę następną udał się wraz z Filipem do willi Savannów, z zamiarem wyjawienia swych życzeń swej bratanicy i Danielowi.

W ciągu dnia, po naradzie z żoną, poprosił sędziego o chwilę wspólnej rozmowy, podczas której Robert wyznał swój plan co do Aliny.

Jakżeż jednak się ździwił i jak pani Verniere uczuła się strapioną, gdy Daniel oświadczył, iż ma dla Filipa wiele życzliwości, lecz Alina jest już narzeczoną jego bratanka, Henryka, i że młoda para kocha się bardzo wzajemnie.

— Sądzę jednak, dodał, że nie macie państwo do mnie o to urazy i że zostaniemy i nadal przyjaciołmi.

Wymawiając te wyrazy, Daniel wstał i wyciągnął ręce do Aurelii i Roberta.

Nie mogli oni źle przyjąć wyjaśnienia, udzielonego z taką szczerością, uczciwością i serdecznością.

Robert nie dał po sobie poznać gniewu.

— Kochany panie Savanne, masz pan najzupełniejszą słuszność, rzekł, ściskając rękę urzędnikowi. Nic nie może zachwiać naszej przyjaźni. Filip będzie cierpiał, że jednak to chłopiec pełen zdrowego rozsądku i kocha Henryka Savanne, jak brata, nie będzie mu zazdrościł tego szczęścia i zapomni o Alinie i o swem marzeniu.

— Biedny Filip, wyszeptała Aurelia ze łzami w oczach, zawczasu pozna zmartwienie.

* *
*

Przed odejściem do pokoju jadalnego, na którego progu Daniel opuścił Aurelię, dla wydania jakiegoś polecenia, Robert znalazł się sam z żoną.

— Widziałaś, że nie nalegałem, rzekł do niej głosem drżącym od powstrzymywanego gniewu. Ale ja chcę ażeby

się Filip ożenił z Aliną.

Aurelia spojrzała na męża niespokojnie.

— On musi się ożenić z nią! ja chcę! słyszysz, i tak być musi!..

Pani Verniere nie miała czasu dla zapytania go o objaśnienie. Daniel do nich nadszedł.

Podczas śniadania Robert wydawał się takim jak zawsze, a jednak myśl jego biegła do gabinetu sędziego śledczego, gdzie znajdował się dowód rzeczowy jego zbrodni.

Po śniadaniu poszli wszyscy na taras.

Przy kawie Robert wstał.

— Kochany panie Savanne, odezwał się, wczoraj zapomniałem napisać list dość pilny. Czy macie państwo tutaj skrzynkę pocztową?

— Na stacji w Champigny o dziesięć minut ztąd. Wejdź pan do mego gabinetu, znajdziesz tam przybory do pisania ; ogrodnik zaniesie list na stację.

— Dziękuję panu, rzekł Robert. Za kilka chwil powrócę.

Plan, zbudowany przez niego przed kilku chwilami, udał się. Zaledwie usiadł przy biurku, wziął ćwiartkę papieru, umaczał pióro w kałamarzu, ale położył je zaraz. Wysunął szufladę biurka. Pierwszym przedmiotem, który uderzył jego oczy, był brelok, oderwany od łańcuszka zegarkowego. Pochwycić go, wsunąć do kieszeni kamizelki, zamknąć szufladę, wszystko to było dlań dziełem jednej chwili.

— Mam nareszcie ten dowód, który mnie przestraszał, wyszeptał tryumfalnie. Weronika pozostanie na za-

wsze ślepą! nie mam się czego obawiać.

Ująwszy znów za pióro, nakreślił na kopercie taki adres: „Pan Chesnaye, ulica Aubulier N. 24. Paryż.“ Do tej koperty włożył ćwiartkę papieru i zapieczętował.

Adres był zmyślony i koperta zawierała papier niezapisany. Wszystko miało pozostać niedoręczonem przez pocztę.

Z listem w ręce powrócił na taras, gdzie się jeszcze znajdowali wszyscy goście willi.

— Raz jeszcze dziękuję panu sędziemu, rzekł. Poproszę ogrodnika, by list oddał na pocztę.

— Po co odrywać ogrodnika od roboty, przerwał Filip. Ja pójdę się przejść na stację.

— Idź, jeżeli ci się podoba, odrzekł Robert, dla mnie najgłówniejsza, ażeby ten list odszedł.

— A i wy, moje dzieci, moglibyście towarzyszyć panu de Nayle, dla nabrania trochę ruchu, rzekł Daniel Savanne do Aliny i Matyldy.

— I owszem, rzekła żywo Matylda, będzie nam przyjemnie towarzyszyć panu Filipowi.

Po chwili wszyscy troje znajdowali się już za willą, na drodze do stacji.

Szli zwolna. Filip nie mówił ani słowa. Alina czuła się zakłopotaną, zmieszaną. Matylda tylko sama ponosiła cały ciężar rozmowy, mówiąc o byle czem, aby tylko nie dać zapanować milczeniu. A gawędząc tak, myślała:

— Gdybym mogła dać mu do zrozumienia, że Alina jest narzeczoną mojego kuzyna.

Sposób na to znalazła wreszcie.

Alina wyjęła z kieszeni chustkę do nosa, a jednocześnie wypadła jej z kieszeni mała ćwiartka papieru, zadrukowana. Była to „przepowiednia szczęścia“ jedna z tych, które Marta sprzedawała po wsiach, a którą przed kilku dniami ofiarowała Alinie.

Filip schylił się, ażeby podnieść papier, i oddał go dziewczęciu, ale przeczytał tytuł: „Przepowiednia szczęścia“.

— Czyż pani wierzy w takie rzeczy? zapytał z uśmiechem.

Alina nic nie odpowiedziała na zapytanie Filipa.

— Jakżeby nie wierzyła, rzekła żywo Matylda, przecież ten papierek właśnie mówi prawdę.

— Prawdę? powtórzył Filip, ciągle uśmiechnięty, jaką prawdę?

— Alino, daj tę przepowiednię panu de Nayle, przeczyta ją niezawodnie z przyjemnością.

Alina podała papier Filipowi.

Młodzieniec wziął papier ręką niepewną i począł czytać półgłosem:

„Przepowiednia szczęścia“. Chcesz poznać swój los? Chcę cię zadowolić. Zaczynam od powiedzenia ci prawdy, że jesteś piękną i dobrą, kochaną jesteś i kochasz. Osoba, którą ci los przeznacza, powołaną jest do zajęcia wysokiego stanowiska w świecie. Tak samo jak ty, on jest dobry. Jest z niego pracownik niestrudzony i z czasem stanie się dobroczyńcą ludzkości. Zanim posiądziesz tego, którego kochasz i który już jest twoim narzeczonym, doświadczysz różnych przykrości. Twoja rodzina sprzeciwiać się będzie. Zechcą cię nakłonić do

porzucenia twej miłości. Nie ustępuj i oprzyj się! Nie ufaj człowiekowi, który do ciebie przemawia po ojcowsku. To dusza fałszywa, od której rodzina twoja i przyjaciele mogą oczekiwać tylko żałoby i boleści.

Bladość wielka rozlała się na twarzy Filipa. Miał jednak tyle siły, że zmusił się do uśmiechu.

— Czy trzeba wierzyć panno Alino, jak przed chwilą twierdziła panna Savanne, że wszystkie rzeczy, wydrukowane na tym papierze, są dla pani prawdą? zapytał młodą dziewczynę.

Matylda pośpieszyła jej przyjść z pomocą.

— Ależ niezawodnie, panie de Nayle! rzekła. Tym młodzieńcem, którego jej los przeznacza, jest mój kuzyn, Henryk Savanne.

— Henryk Savanne, wyjąkał Filip.

— Jest on narzeczonym Aliny oddawna. Nie wiedziałeś pan o tem?

— Nie wiedziałem. Jakże mogłem odgadnąć?

*

* *

Nie będziemy opisywali reszty przechadzki na stację. Nie będziemy też rozwodzili się nad zapewnieniem, jak bolesny cios otrzymał Filip przez to wyznanie, tak dlań niespodziewane.

Alina czuła się też zmieszaną. Tylko Matylda była zadowoloną, że wyjaśniło się położenie i że Henryk zaoszczędzi sobie przez to wielu przykrości.

Zresztą powiedzmy, może ku ździwieniu czytelników, lecz ku pochwale Filipa, boleść swą postanowił zasklepić w sobie, nie żywiąc nienawiści ku szczęśliwemu rywalowi. Bo natura młodzieńca, prawa i szla-

chetna, przyznawała, iż Henryk Savanne jest ze wszechmiar takim, o jakim mówiła owa przepowiednia, i że najzupełniej godnym jest Aliny.

XVI.

Berthout nie tracił czasu u pana Dutaca, byłego handlarza starożytności. Ze strychu, do pokoju dlań przeznaczonego, zniósł wszystkie książki rachunkowe i regestry, w których spodziewał się odnaleźć wiadomości o sprzedaży klejnotu, którego kopię powierzył mu pan Savanne. Uporządkował regestry podług lat.

Pierwszy datował z roku 1840. Ale była w nim luka. Od roku 1845 do 1852 regestrów brakowało. Dutac objaśnił, że tomy te prawdopodobnie pozostały zapomniane w ręku jego następcy. I gdy po upływie tygodnia inspektor policji nic nie odkrył z regestrów Dutaca, udał się do Paryża, zaopatrzony w list dawnego handlarza starożytności do jego następcy.

Ten przypomniał sobie, że objąwszy magazyn w posiadanie, znalazł stare regestry, ale co się z nimi stało? Przyrzekł bądź co bądź poczynić poszukiwania. W razie pomyślnego rezultatu, zawiadomiłby niezwłocznie sędziego śledczego.

* * *

Robert, powróciwszy do willi Neuilly, udał się do gabinetu swego, ażeby przeczytać listy, nadeszłe podczas jego nieobecności. Przedewszystkiem zamknął w szufladzie, od której klucz nigdy go nie opuszczał, brelok, skradziony Danielowi Savanne. Następnie odpieczętował listy. Oprócz dwóch nic nie znaczących, trzeci

wywołał uśmiech na jego ustach. List, pochodzący z ulicy Verneuil, zawierał następujące wyrazy:

„Kochany panie! Przyjdź w poniedziałek zrana na ulicę Verneuil. Chcianoby panu powinszować osobiście wielkich powodzeń.“

Bez podpisu.

— Pójdę, rzekł, paląc ten papier kompromitujący.

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie, chcąc przed udaniem się na ulicę Verneuil porozmawiać z Klaudjuszem Grivot. Doznał pewnego ździwienia, nie widząc Filipa, gotowego do towarzyszenia mu, według zwyczaju. Robert poszedł do mieszkania pasierba. Młodzieniec pracował. Wstał i podał rękę panu Verniere.

— Moje drogie dziecko, czas jechać, rzekł.

— Chciałem pana uprzedzić, że dziś zrana nie będę w fabryce. Mam ukończyć pilną robotę, której potrzebuje Klaudjusz Grivot. Wyliczenia dość trudne dla dokładnego oznaczenia siły opornej pocisków, a nie mogę tych wyliczeń zrobić w fabryce, mając tu pod ręką poważne dzieła specjalne.

— Zostań tu, drogie dziecko, ja sam pojadę.

Robert odjechał. W Saint-Ouen opowiedział Klaudjuszowi Grivot w kilku słowach, co zaszło w willi Savanne i w jaki sposób odzyskał klejnocik, pozostawiony dnia 1. stycznia w ręku Weroniki.

— Teraz, mój kolego, rzekł doń Robert, trzeba się tylko nie zatrzymywać w drodze. Trzeba nam majątku, milionów. Idę na ulicę Verneuil.

— To prawda, wyszeptał Klaudjusz, marszcząc brwi, powiedziałem, że oni cię jeszcze trzymają?

— Trzymają, ale łańcuchami złotymi, a te nie wydają mi się ciężkiemi, odparł, śmiejąc się bratobójca.

W godzinę później dzwonił do bramy pałacyku barona Schwartza. Lokaj był uprzedzony. Gościa wprowadził natychmiast do swego pana.

Prusak podał mu prawą rękę, gdy lewą, jaśniejącą od pierścieni, głaskał piękną brodę jasnowłosą.

— Mój drogi baronie, rzekł doń Robert tonem swobodnym, przychodzę po powinszowania, które pan mi chciał osobiście wyrazić.

— Nie będę ich panu szczędził, odparł urzędnik do specjalnych poruczeń, i oświadczam panu, że są bardzo szczere. Oceniają pana w wysokim stopniu, jak na to zasługujesz, żałuj nieskończenie, że nie oddano wcześniej sprawiedliwości człowiekowi pańskiej wartości. Byłeś pan oczerniony w oczach głównego sztabu. Źle uczyniono, dając wiarę nieprzychylnym raportom, lecz jeżeli przekonają się, że z łatwością zapomnisz o tych fatalnych nieporozumieniach i że gotów pan jesteś przyjąć wyrazy naszego żalu i zostać znów naszym przyjacielem...

— Gotów byłbym, jeżeli ta przyjaźń okupi się w sposób należyty.

— To znaczy, żeś się pan namyślił, nieprawdaż?

— Prosiłem pana o miesiąc czasu.

— Brak tylko jeszcze dwóch dni do upływu miesiąca, a czas nagli. Podałeś pan rządowi francuskiemu swe wynalazki wojskowe i teraz otrzymałeś polecenie ich szybkiego wykonania. Otóż Niemcy powinny być gotowe równocześnie z Francją. W razie gdyby Fran-

cja zechciała wypróbować na nas swe uzbrojenia nowe, trzeba, ażeby natknęła się na takie same uzbrojenia u nas. Rozumiesz pan to?

— Doskonale.

— Słowem, podchwycił baron Schwartz, wciąż głaszcząc piękną brodę, czy gotów jesteś pan sprzedać nam za podwójną cenę wszystko, coś pan oddał ministrom wojny i marynarki?

— To zależy od ceny, odparł Robert.

Niemiec okazał ździwienie.

— Czyż ta cena nie jest umówioną? zawołał.

— To jest pan uczyniłeś mi propozycję, której ani nie odrzuciłem, ani nie przyjąłem. Jeżeli mnie pamięć nie myli, mówiłeś pan o trzech milionach.

— Tak. A więc?

— A więc to warte jest więcej i zaraz panu dowiodę. Kiedy miałem przyjemność rozmawiania z panem przed niespełna miesiącem, doświadczenia nie były jeszcze uskutecznione urzędownie z powodzeniem piorunującem, należy to panu wiedzieć, i nie byłem jeszcze nagrodzony za wyjątkowe zasługi. Słowem, jestem teraz całkiem innym człowiekiem Ja urosłem, i trzeba mnie odpowiednio zatem traktować.

— Zapominasz pan, że posiadamy pańskie tajemnice. Gdybyśmy zaczęli mówić, co byłoby dziś z panem?

— Dziwnie te słowa brzmią w przyjacielskiej naszej pogawędce, rzekł Robert pogardliwie. Ja się niczego od panów nie boję, ale panowie możecie się obawiać odemnie wszystkiego, lub się spodziewać.

— Wreszcie, jakież są pańskie wymagania?

— O! bardzo skromne, wobec naszego wzajemnego położenia, jeden milion więcej.

Baron Schwartz pozostawiwszy w spokoju brodę, podniósł obie ręce ku sufitowi, jakby go chciał wziąć na świadka zadawanego mu gwałtu moralnego.

— Jak pan chcesz. Robert ciągnął dalej. Tylko bez targu. Pan nie potrzebujesz nawet radzić się swego rządu. Z góry jesteś pan pewien jego przyzwolenia. Dano panu najzupełniejsze pełnomocnictwo.

— Jeżeli się zgodzimy, kiedy pan będziesz mógł nas zaspokoić?

— Za tydzień.

— A więc dobrze. Otrzymasz pan cztery miliony.

— W jaki sposób nastąpi wypłata?

— Za pańskie plany dany panu będzie czek na dwa miliony do banku berlińskiego a drugi tejże wartości do banku w Frankfurcie...

— Odrzucam stanowczo. Nie chcę mieć wcale do czynienia z waszymi bankami niemieckimi. Byłoby to dla mnie strasznie kompromitującem.

— Zatem jak się do tego wziąć?

— Niech kredyt na umówioną sumę będzie mi otwarty w domu bankowym w Paryżu, u Rotszylda, gdzie mam już złożone kapitały.

— I owszem, a zatem czekać pana będę za tydzień i skończymy. Ale, dodał baron Schwartz bardzo uprzejmie i z miłym uśmiechem, czy przyznasz pan przynajmniej, że byłem dla pana bardzo dogodnym pośrednikiem, dbającym o pańskie dobro?

— O! rzekł Robert, również się uśmiechając, porę-

kawiczne tak samo jest w modzie w Niemczech, jak we Francji!

— Cóż robić, nie jestem bogaty, a w Paryżu, gdy kto lubi dobrze żyć, życie dużo kosztuje.

— Ja też, kochany panie baronie, będę pana prosił o łaskawe przyjęcie stu tysięcy franków.

— Jesteś pan prawdziwym dżentelmanem, zawołał Niemiec, ściskając serdecznie rękę nędznika.

Obaj ukłonili się sobie i bratobójca opuścił pałacyk przy ulicy Verneuil.

* *
*

Filip niezwłocznie po odjeździe ojczyma z willi Neuilly, zabrał się żarliwie do pracy. Zaglądał kolejno do tomów, leżących na biurku, pokrywał cyframi arkusze papieru, rysował kule, liczył i przerabiał rachunki i irytował się, że nie udaje mu się rozwiązać zadania, jakie sobie postawił. Naraz zatrzymał się, zaczął się namyślać i po chwili wyrzekł głośno:

— A! to na dole znajdę, czego mi potrzeba.

Natychmiast udał się do mieszkania ojczyma i przystąpił do biblioteki, zawierającej dzieła, dotyczące broni i pocisków wojennych. Pośród tych dzieł wybrał jedno i zabrał je z sobą, a zabrawszy się znów do pracy, przerzucał kartki w grubym tomie, od czasu do czasu czyniąc notatki ołówkiem i zapisując cyfry.

Gdy przerzucił jednę kartkę, zwrócił uwagę na szeroką kopertę, której pieczęć z czerwonego laku wydawała się plamą krwawą. Filip przyjrzał się pieczęci i nie mógł powściągnąć zdziwienia.

— Herby Niemiec! rzekł. Cóż to jest?

Odwrócił kopertę i przeczytał napis. List był adresowany do ambasadora niemieckiego w Paryżu.

— Jakim sposobem list do ambasadora niemieckiego może się znajdować w książce tutaj, w bibljotece pana Verniere? zapytał sam siebie.

Wyjął z koperty, której jedna część była rozciętą, ćwiartkę papieru i rozwinął.

— Ależ to list cyfrowany! posłannictwo dyplomatyczne. W jaki sposób on mógł z rąk adresata dostać się do rąk mego ojczyma? To dziwne.

Oczy jego spoczęły znowu na ćwiartce papieru.

Na czele napisane były te wyrazy w języku niemieckim: Pan ambasador. Potem wydrukowany był nagłówek. Sztab Jeneralny. U spodu zaś te dwie litery: „P. L.“ Potem niżej: 515 + 7 = 670 + 23 — i t. d.

— To dla mnie jest niezrozumiałe! wyszeptał Filip pod wpływem niezmiernego niepokoju. Co to znaczy. Bezwątpienia cyfry te zawierają jakąś tajemnicę, ciągnął dalej młodzieniec rozgorączkowany, niespokojny. Jakiej jednak natury?

I Filip starał się zrozumieć, odgadnąć klucz do uczynienia zrozumiałem tego dlań tajemniczego dokumentu. Powracał wciąż do dwóch liter P. L. stojących po nad cyframi.

— Te dwie litery stanowią niezawodnie klucz, myślał, i czynił wysiłki nadludzkie, ażeby odnaleźć niewiadomą z tego zagadnienia. Zmęczony wreszcie, z tętniącemi skroniami, rzekł do siebie. Ja tego nie porzucę. Muszę się dowiedzieć. List ten nie opuści mnie. Zatrzymam go przy sobie.

Spojrzał jeszcze na pieczątkę pocztową. Nosiła ona rok 1893 z początku grudnia.

— Data wcześniejsza od naszego przybycia do Paryża, wyszeptał Filip. Nowe zawikłanie.

Poszedł do gabinetu Roberta, położył tom w bibljotece na poprzedniem miejscu, potem wyszedł z domu i pojechał do Paryża. Tu wstąpił do jednej z główniejszych księgarni i kupił obszerne dziełko o kryptografji czyli o umiejętności odcyfrowywania tajemnych pism. Zjadł śniadanie w restauracji na bulwarze, następnie wrócił do Neuilly, zamknął kupioną książkę do szafki i udał się do Saint-Ouen, powtarzając do siebie:

— Tak, muszę wiedzieć, co w sobie zawiera ten list cyfrowany, i będę wiedział.

*
* *

O'Brien nie zasypiał sprawy. Nie zaniechał wcale projektu porwania małej Marty i czynił ku temu odpowiednie przygotowania. Amerykanin był człowiekiem pomysłowym.

Wpadł na taką myśl: Uśpić dziewczynkę i przez silną suggestję zmusić ją do pójścia za nim. Było to możebnem, a nawet łatwem, gdyż Marta, jak miał tego dowód, była wrażliwa na hypnotyzm do najwyższego stopnia. Lecz jak ją uśpić, skoro niewidoma znajdowała się przy niej ciągle?

Przekonany będąc, że sposobność nastręczy się lada chwila, nie tracił cierpliwości i śledził nieustannie Weronikę Sollier i dziewczynkę podczas ich wędrówek, będąc rozmaicie przebrany, zmieniając twarz i ubiór do niepoznania. Często zatrzymywał się przy malutkiej ka-

taryniarce, i o jej babce rozmawiał z nią, wypytywał i nigdy nie omieszkał włożyć jaki pieniądz srebrny do ręki Marty.

Tymczasem zbliżył się dzień 9 czerwca, w którym miano w willi Savanne obchodzić uroczyście imieniny sędziego, a zarazem uczcić nominację Roberta Verniere na kawalera Legii honorowej.

Od tygodnia panował nieznośny upał. To nie przeszkadzało wcale Weronice i Marcie do ich zwykłych wycieczek! W sobotę miały powędrować do Champigny, a ztamtąd powrócić do parku Saint-Maur.

XVII

W sobotę zrana panował gorączkowy ruch w willi Savanne. Urzędnik sprowadził dodatkową usługę z Paryża. Spiżarnia i piwnica zostały suto zaopatrzone. Na śniadanie, jak i na obiad, zaproszoną została spora ilość gości.

Robert, którego pan Savanne prosił, ażeby ze swej strony porozsyłał zaproszenia, wskazał, kto ma przybyć. Pośród zaproszonych tych, znajdował się Klaudjusz Grivot, w charakterze starszego majstra fabryki, Prieur kasjer, stary Szymon, przedstawiciel rrbotników i kilku majstrów których powierzchowność i obejście nie mogły być rażące wśród gości sędziego. Wymienić jeszcze należy mera z Saint-Ouen z żoną, kilku oficerów ze sztabu ministerjum wojny i kilku poważniejszych klientów. Wśród gości rachowano też i na doktora Sermet i ordynatora naczelnego szpitala, przy którym pracował Henryk.

Śniadanie zapowiedziane zostało na 12. godzinę.

Od godziny jedenastej Daniel, Matylda i pani Verniere zaczęły przyjmować przybywających. Bukietów i życzeń była prawdziwa obfitość. Sędzia śledczy promieniał. Robert i Filip, przybyli nieco później. Punkt o dwunastej całe zebranie było w zupełnym komplecie i udano się do sali jadalnej.

Około godziny drugiej miano pić kawę i likiery na tarasie, gdzie stoliczki ustawiono w cieniu.

Wydaje nam się zbytecznem dodać, że przy deserze gorące toasty były wznoszone na cześć Daniela Savanne i Roberta Verniere, znakomitego przemysłowca, pierwszorzędnego wynalazcy, który dał Francji nowe siły i otrzymał jako dobrze zasłużoną nagrodę Krzyż Legii honorowej.

Pani Verniere była u szczytu radości. Mąż jej stawał się wreszcie takim człowiekiem, o jakim marzyła.

*

* *

Weronika i Marta wśród spiekoty odbyły zwykłą wędrówkę i około godziny pierwszej zatrzymały się w restauracyjce przy moście Champigny, ażeby się posilić przed udaniem się do parku Saint-Maur, który był dla nich zyskowniejszym od innych.

O'Brien, który siedział w tej restauracji, widział, jak przybyły znużone. Wiedząc, że przechodzić będą tędy, czekał na nie, gotów je śledzić, skoro tylko opuszczą zakład, gdzie się zatrzymały.

Godzina druga wybiła, gdy udały się w dalszą drogę. Niewidoma jakby się pokrzepiła posiłkiem, lecz Marta, przeciwnie, wydawała się zupełnie wyczerpaną. Ner-

wowo tylko dopomagała pani Sollier do pchania katarynki. Przeszły przez most, kierując się do stacji Champigny, ale gdy przybyli na drogę, prowadzącą nad brzegiem rzeki, Weronika zatrzymała się. Nagle zabrakło jej sił.

— Coraz goręcej, rzekła. W willach parku Saint-Maur każdy zapewne siedzi teraz w domu. Kto zechce sobie przeszkadzać, gdy zagramy nasze piosenki. Moglibyśmy jeszcze trochę odpocząć, czekając, aż słońce zejdzie niżej Upał mi dziś dokucza.

— I mnie także, babciu, odpowiedziała dziewczynka. Czuję się bardzo znużoną. Chodźmy nad brzeg Marny, tam, gdzie taka piękna trawa i cień od wielkich drzew na wybrzeżu. Będziemy w cieniu i zaczekamy, aż upał trochę przejdzie.

— Dobrze, poprowadź mnie. Przyjemnie będzie usiąść na trawie pod dużemi drzewami.

O'Brien, który podążył za niemi, nie tracił z oczu żadnego z ich poruszeń, i zobaczył wkrótce, jak niewidoma i dziecko zatrzymały się obok sztachet, i usiadły, a raczej położyły się na trawie. Babka i wnuczka znajdowały się właśnie naprzeciw sztachet posiadłości Daniela Savanne.

O'Brien posunął się ukradkiem do drzew, stojących nad brzegiem rzeki. Tu usiadł i przyglądał się uważnie. Po niejakim czasie zobaczył, że ociemniała wyciągnęła się na trawie obok wnuczki. Zaczekał jeszcze dziesięć minut, wstał i zwolna przeszedł tuż obok nich.

Dziecko spało już snem głębokim, lecz pani Sollier czuwała jeszcze, gdyż na odgłos bardzo nawet cichy

kroków przechodnia, podniosła się nawpół.

Amerykanin poszedł dalej. Ociemniała, nie słysząc już nic, wyciągnęła ręce ku Marcie, przy niej leżącej, dotknęła jej ubrania i przekonawszy się, że jest, znowu się wyciągnęła, znużona snem.

Magnetyzer, w ukryciu po za drzewami, przystanął i szpiegował znowu.

— I ona także zasnęła! Teraz czas!

I podążył w jej stronę. Nagle zatrzymał się z gniewem. Niewidoma podniosła się raptownie, i zbliżywszy się jeszcze bardziej do znanych nam sztachet, nadstawiła uszu, chcąc przysłuchać się odzywającym głosom, po drugiej stronie.

— Co się jej stało? Dlaczego tak słucha? pytał sam siebie amerykanin.

Oto co się działo. Śniadanie u Daniela Savanne skończyło się i po kawie kilku gości rozeszło się po parku, ażeby używać chłodnego powietrza pod wielkiemi drzewami.

Robert przechadzał się po parku z Klaudjuszem Grivot. Obadwaj zeszli w aleję ciągnącą się wzdłuż sztachet od strony Marny, rozmawiali półgłosem, chociaż przypuszczali, że są zupełnie sami. Właśnie mówił Klaudjusz:

— Boję się tego O'Briena. Niezręczność jaka z jego strony mogłaby nas zgubić niechybnie.

O'Brien! To nazwisko usłyszawszy po za sztachetami, osłoniętemi płótnem, pani Sollier wstała prędko i zbliżyła się do miejsca, zkąd się odzywały głosy.

O'Brien! Tak się nazywał człowiek, który uśpił małą Martę.

Rozmowa ciągnęła się dalej między dwoma wspólnikami. Robert odpowiedział:

— Bądź spokojny. O'Brien nie popełni żadnej nieostrożności. Przedsięweźmie wszelkie środki ostrożności, a gdy będzie miał medium w swem ręku, opuści Francję i nigdy nie powróci.

Głosy były umyślnie pogłuszone i niewidoma ich nie mogła poznać.

— O czem oni mówią? zapytywała sama siebie. O jakich ostrożnościach? Co to są za ludzie?

Robert i Klaudjusz, chodząc rozmawiali, zawrócili znowu. Na chwilę zatrzymali się przy sztachetach, które ich oddzielały od niewidomej.

— I pomimo to wszystko musisz mu dać dwieście tysięcy franków? rzekł Klaudjusz.

— Odmówić byłoby nieroztropnie.

— Ja tylko powiadam, że to drogo.

— Przyrzekłem mu taką sumę.

— Tak, ale niechby przypadkiem...

— Drwię sobie z przypadku! kto mógłby podejrzewać, że nieodnalezieni sprawcy zbrodni w Saint-Ouen, są dzisiaj gośćmi sędziego śledczego, któremu właśnie poruczono ich aresztować?

Rozmawiając w dalszym ciągu, oddalili się zwolna.

Weronika, blada i chwiejąca się, wysłuchała wszystko. Chciała krzyczeć, wołać, lecz głos jej jakby sparaliżowany został w gardle. I zresztą ktoby przybył na jej wołanie? Może ci mordercy. Pot przerażenia zmro-

ził jej skronie. Pewna była, że zrozumiała dobrze. O jej uszy obiły się te wyrazy: „Kto mógłby podejrzewać, że nieodnalezieni sprawcy zbrodni w Saint-Ouen, są dzisiaj gośćmi sędziego śledczego, któremu poruczono ich aresztować?“ Nie poznawała jednak tych głosów. Cóż to byli za ludzie, którzy tak mówili?

— A ja jestem ślepa! rzekła do siebie biedna kobieta z goryczą. Byłabym mogła widzieć ich przez jaki otwór w płótnie, mogłabym ich była poznać, bo z nich jednego znam, a traf, sprowadza go do mnie! A ja nie mogę uczynić nic. Trzeba mi wzroku, muszę go odzyskać, choćbym miała to niezwłocznie przypłacić życiem.

Weronika, nie podnosząc głosu, zawołała:

— Marto! Marto!

Dziecko, obudziwszy się natychmiast, zapytało:

— Co, babciu?

— Spojrzyj przez szpary w tych sztachetach. Patrz po tamtej stronie jest dwóch ludzi.

W jednem miejscu płótno nie dostawało do sztachet i dziecko zajrzało tędy do parku willi Savanne.

— Widzę tylko drzewa, niema nikogo

— Przyjrzyj się lepiej. Tam jest ktoś...

— Babciu, ja wdrapię się. Podtrzymaj mnie.

Marta podtrzymywana przez Weronikę, przesunęła głowę po nad płótno.

— I cóż? zapytała niewidoma.

— Widzę, babciu, dwóch ludzi.

— Widzisz ich twarze?

— Nie, są daleko. Znikają. Już ich nie widzę.

— A gdybyś ich spotkała, poznałabyś ich?

— O! nie, babciu to byłoby niemożebne.

Marta zeszła ze sztachet.

— Gdzież my jesteśmy tutaj? zapytała Weronika.

— Na wybrzeżu Marny, w parku Saint-Maur.

— Naprzeciw czyjej posiadłości?

— Poznaję chorągiewkę, to posiadłość pana Savanne.

— Posiadłość pana Savanne, powtórzyła ociemniała. Powinnam była to odgadnąć, ponieważ jeden z tych dwóch nędzników rzekł: „Jesteśmy gośćmi u sędziego śledczego". Chodź Marto, poprowadź mnie, muszę zobaczyć się z panem Henrykiem Savanne. On musi mi wzrok przywrócić.

Marta wraz z Weroniką skierowała się w stronę alei Północnej.

O'Brien, ukryty w gęstwinie krzaków daremnie odgadnąć się starał znaczenia tej pantominy. Gdy babka z wnuczką przeszły przed nim, on dopiero po chwili opuścił kryjówkę i podążył za niemi zdaleka. Widział potem, jak zatrzymały się przed bramą willi Savanne.

Marta miała już zadzwonić, gdy Henryk, wychodząc z willi, ukazał się na ganku. Dziecko spostrzegło go.

— Panie Henryku! zawołała, niech pan tu przyjdzie babcia chce z panem pomówić...

Młodzieniec czemprędzej otworzył furtkę, po za którą stała ociemniała i Marta.

— Cóż się to dzieje, pani Sollier? zapytał Henryk Weronikę.

— Chcę, ażebyś mi pan przywrócił wzrok, panie Savanne, odpowiedziała, chwytając oburącz rękę młodzieńca. Ja muszę widzieć. I ciszej, przyciągając go

do siebie, ażeby mogła mu powiedzieć do ucha, dodała: Mordercy pana Ryszarda Verniere są tutaj, w tym domu, u pańskiego stryja.

Henryk spojrzał na Weronikę niespokojnie. Widocznie stało się coś dziwnego, niezwykłego. Trzeba się było dowiedzieć. Ująwszy Weronikę za rękę, wprowadził ją i Martę do gabinetu stryja.

Daniel Savanne, opuściwszy na chwilę gości, znajdował się w swoim gabinecie. Otrzymał właśnie od naczelnika policji telegram w tych słowach: „Dawne książki rachunkowe Dutaca odnalezione u jego następcy. Czekam na instrukcje.“ Daniel udawszy się do swego gabinetu, zredagował odpowiedź możliwie lakoniczną: „Niech działa inspektor Berthout.“

Na widok drzwi otwierających się i wchodzącego Henryka wraz z panią Sollier i małą Martą, urzędnik wydał okrzyk zdziwienia i zapytał:

— Mój drogi Henryku, co się stało?

Weronika poznawszy głos Daniela odpowiedziała:

— Stało się to, że u pana znajdują się mordercy, złodzieje i podpalacze fabryki Saint-Ouen.

Sędzia oszołomiony cofnął się o krok i spojrzał na bratanka. Tak samo jak Henryk przed chwilą, pomyślał, że ociemniała dotknięta została obłędem.

Henryk zrozumiał nieme badanie wzroku Daniela.

— Nie mój stryju, zawołał, pani Sollier jest przy zdrowych zmysłach. Ona słyszała słowa, które usprawiedliwiają jej twierdzenie.

Pan Savanne wstrząśnięty zgrozą, pochwycił drżące ręce Weroniki i zapytał:

— Coś pani słyszała?

— Te wyrazy: odparła niewidoma. „Niczego się nie możemy obawiać. Sprawa narobiła wiele hałasu, ale idzie w zapomnienie, sąd zaniechał poszukiwań klucza zagadki jesteśmy teraz panami położenia“.

— Nic nie dowodzi jeszcze, ażeby te wyrazy dotyczyły Ryszarda Verniere, przerwał urzędnik.

— Poczekaj pan! podchwyciła pani Sollier, ten człowiek, co to mówił, dodał jeszcze: „Kto mógłby podejrzewać, że sprawcy nieodnalezieni zbrodni w Saint-Ouen są dzisiaj gośćmi u sędziego śledczego, który powinien ich aresztować!“ Oto, co słyszałam, panie, po za parkanem parku od strony Marny. Nie jestem szalona! Tam dwóch ludzi rozmawiało, którzy tryumfowali ze swej bezkarności. Ci nędznicy są tu, u pana. Ja muszę ich zobaczyć, ażebym ich wydała panu, i dlatego potrzeba mi wzroku! Przywróć mi go, panie Henryku! Ja zgadzam się na operację, której się bałam, nawet błagam o nią! Niech tylko widzę na jedną minutę, a ta minuta będzie mi wystarczającą, ażeby poznać tego, z którym walczyłam i który w mem ręku zostawił dowód swej obecności. Na imię niebios, w imię sprawiedliwości, przez pamięć na Ryszarda Verniere, który nie został jeszcze pomszczony, przywróć mi pan wzrok!

Daniel Savanne, pod wpływem strasznego wzruszenia, zawołał, zwracając się do bratanka:

— Henryku, przywróć jej wzrok, niech będzie w stanie zobaczyć morderców, którzy dostali się do mego domu.

— To czego żądasz, mój stryju, jest niemożebnem,

odpowiedział młodzieniec z przygnębieniem.

— O! panie, przywróć wzrok babci! błagała z kolei Marta.

— Wzrok, wzrok, szeptała ociemniała.

— Niestety! to niemożebne! powtórzył Henryk.

— Niemożebne! wykrzyknęła Weronika zrozpaczona. Ha! uczyń pan to niemożebne! Przywróć mi wzrok! Nie trzeba pozwolić, ażeby uciekli mordercy pana Verniere, którzy chcieli mnie zabić, którzy spalili fabrykę i zrujnowali Martę, pańską siostrę...

Daniel i Henryk, usłyszawszy te ostatnie słowa, spojrzeli na siebie z osłupieniem.

— Babciu! Co ty mówisz? zawołała Marta.

— Ja mówię prawdę, moje dziecko! musisz i ty o tem wiedzieć, niech i on o tem wie! To może doda odwagi do zdarcia z mych oczu zmroku!

— Weroniko! rzekł pan Savanne, drżąc ze wzruszenia, pojmujesz dobrze, że tym razem powinnaś wszystko wytłomaczyć jasno. To, co ci się teraz wymknęło z ust, jest tajemnicą, której nie chciałaś mi powierzyć w mym gabinecie sądowym? Marta jest córką mego brata, Gabrjela Savanne, nieprawdaż?

— Tak, panie, wyszeptała Weronika.

— Siostro moja! zawołał Henryk, biorąc w swe objęcia małą Martę i całując ją namiętnie.

Dziecko zalało się łzami i całując również Henryka wyjąkało:

— Bracie mój! bracie!

— Pani Sollier, podchwycił urzędnik, ja muszę wiedzieć wszystko. Marta jest córką mego brata i nazywa

cię babką, zatem jej matka?..

— Matka jej była Germana Sollier, moja córka, dokończyła ociemniała. Brat pański zobaczył Germanę i pokochał ją. Wykradł. Już jej żywej nie oglądałam. Ze związku ich urodziła się córka, Marta. Zdjęty wyrzutami sumienia, usiłował to naprawić, zapewniając przynajmniej przyszłość dziecku, 30. grudnia 1893 roku złożył na imię Marty sumę trzysta tysięcy franków w ręce pana Verniere, który dał mi pokwitowanie, ale pana Ryszarda Verniere zamordowano, a jednocześnie skradziono mu cały majątek, a zatem skradziono i majątek Marty. Przysięgłam, iż nigdy nie dam panu poznać błędu pańskiego brata, panie Danielu, winy pańskiego ojca, panie Henryku i liczyłam na to, że przysięgi dotrzymam. Okoliczności doprowadziły mnie do złamania przysięgi. Przebacz mi pan i przywróć mi wzrok, ażebym mogła pomścić wszystkich.

Daniel przygnębiony upadł na krzesło. Mała Marta pobiegła ku niemu.

— O! panie, przebacz memu ojcu! rzekła. Mamusia przebaczyła mu także przed śmiercią...

Daniel przyciągnął ją do siebie.

— Przebaczam mu, moje dziecko, odparł, nachylając się ku niej, dla pocałowania twarzyczki, skąpanej łzami, i ciebie też kochać będziemy... Potem rzekł do niewidomej. Pani Sollier, postaraj się uspokoić, jak ja i odpowiedz mi. Jeżeli mordercy Ryszarda Verniere i twoi są rzeczywiście tutaj, nie lękaj się, ażeby się wymknęli. Przepędzą tu część wieczora. Jeżeli więc operacja, której pani żądasz, jest wykonalną, będziesz mo-

gła ich zobaczyć i wskazać. Profesor Henryka, przełożony kliniki, jest u mnie, a Henryk poprosi go tutaj, i on się zajmie. Ale ani słowa o przytoczonych pobudkach, dla których zapragnęłaś pani niezwłocznej operacji. Niech to wszystko pozostanie między nami. To jest konieczne.

— Będę milczała. Słyszałam, że ci dwaj nędznicy mają wspólnika...

— Wspólnika, a pani go znasz?

— Jest to człowiek, u którego się radziłam, magnetyzer O'Brien. Wymienili jego nazwisko.

Czyjeś kroki dały się słyszeć na zewnątrz.

— Teraz milczenie, rozkazał urzędnik.

Drzwi od gabinetu otworzyły się. Henryk wrócił, przyprowadzając przełożonego kliniki. Ten wykrzyknął ze ździwienia, zobaczywszy ociemniałą.

— Czyżbyś się pani namyśliła wreszcie, rzekł, i zgadzasz się na uleczenie?

— Tak, panie, odpowiedziała Weronika.

— Wybacz, mój przyjacielu, rzekł Daniel, żem cię wezwał do siebie. Ale czy nie mógłbyś dziś jeszcze dokonać operacji na pani Sollier i przywrócić jej wzrok choćby na kilka chwil?

— Nie, to niemożebne. Trzeba ją poddać przygotowaniom leczenia, a które potrwa około dwóch tygodni, a wtedy będę działał w imię Boże!

— Więc pan twierdzi, że za dwa tygodnie będę mogła widzieć? zapytała Weronika. A czy pan Savanne może mi powiedzieć, iż to co chciałam dziś uczynić, będzie możebne i za dwa tygodnie?

— Postaram się, odpowiedział Daniel.

— Henryku, rzekł przełożony kliniki, jutro zrana przyjdź do mnie, dla bliższego porozumienia.

Młodzieniec odprowadził chirurga do salonu.

— Pani Sollier, odezwał się Daniel, pozostaniesz tu z Martą. Damy ci mieszkanie w pałacyku nad brzegiem wody, tam będziesz pielęgnowaną.

W kilka godzin później, gdy goście zasiadali do obiadu w obszernym pokoju jadalnym w willi, Henryk wprowadził Weronikę i Martę do pałacyku nad rzeką, gdzie już poczyniono odpowiednie przygotowania dla ich mieszkania.

O'Brien nie opuścił wcale alei, na którą wychodziła główna brama willi Savanne. Widział jak niewidoma wraz z wnuczką wprowadzone zostały przez Henryka do domu jego stryja. Ponieważ, choć noc zapadła, nie widział, ażeby ztamtąd wyszły, powiedział sobie, że pani Sollier niezawodnie zgodziła się na operację i to przeświadczenie skłoniło go do wykonania pierwotnego planu.

* *
*

Pomimo ogólnej radości, Daniel Savanne nie zdołał się otrząsnąć z zadumy, w jaką go wprawiły odkrycia Weroniki.

Wybiła godzina jedenasta. Goście zaczęli się żegnać.

— Kochany panie Savanne, odezwał się Robert Verniere, zanim goście pańscy się rozejdą, niech mi będzie wolno zaprosić ich do siebie. Panie i panowie, dodał, zwracając się do obecnych, wynurzam do wszystkich, bez wyjątku, prośbę, ażebyście raczyli przepędzić u mnie, w Neuilly, dzień, który postaram się uczynić

również przyjemnym jak dzisiejszy. Czy mogę na państwa liczyć?

Wszyscy odezwali się jednozgodnie:

— I owszem! przyjmujemy!

Daniel drgnął! To, co Robert zaproponował, właśnie o to samo on chciał prosić. A więc wszyscy ci obecni znów zebrani będą, kiedy Weronika odzyska wzrok i będzie mogła wskazać człowieka z którym walczyła na podwórzu fabryki w Saint-Ouen, i to może nastąpi u niego! Straszliwy skandal nie w domu sędziego wybuchnie.

— Z wielką przyjemnością, drogi panie Robercie, przyjmujemy, rzekł, zmuszając usta do uśmiechu. Potem dodał: Kiedy pan zamierza urządzić to przyjęcie?

— Za dwa tygodnie, 23. czerwca, proszę do siebie wszystkich, do Neuilly. Program będzie taki sam, jak dzisiaj.

W krótce wszyscy opuścili willę Savanne.

Nazajutrz bardzo wcześnie, gdy jeszcze nikt nie wstał w willi, sędzia wraz bratankiem udali się do domku nad rzeką gdzie zamieszkały Weronika i Marta.

Dziecko spało na dole, Weronika na pierwszem piętrze. Marta siedziała już przy babce. Spała bardzo dobrze, lecz Weronika, pod wrażeniem strasznych myśli, nie zamknęła oczu przez całą noc i czuła się zgorączkowaną.

Wkrótce Henryk odszedł, udając się do kliniki a Daniel, pozostawszy z Weroniką długo ją wypytywał.

Opowiedziała mu wszystko, nic nie zapomniawszy, o swej wizycie u magnetyzera O'Briena i o szczegółach tej bytności, poczem powtórzyła słowo w słowo

co usłyszała w przeddzień po za sztachetami.

Urzędnik zapisał to zeznanie, lecz umówiono się, że przyczyna, dla której Weronika zmieniła postanowienie swoje, pozostanie w tajemnicy dla wszystkich.

XVIII.

Bratobójca, jak wiemy, spędził noc w willi Savanów. Jakież było jego źdźiwienie, gdy nazajutrz zrana wyszedłszy z żoną do parku, ujrzał Daniela, idącego z małą Martą, którą trzymał za rękę.

— A! pojmuję źdźiwienie pańskie, wyrzekł sędzia ze śmiechem, nie spodziewaliście się spotkać mnie tego rana w towarzystwie małej pieszczotki.

— Ale jakim trafem? zapytała Aurelia.

— Bardzo prostym, odpowiedział Daniel. Weronika, na skutek rad rozsądnych, namyśliła się... Teraz mieszka ona z wnuczką w pałacyku i tam przygotowywać się będzie do operacji.

— A! tem lepiej! zawołała pani Verniere, dałby Bóg, ażeby biedna kobieta wskazać mogła mordercę, brata mego męża.

Robert nagle odzyskał panowanie nad sobą.

— Rzeczywiście, wyrzekł głosem, wcale nie drżącym, szczęście wielkie, iż się namyśliła.

— Ja teraz, podchwycił sędzia, idę z tem dzieckiem do willi, ażeby je polecić Alinie i Matyldzie.

— To i ja pójdę z panem sędzią, rzekła Aurelja. Czy Matylda i Alina nie wiedzą, że Weronika znajduje się w pałacyku?

— Nie wiedzą jeszcze. Wczoraj wieczorem nie chcia-

łem nikomu przeszkadzać i w tajemnicy zatrzymałem przybycie niewidomej.

Daniel, Aurelia i Marta skierowali się w stronę willi. Robert pozostał sam. Przestrach, jaki do tej chwili powściągał, ogarnął go gwałtownie.

— Ona jest tutaj! wyszeptał głucho. Zgadza się na operację! Jestem na brzegu przepaści. Jeżeli Weronika odzyska wzrok, ja będę na szubienicy!

* *
*

Przepędziwszy pół godziny w willi, Marta powróciła do pałacyku.

Oczekiwano powrotu Henryka z niecierpliwością, gdyż wszystkim pilno było odwiedzić panią Sollier, a na to jego pozwolenie było potrzebne.

O godzinie drugiej Filip i Henryk przybyli do willi. Henryk przedewszystkiem udał się do niewidomej, ażeby rozpocząć kurację przygotowawczą, według narady, odbytej z przełożonym kliniki.

Chciano mu towarzyszyć. Odmówił energicznie.

— Chora trochę gorączkowała w chwili mego odjazdu, odrzekł. Chcę jej dać lekarstwo i rozpocząć leczenie oczu. Obecność państwa byłaby dla mnie krępującą i zmęczyłaby Weronikę.

I my też nie pójdziemy za nim na tę wizytę i nie będziemy obecni przy pierwszych początkach leczenia.

Henryk nauczył Martę, swą siostrzyczkę, jak ma pielęgnować chorą podczas jego nieobecności.

— O, możesz na mnie liczyć, panie Henryku, jak gdybym była dużą osobą, ja nie zapomnę o niczem.

Młodzieniec ujął ją w swe objęcia.

— Moja droga, rzekł, całując ją, kiedy jesteśmy tylko we dwoje, nazywaj mnie swym bratem.

— Kocham cię, braciszku, rzekła Marta. O! kocham cię z całego serca!..

Henryk opuścił pałacyk i powrócił do willi.

Pani Verniere oznajmiła Danielowi, że dla przygotowań do przyjęcia gości w Neuilly, musi z wielkim żalem opuścić willę Savanne, w końcu tygodnia, i prosiła go o pozwolenie na zabranie Matyldy, ażeby jej nie rozłączać z córką Ryszarda.

Pan Savanne zgodził się. Sędzia potrzebował spokoju do działania.

* *
*

Nazajutrz zrana o siódmej Robert zadzwonił do bramy mniemanego Nelsona, to jest doktora O'Briena.

Amerykanin, na widok wchodzącego Roberta, uśmiechnął się dziwnie.

— Słowo honoru, drogi przyjacielu, oczekiwałem ciebie od soboty wieczora. I wszystko o czem chcesz mi donieść, już sam wiem. Weronika zgodziła się teraz na operację i przyjętą została gościnnie pod dach pana Savanne.

— Zkąd pan wiesz o tem?

— O to mniejsza. A ponieważ pana tu widzę u siebie, więc trzeba nam powrócić do pierwotnego planu, nieprawdaż?

— Tak i trzeba skończyć.

— Ja skończę, jeżeli i pan pamiętać będziesz o warunkach pierwotnych.

— Nie zapomniałem i dotrzymam ich.

— Zatem milion po skończeniu?

— Tak, milion!

Przeszło godzinę rozmawiali z sobą, rozważając w najdrobniejszych szczegółach projekty O'Briena. Kiedy się rozstali, Weronika i Marta były skazane nieodwołalnie.

Jedna miała umrzeć, a druga zniknąć.

* *
*

Teraz Robert myślał przedewszystkiem o tem, ażeby trzymać miliony niemieckie, wydając modele uzbrojeń, które Francja, jak sądziła, ma tylko dla siebie, i za które tak wspaniale wynagrodziła wynalazcę.

Klaudjusz Grivot przygotował i dopasował wszystkie części kartaczownicy, które miały być w sposób potajemny przesłane na ulicę Verneuil do barona Wilhelma Schwartza, jak i model kul i bomb.

Filip, przynaglony przez ojczyma, wykończył wszelkie wyliczenia, objaśniające wynalazki.

W dwa dni później Robert w nocy, przy pomocy Klaudjusza, przewiózł modele w zamkniętej karetce na ulicę Verneuil.

Ohydna zdrada została dokonaną i Robert otrzymał od barona Schwartza umówioną sumę, za co dał mu sto tysięcy franków porękawicznego.

* *
*

Piętnastego czerwca nastąpiło otwarcie sezonu rybołostwa. Na Marnie ukazały się liczne łodzie rybackie.

Około godziny szóstej zrana od strony Champigny nadpłynęła łódka i zatrzymała się naprzeciw małej przystani, należącej do willi Savanne. Rybak siedzący w

łódce, zarzucił wędkę do rzeki. Połów zapowiadał się dobrze. Po chwili już wydobył ładnego szczupaka.

Pozostawmy go na rzece, a udajmy się do willi Savanne, w której stronę i on zwracał od czasu do czasu wzrok, przysłonięty binoklami zlekka kolorowemi.

W przeddzień jeszcze pani Verniere, Alina i Matylda odjechały do Neuilly. Daniel i Henryk pozostali sami w domu ze służbą.

W pałacyku Weronika była doglądana przez Martę, która ją opuszczała tylko po to, ażeby się przejść po parku, lub iść do willi po zapasy żywności.

Henryk Savanne codzień zrana, przed odjazdem ze stryjem do Paryża, opatrywał oczy chorej. W południe odwiedzał ją sam, a wieczorem robił opatrunki na noc. Dnia 15. czerwca przyszedł jak zwykle do pałacyku, poczem pojechał do Paryża, a po powrocie, opatrzywszy niewidomą, zaproponował, dla sprawienia dziecku przyjemności, ażeby z nim pozwoliła przejechać się łódką po rzece.

Marta nie dała sobie tego powtórzyć.

Poszli oboje do przystani, wsiedli do łódki i popłynęli ku Joinville.

Rybak pilnie się im przypatrywał, a gdy znikli mu z oczu, czemprędzej dotarł do brzegu, wyskoczył na ląd, otworzył niezamkniętą furtkę, poczem dostał się do pałacyku, klucz dorobiony włożył w zamek, i przekonawszy się, że pasuje doskonale, wyjął klucz i powrócił do łodzi. Po krótkiej chwili znów siedział przy wędce z miną wytrawnego rybaka.

W godzinę później Henryk powrócił z Martą, uszczę-

śliwioną z przejażdżki. Łódkę umieścili w dawnem miejscu i zamknęli za sobą furtkę.

Z niezwykłą cierpliwością rybak pozostał w łódce swej aż do zapadnięcia nocy, poczem uznał za stosowne oddalić się, zabierając z sobą obfity połów ryb. Dopłynął do przystani wynajmującego łódki, który zarazem utrzymywał w pobliżu restaurację, i tam kazał sobie przyrządzić posiłek.

O godzinie dziewiątej brzegi Marny stały się pustemi. W willi Savanne gasły światła w oknach. O dziesiątej wszyscy już udali się na spoczynek.

W pałacyku nad rzeką, Marta powiedziała dobranoc babce, która też zasypiała snem spokojnym. Dziecko zaszło na dół, gdzie spało, gotowe odezwać się na wołanie Weroniki, gdyby czego potrzebowała.

Tylko schody o kilku stopniach, oddzielały oba pokoje, od których drzwi pozostawały otwarte. Dziecko zgasiło świecę i położyło się do łóżka. Na kominku paliła się lampka, słabo oświetlająca pokój.

Marta zasnęła prawie natychmiast.

*
*   *

Godzina jedenasta wybiła na wszystkich wieżach w okolicy. Gwiazdy świeciły na niebie czystem, ciemno szafirowem.

Od strony mostu ukazał się jakiś człowiek, trzymając w ręku zapaloną latarkę. Szedł brzegiem rzeki i zatrzymał się przed sztachetami parku willi Savanne. Cofnąwszy się trochę, przyjrzał się okiennicom, zamykającym okna pałacyku od wybrzeża. Nie wymykało się przez nie żadne światełko. Powrócił do furtki i pochylił

się ku zamkowi, w który włożył klucz. Furtka się otworzyła. Przybysz, znalazłszy się w parku, zamknął furtkę. Przez kilka sekund, powstrzymując oddech, nadsłuchiwał. Nie dawał się słyszeć żaden szmer. Wtedy wolnym krokiem skierował się ku pałacykowi, gdzie spała Weronika z wnuczką. Ręka jego oparła się na klamce. Drzwi nie były zamknięte. Popchnął je i wślizgnął się do pokoju na parterze.

Przy słabem świetle lampki nocnej spostrzegł małą Martę, śpiącą snem głębokim. Zbliżył się do dziecka i przyłożył palec do czoła. Marta poruszyła się zlekka. On nacisnął palec nieco mocniej i głosem bardzo cichym, wyrzekł te słowa, nachylając się ku małej dziewczynce:

— Nie budź się.

Dziecko nie poruszyło się wcale.

— Czy śpisz ciągle? zapytał ów człowiek.

— Tak, wyjąkała Marta.

— Czy słyszysz mnie wyraźnie w śnie?

— Tak.

— I gotowa jesteś być mi posłuszną?

Marta nie odpowiedziała wcale. Człowiek ów przybrał głos bardziej rozkazujący.

— Trzeba mi być posłuszną, ja tego chcę.

Dziecko podniosło się na poduszce, z nawpół otwartemi powiekami.

— Będę posłuszną! wyrzekła głosem słabym.

— Ubieraj się.

Pod wpływem wszechwładnej woli magnetyzera, nieświadoma swych postępków, dziewczynka wstała i u-

brała się prędko, a może nawet prędzej niż zwykle, gdy się przebudzała.

— A teraz, podchwycił O'Brien, którego czytelnicy poznali, niech myśl moja stanie się twoją.

— To, co pan myśleć będziesz, i ja tak myśleć będę.

— Wyjdź z tego domu.

Marta wyszła a za nią amerykanin.

— Zamknij drzwi.

Marta to uczyniła.

— Weź, gdzie jest, klucz od furtki, wychodzącej na Marnę i otwórz mi.

I to dziewczynka wykonała.

— Pójdź, wyrzekł O'Brien, przymknij tylko furtkę.

Wyszli na wybrzeże. Tu magnetyzer rozkazał Marcie, ażeby się udała na most, znajdujący się nad rzeką. Dziecko uśpione zawahało się ale na ponowiony rozkaz magnetyzera poszło. Na moście amerykanin zatrzymał dziewczynkę.

— Patrz! wyrzekł, widzisz!

— Widzę.

— Pamiętaj.

— Będę pamiętała.

Na zegarze wśród głębokiej ciszy wybiła północ.

— Policz uderzenia godziny, rzekł magnetyzer.

Marta liczyła.

— Dwanaście, wyrzekła Marta. Północ.

— Jutro o tejże godzinie, musisz tu przyjść z babką.

Dziewczynka drgnęła od stóp do głowy.

— Z babką, powtórzyła głosem, ze strachu drżącym. Nie.

— Będziesz mi posłuszną, ja tak chcę!

— Ale po co?

— Ażeby ją wyleczyć. Ale niech ona nie wie dokąd ją poprowadzisz.

— A jeżeli nie zechce przyjść?

— Przekonasz ją i będzie musiała przyjść.

— Nie, wyrzekła Marta poraz drugi.

O'Brien dotknął jej czoła.

— Nie powinnaś mieć innej woli tylko moją, rzekł. Będziesz posłuszną?..

— Tak, wyjąkało dziecko, pokonane niepowściągnioną władzą suggestji.

— Przyjdź tu tą samą drogą, podchwycił magnetyzer. Zatrzymasz się w tem samem miejscu, gdzie teraz jesteśmy. Zamkniesz oczy i nie będziesz widziała, co się dziać będzie.

— Zamknę oczy i nie będę widziała.

— Nie będziesz też słyszała.

— Nie.

— Teraz powróć do pałacyku, śpij snem zwyczajnym, obudź się o zwykłej godzinie. Jutro wieczorem uśnij jak zazwyczaj i obudź się dopiero w oznaczonej chwili, ażeby mi być posłuszną.

Marta powróciła tą samą drogą, uśpiona, rozebrała się automatycznie i zasnęła snem głębokim.

*
* *

Nazajutrz zrana Marta obudziła się jak zwykle, nie przypominając sobie żadnego szczegółu ze snu hypnotycznego. Zajęła się gospodarstwem i otoczyła babkę troskliwością i pieszczotami!

O dziewiątej Henryk odwiedził chorą dla obandażowania. Zbadał uważnie oczy niewidomej.

— Moja dobra pani Sollier, rzekł, wszystko idzie dobrze. Dziś wieczorem nie przyjdę do pani, gdyż będę musiał zostać w Paryżu do późnej godziny, lecz Marta mnie zastąpi przy pani.

Henryk odszedł,

Dzień upłynął bez sprowadzenia żadnego wypadku, godnego zaznaczenia. Marta czuła się zdenerwowaną, sama nie wiedząc dlaczego niespokojna. Drżała na szmer najlżejszy, jakby się czegoś spodziewała.

Około dziewiątej wieczorem, pomógłszy babce położyć się do łóżka, dziecko ułożyło się do snu i zasnęło natychmiast, jak to rozkazał magnetyzer.

O godzinie jedenastej suggestja rozpoczęła swe dzieło.

Marta ze snu zwykłego wpadła w stan sonambulizmu, pełnego świadomości. Wstała, ubrała się, zapaliła świecę przy lampie i udała się do pani Sollier.

Weronika spała, szmer ją obudził.

— Prędko, prędko, musisz się ubrać, babciu, rzekła do niej. Pan Henryk kazał mnie zaprowadzić cię do niego. Dla wyleczenia.

— Ale, moja pieszczoszko, zdaje mi się, że zaledwie zasnęłam, odparła Weronika, któraż godzina?

— Przeszło dziewiąta. Śpieszmy się. Pan Henryk czeka na ciebie.

I bezwiednie, pod wpływem suggestji, pomagała niewidomej ubierać się. W kilka chwil była już gotową. Marta ujęła ją za rękę, i zagasiwszy świecę, wyprowadziła z domku.

— Dokąd mnie prowadzisz, moje dziecko? zapytała pani Sollier.

— Gdzie pan Henryk na nas czeka.

Pozbawiona oczu, z mgłą na źrenicach, biedna kobieta nie widziała otaczających ją ciemności. Czyż mogła zresztą przypuszczać, że dziecko kłamie? Dziewczynka wziętym kluczem otworzyła furtkę i pociągnęła niewidomą pod drzewami w stronę mostu.

Przed niemi, w pewnej odległości, posuwała się jakaś postać ludzka.

— Trzeba wejść na schody od parku, babciu, rzekła wnuczka, gdy doszły do kamiennych schodów, prowadzących na most, podaj mi rękę.

Weronika weszła i zatrzymała się na ostatnim stopniu, ażeby trochę odpocząć.

— Jużeśmy prawie przyszły, podchwyciła dziewczynka. I pociągnęła ją.

Weszły na most i po przejściu około pięćdziesięciu kroków, Marta zatrzymała się nagle. Północ biła jak w przeddzień. Dziecko usunęło rękę z dłoni niewidomej i posłuszne suggestji, zamknęło oczy, ażeby nic nie widzieć i nie słyszeć.

— Marto! wyszeptała pani Sollier.

Zaledwie wymówiła imię dziecka, gdy jakiś człowiek, przedtem zaczajony, skoczył ku niewidomej, porwał ją z tyłu, uniósł z siłą herkulesową i przerzucił przez poręcz mostu do rzeki.

Weronika nie zdążyła się nawet opierać. Krzyknęła przeraźliwie, a głuchy odgłos spadającego ciała do Marny obił się o uszy O'Briena.

Marta, pod wpływem suggestji, nie widziała nic, ani nie słyszała. Magnetyzer, wziąwszy dziecko na plecy, uśpione snem hypnotycznym, poniósł je ku swemu mieszkaniu.

XIX.

W chwili, gdy biedna Marta prowadziła nieświadomie babkę swą na śmierć, zajaśniało światło w jednem z okien willi Savanne. Henryk, po powrocie z Paryża, wszedł do swego pokoju.

W niespełna dziesięć minut O'Brien, dźwigając lekki ciężar, przybył do swego mieszkania. Otworzył drzwi od ogrodu, potem od pawilonu, złożył dziecko na łóżku, przygotowanem jeszcze w przeddzień w pokoju w suterynie, zapalił świecę i przystąpił do łóżka. Na widok dziewczynki nieruchomej podobnej raczej do martwej niż żyjącej, uczuł przez chwilę przestrach.

Czyżby suggestja zabiła tę wątłą istotę? Ale się uspokoił. Po śnie magnetycznym nastąpił sen naturalny, zgodnie z rozkazem magnetyzera.

O'Brien zamknął suterynę na klucz i sam udał się na spoczynek.

*
* *

Przeraźliwy krzyk, wydany przez panią Sollier, kiedy przelatywała z mostu do rzeki, która miała ją pochłonąć, krzyk ten, złowróżbnie rozlegający się wśród nocy, słyszany był przez cztery osoby, które w łódce płynęły ku Joinville. Ten krzyk złowrogi prawie nad ich głowami przeszył ich dreszczem.

— Ktoś rzucił się z mostu, odezwał się jeden ze

spacerowiczów nocnych.

— I to tuż przy nas, wyjąkała młoda kobieta zdjęta przestrachem.

— Może jakaś zbrodnia, wtrącił wioślarz.

Wszyscy nadstawili uszu.

Usłyszeli chlupotanie wody pod nerwowemi wysiłkami miotającego się ciała, potem głos, prawie przygasły, który jęczał:

— Ratunku! ratunku!

— Wiosłuj prędko, Berthout! Pod most! śpieszmy na ratunek.

Weronika uczepiła się rozpaczliwie sznura, który znalazła pod ręką, a który związywał razem dwie sieci rybackie. Poznała głos i krzyknęła:

— Do mnie, Magloire, do mnie!

Magloire, gdyż to był on, poznał głos Weroniki tak, jak ona jego poznała.

W łódce mieścili się, Berthout, inspektor policyjny, jego dawny kolega Słowik, Magloire i Marja, już żona Magloira. Wracali razem od krewnego Marji z Channevieres i właśnie na czas zdążyli z pomocą dla pani Sollier.

— Odwagi! Jesteśmy tutaj! zawołał mańkut.

Berthout powiosłował szybko. Słowik, wychyliwszy się z łódki, pochwycił Weronikę za ramię i przy pomocy Magloira wyciągnął ją z rzeki do łódki.

Czas już był wielki, gdyż Weronika zemdlała. Magloire przyklęknął przy niewidomej i podnosił jej głowę.

— To pewna, że pani Sollier nie rzuciła się do rzeki z własnej woli, rzekł. Sama też nie mogła wyjść,

ztamtąd gdzie była, ażeby tu przyjść. A co się stało z Martą kochaną? Niezawodnie to zbrodnia. Zaniesiemy ją do pałacyku pana Savanne.

— Pana Savanne, sędziego śledczego? zawołał inspektor policji

W kilku słowach Magloire wytłomaczył mu wszystkie okoliczności.

— O! szepnął policjant, w tem wszystkiem jakaś bardzo nieczysta sprawa.

Za wskazówką Magloira przybyli do brzegu Saint-Maur. Wyniesiono z łodzi ciało nieruchome Weroniki i położono na trawie. Magloire podszedł do furtki w parkanie. Była otwarta Serce mu się ścisnęło złowróżbnego przeczucia. Pobiegł do pałacyku, zapalił świecę. Zawołał na Martę. Nikt się nie odezwał. Dziecka nie było.

I gdy Berthout, Słowik i Marja przynieśli Weronikę do domku, rozebrali ją z mokrej odzieży i położyli na łóżku, Magloire pobiegł do willi sędziego.

Tu zastał Daniela i Henryka i w krótkich słowach opowiedział im o strasznych wypadkach.

— Zbrodnia! zbrodnia tutaj! zawołał sędzia śledczy. Czy podobna?

Razem udali się natychmiast do pokoju niewidomej.

Ta leżała wciąż zemdlona.

Henryk zabrał się do cucenia, Daniel zaś patrzał ze zdziwieniem na Berthouta i dawnego inspektora policyjnego, którego wyjścia ze służby żałował nieraz.

Berthout i Słowik wytłomaczyli mu swą obecność, uzupełniając opowiadanie Magloira.

— A Marta, co się z nią stało?

— Furtka na wybrzeże otwarta, odparł mańkut. W domu tym nie zastaliśmy też nikogo.

— Mój Boże! Co tutaj zaszło? szeptał Daniel.

— Weronika odpowie stryjowi, odezwał się Henryk, już przychodzi do siebie.

Rzeczywiście, dzięki staraniom młodzieńca, niewidoma odzyskiwała przytomność.

— Marto, Marto! wyjąkała głosem słabym.

— Marty niema, odpowiedział Henryk, ale pani przyjaciele są tutaj. Magloire, stryj mój, ja i inni. Powiesz nam pani, co się tutaj działo, jakiej zbrodni ofiarą padłaś, co to są za sprawcy? W ten sposób odgadniemy może, co się stało z Martą.

Weronika podniosła się na łóżku, dysząc.

— Marta, wyrzekła, płacząc, ależ to ona mnie powiedziała, ona kazała mi iść, mówiąc, że pan na mnie czeka, że pan ma mnie uzdrowić. Szłam długo, prowadzona ciągle przez Martę, która mnie trzymała za rękę. Potem ktoś mnie pochwycił, uniósł w powietrze i rzucił. Upadłam z wysoka i czułam, że tonę. Zaczęłam krzyczeć o ratunek. Usłyszałam głos Magloira i straciłam przytomność.

Wrażenie głębokiej zgrozy przejęło słuchaczów, w miarę jak mówiła pani Sollier.

— Ależ to okropne! zawołał pan Savanne, zdaje mi się, że widzę jasno w tym potajemnym spisku! Nędznicy, którzy panią chcieli zabić, to są mordercy Ryszarda Verniere! wiedzą o pani obecności w tym domu; drżą, że gdy pani wzrok odzyskasz, będziesz w stanie wydać ich w ręce sprawiedliwości. Ale jakim spo-

sobem, mogłaby być Marta wspólniczką tych zbrodniarzy? Nikt nie uwierzy, ażeby Marta, spełniając rozkazy tych ludzi, zaprowadziła panią tam, gdzie miałaś umrzeć!

— A jednak, podchwyciła niewidoma, wybuchając płaczem. Dlaczego dziecko skłamało? Dlaczego niema go tutaj?

— Bo je porwano, odparł sędzia śledczy.

— W tem jest jakaś tajemnica, rzekł Magloire, mógłbym przysiądz, że użyto jej do popełnienia zbrodni, ale jej nie zabito następnie.

— Ja jestem tego samego zdania, wtrącił Słowik. Zapewne winowajca nie opuścił tej okolicy, gdzie niezawodnie mieszkał od pewnego czasu, dla lepszego przygotowania morderstwa i po spełnionym czynie zaniósł dziecko do swego mieszkania. Trzeba teraz pilnować na wszystkich stacjach kolejowych i czynić poszukiwania we wszystkich domach, gdzie mogą być lokatorzy podejrzani.

Weronika znowu zemdlała.

— Pozwólcie, rzekł Henryk, ażebym sam czuwał nad tą biedną kobietą, po tem nowem omdleniu nastąpi sen.

Wszyscy, oprócz Henryka, opuścili pokój niewidomej i wyszli z domku.

— Marjo, rzekł Magloire do żony, nie możesz zostawać tu aż do rana, przyjaciel Słowik zaprowadzi cię do siebie i da ci pokój. Jutro zrana pierwszym pociągiem powrócisz do Saint-Ouen. Ja zostaję tutaj...

— Berthout, zatrzymuję cię przy sobie, rzekł pan Savanne.

Odprowadzono Słowika i Marję do łódki, a gdy od-

płynęli, pan Savanne wraz z Magloirem i Berthoutem udali się do willi. Sędzia wydał rozkazy na piśmie Berthoutowi i mańkutowi. W pół godziny później obadwaj opuścili willę i każdy podążył w inną stronę.

O godzinie piątej powrócił do willi Magloire z komisarzem policji i kilkunastoma żandarmami, w kilka chwil potem przybył naczelnik policji z Berthoutem i kilkoma agentami. Sędzia wytłómaczył im, o co chodzi. Żandarmi i agenci otrzymali szczegółowe polecenia, celem czynienia poszukiwań.

* * *

O'Brien wstał o świcie, zaledwie się przespawszy. Zamiarem jego było pojechać pierwszym pociągiem, stojącym w Champigny. Ucharakteryzowawszy się w odmienny sposób, zabierał się do odjazdu. Przed opuszczeniem jednak willi Kasztanów zeszedł do suteryny, gdzie była zamknięta Marta.

Dziecko spało ciągle, ale snem szczególnie niespokojnym, oddech nierówny i świszczący podnosił jej pierś. Magnetyzer dotknął palcem jej rozpalonego od gorączki czoła.

— Śpij, wyrzekł jednocześnie.

Amerykanin wyszedł, zamknął drzwi, opuścił willę i skierował się na stację Champigny.

Pociąg miał nadejść. Wziął bilet do Paryża i w kilka chwil był już w drodze.

W Paryżu podążył do biura telegraficznego i wysłał ztamtąd następującą depeszę:

„Verniere Neuilly. Interesy skończone. Czekam u Petersa, godzina jedenasta. Yankes.“

Bratobójca znajdował się w swym gabinecie, gdy lokaj wraz z gazetami przyniósł mu powyższą depeszę. Zrozumiał podpis i twarz mu się wypogodziła.

— Nareszcie, wyszeptał, skończone. Co się tam dziać musi w willi Savanne. Czy aby tylko to nie blaga. Daniel Savanne z bratankiem ma tu przybyć na cały dzień. Przyjdą, jeżeli się nic nie stało.

Nie dokończył zdania. Lokaj wszedł, przynosząc mu inną depeszę:

„Sprawa bardzo ważna zatrzymuje nas w Parku. Nie czekaj pan na nas.

Daniel Savanne."

— Teraz niema już wątpliwości, pomyślał bratobójca, sprawa bardzo ważna to zniknięcie Weroniki i jej wnuczki. Wszystko idzie dobrze. O'Brien jest uczciwym łotrem, który robi, co powinien.

Rzucił depeszę Daniela na biurko, telegram od magnetyzera wsunął do kieszeni i zabrał się do rozpieczętowania przyniesionych z poczty listów.

Jeden z nich zwrócił jego uwagę. Z Portsmouth donoszono, że machina, przysłana z fabryki w Saint-Ouen, nie działała dobrze. Ponieważ chodziło tu o kwestję podwójną: pieniędzy dość znacznych, a nadewszystko o kwestję miłości własnej co do wynalezionej machiny, Robert postanowił nazajutrz pojechać do Anglii.

*

* *

Uprzedziwszy żonę o wyjeździe do Anglii na dwa dni, Robert udał się na schadzkę z O'Brienem.

Amerykanin już od dwudziestu minut czekał nań w restauracji i dał znak wchodzącemu, któryby go nie był

poznał, tak był ucharakteryzowany. Uścisnęli się za ręce w milczeniu, poczem udali się do gabinetu na pierwszem piętrze. Gdy zostali sami, Robert zapytał:

— Cóż Weronika?

— Na dnie Marny.

— A dziecko?

— U mnie, uśpione. Nie obudzi się, dopóki jej nie rozkażę. I opowiedział, co zaszło.

— Kiedy zamierzasz wyjechać? zapytał Robert.

— Dziś wieczorem, Chcę opuścić tamte strony jak najprędzej. Dziś jeszcze wieczorem będę w drodze do Szwajcarji, zkąd udam się do Włoch.

— To nie zabierzesz pan z sobą umówionej sumy?

— Dlaczego? zapytał O'Brien marszcząc brwi.

— Gdyż nie mam u siebie takiej sumy w banknotach. Mam tylko dwieście tysięcy franków i przyniosłem je. Są w tej kopercie. Co do reszty zaś, oto przekaz płatny na okaziciela u Rotszylda.

Twarz amerykanina zasępiała się coraz bardziej.

— Ależ ja muszę opuścić Paryż, odparł, boję się już pokazywać, i niebezpiecznie byłoby dla mnie chodzić do kantoru Rotszylda. Nie mogę trzymać dziecka w śnie hypnotycznym w ciągu dni całych. Przy pańskiej kombinacji, będę mógł oddalić się z Paryża dopiero jutro wieczorem. To zapóźno.

— To jedź pan, a ja panu prześlę pieniądze, dokąd mi pan wskażesz.

Amerykanin nic nie odpowiedział. Robert zrozumiał jego myśl.

— Jeżeli się to panu nie uśmiecha, ciągnął dalej,

podnieś pan sumę jutro zrana i jedź dopiero jutro wieczorem.

O'Brien zdecydował się nagle.

— Daj mi pan bilety bankowe i przekaz, rzekł, opóźnię wyjazd, skoro inaczej niemożebne.

— Proszę.

I magnetyzer schował zapłatę za podwójną zbrodnię.

Po skończeniu śniadania wstali, ażeby odejść.

O'Brien wziął pod pachę spory pakiet:

— Poczyniłeś pan sprawunki? zapytał Robert.

— Tak. Ubranie chłopczyka. Rozumiesz pan.

— Doskonale. Marta podróżować będzie w tym kostjumie. Na wypadek, gdyby rozpoczęto poszukiwania, podług rysopisu, szukać będą dziewczynki, a nie zwrócą uwagi na chłopczyka. To bardzo sprytne.

Rozstali się na bulwarze, życząc sobie wzajemnie powodzenia.

Robert, wolny tym razem od wszelkiej obawy, udał się z powrotem do Neuilly.

O'Brien, myślał o Marcie, wziął dorożkę i kazał się zawieźć na dworzec Bastylli.

Uprzedźmy go w parkau Saint-Maur.

Dziecko obudziło się o ósmej zrana. Zdziwienie jego było niezmierne, gdy zobaczyło, że leży w ubraniu na łóżku nie swojem. Marta niespokojnie rozejrzała się po pokoju, gdzie się znajdowała, a którego nie poznawała wcale.

Wązkie okienko o szybkach zatłuszczonych i opatrzone kratami zewnątrz, wpuszczało do tej izby światło mdłe, półciemne. Okienko to zbyt było wysoko, ażeby

je mogła była otworzyć.

Dziwne wrażenie ją ogarnęło, uczucie przestrachu.

— Gdzież ja jestem? zapytała sama siebie.

Podbiegła do drzwi i chciała je otworzyć, ale były zamknięte hermetycznie.

— Mój Boże! wyjąkała przerażona, dlaczego mnie zamknięto tutaj? Babciu, zawołała, wstrząsając z całej siły zamkniętemi drzwiami. Panie Henryku... Otwórzcie... otwórzcie... ja boję się...

Nikt nie odpowiedział. Wołała znowu. Takie samo milczenie. Wtedy wybuchła płaczem, nie przestając wołać. Nagle przestała płakać. Oczy jej zwróciły się ku dwom wązkim okienkom, które tak licho oświetlały podziemie. Przystawiła krzesełko do ściany pod oknem i weszła na nie, ale nie mogła nawet rękami dosięgnąć. Znowu się rozejrzała dokoła siebie.

— Łóżko... łóżko... wyszeptała gorączkowo.

Było to niewielkie łóżeczko żelazne. Przysunęła to łóżko pod okno, postawiła na niem krzesełko i weszła na nie. Tym razem znalazła się na poziomie zatłuszczonych szyb i mogła patrzeć na zewnątrz.

Przed nią rozciągała się trawa leśna, gęsta, i pnie drzew. Chciała otworzyć okno, biła w szyby pięściami, ale szkło było podwójne, nic nie zrobiła i tylko poraniła sobie ręce.

Zbierając wszystkie siły zawołała:

— Ratunku!.. ratunku!..

Ściany piwnicy tłumiły jej głos. Zeszła z łóżka, powróciła do drzwi i, bijąc w nie nogami i rączkami, powtarzała: Babciu... babciu... Wreszcie wyczerpana, u-

sunęła się na zimną, wilgotną podłogę. Zemdlała.

Omdlenie Marty trwało długo, godzin pięć. Wreszcie dziecko szeroko otworzyło oczy, podniosło się i jak w chwili pierwszego obudzenia rozejrzało się dokoła zdziwione. Pamięć jej wszakże wracała.

— Jestem uwięziona, wyjąkała. Babci też niema, może co złego jej zrobiono.

Wstrząsnęła się. Uklękła, i złożywszy ręce, wyrzekła głosem błagalnym:

— Mój Boże, ulituj się nad babcią i nademną, a jeżeli ja mam umrzeć, czuwaj nad babcią.

W chwili gdy po gorącej modlitwie podniosła się, drgnęła i powstrzymując oddech, nadstawiła uszu, ażeby usłyszeć odgłos daleki. Czy rzeczywiście słyszała go, czy też istniał tylko w jej rozgorączkowanej wyobraźni? Zdawało się jej, że słyszy znane dźwięki, że rozróżnia piosenkę, którą znała, którą słyszała dawniej często. Dreszcz przebiegł ją od stóp do głowy. Słuchała z natężoną uwagą. Nie, nie myliła się. Inna muzyka odezwała się w dali, muzyka jej również znana, marsz wojskowy.

— Ależ to gra katarynka Magloira, nasza katarynka, rzekła drżąca.

Dźwięki zbliżały się. Dziecku przyszedł natchniony pomysł. Trzeba było w jakikolwiek sposób stłuc choć jednę szybę w oknie. Weszła na łóżko, ujęła krzesełko za nogę, podniosła i jak młotem uderzyła w szybę, która tym razem rozleciała się w kawałki.

Wtedy dziewczynka postawiła znów na łóżku krzesełko, które jej wyświadczyło tak wielką przysługę, i

wgramoliła się na nie.

Dźwięki katarynki zbliżały się coraz bardziej do jej uszu.

— To babcia Weronika lub Magloire. Szukają mnie niezawodnie.

Chciała wołać, ale się rozmyśliła.

— Nie, wyrzekła, jeszcze są oni zadaleko, nie mogą mnie usłyszeć, a ci którzy mnie zamknęli, możeby mię usłyszeli. Trzeba zaczekać, aż się zbliżą.

Słuchała znowu, a serce się jej ścisnęło. Dźwięki katarynki zamiast zbliżać się, oddalały.

Niewysłowiony smutek ogarnął dziewczynkę. Nadzieja, która ją ożywiła na chwilę, znikła.

Więc wszystko się dla niej skończyło. Już nie zobaczy babki, ani Magloira, ani pana Henryka, swego brata.

Pięć minut upłynęło, potem dziesięć, potem dwadzieścia. Nic... Wtem znów jej wróciła nadzieja. Katarynka znowu dawała się słyszeć bliżej. Tym razem równocześnie z wygrywaniem melodji przez katarynkę, czyjś głos śpiewał:

„Cieszcie się, chłopcy dziewczęta.
Tańczcie, śpiewajcie już,
W gaju świergocą ptaszęta,
Nadszedł czas wisien i róż..."

— A to „Róże i Wiśnie!" moja piosenka, wyszeptała Marta z radością, i to Magloire ją śpiewa.

Wtedy Marta zawtórowała drugą zwrotkę.

„Wesoła ludzi dola,
Śmieją się do nich pola,
Kwiatеczki pachną mile,
Całują kwiat motyle..."

Potem umilkła i słuchała.

Magloire gdyż to on był, wraz z Berthoutem i czterema agentami, poznał głos Marty.

— To głos dziecka, wyrzekł. Jestem tego pewnym. A! miałem dobrą myśl. Ona tam schowana jest. Zamknięta.

Właśnie znajdował się mańkut i Berthout w tej chwili naprzeciw sztachet willi Kasztanów.

— Tak, to tutaj, rzekł inspektor policyjny. Dzięki twemu pomysłowi, wyszukaliśmy gniazdo.

Magloire zawołał: Marto! Marto!

Dziecko odpowiedziało:

— Magloire. Do mnie, Magloire!

— Odwagi! Jesteśmy tutaj.

I lewą ręką zaczął gwałtownie dzwonić u drzwi.

— A! rzekł Berthout, to zupełnie zbyteczne zrywać dzwonek! Gdyby tam kto był, prócz dziecka, nie pozwolonoby mu było wołać i śpiewać.

— Tak, więc co robić?

— Trochę gimnastyki.

Nadeszli i agenci.

Na rozkaz inspektora, jeden z nich przelazł sztachety i otworzył je potem z zewnątrz. Magloire wbiegł do ogrodu, a potem pobiegł do domu. Ale drzwi willi były zamknięte. Pod wspólnym jednak naporem czterech agentów, wreszcie ustąpiły. Wejście było wolne.

— Ty, Magloire do małej, rzekł inspektor, a my tym czasem zrobimy rewizję w domu.

Magloire zeszedł śpiesznie do sutereny i bez żadnej trudności wyważył drzwi do więzienia Marty.

Dziecko krzyknęło z radości i padło w jego ramiona zemdlone.

*
* *

O'Brien wsiadł na pociąg o godzinie pierwszej minut pięć. O godzinie pierwszej minut czterdzieści dwie przybył do parku Saint-Maur. U drzwi stacji spostrzegł żadarmów.

— Do djabła, szepnął, policja już na nogach! Stacje są strzeżone.

Nie mylił się. Przez chwilę żywo się zaniepokoił, ale się i uspokoił prędko. Dozór niezawodnie rozciągnięty był nie nad tymi, którzy przyjeżdżali do Parku, lecz nad tymi, którzy się chcieli ztąd oddalić.

Rozumowanie to było trafne. Magnetyzer wyszedł wśród innych podróżnych i skierował się ku willi Kasztanów. Gdy się do niej już bardzo zbliżył, zatrzymał się, zadrżał i zbladł z przestrachu. Z alei wychodziła gromadka ludzi, z których jeden pchał przed sobą katarynkę. Obok szedł mańkut, trzymając dziewczynkę za rękę. O'Brien poznał Martę, bardzo bladą, zaledwie mogącą iść. Ogarnął go szalony przestrach.

— Wszystko wykryte, szeptał, cofając się ażeby nie być widzianym i chowając się w zarośla.

Za Magloirem i Martą człowiek jakiś niózł walizę. Amerykanin nie mógł się omylić, to była jego waliza, z papierami i pieniędzmi.

— Jestem zgubiony, rzekł do siebie. Trzeba uciekać czemprędzej.

I krokiem chwiejnym, ale podniecany strachem, puścił się ku drodze do Maisons-Altois.

XX.

Komisarz policji z Joinville i naczelnik policji zjedli śniadanie u Daniela i czekali na wiadomości od rozesłanych na wszystkie strony agentów.

Weronika, powierzona staraniom Henryka, który jej nie opuszczał, przespała kilka godzin. Po przebudzeniu znów z rozpaczą wypytywała o Martę.

Nagle u bramy willi dało się słyszeć gwałtowne dzwonienie. Henryk pobiegł do okna, wychodzącego na podwórze, i wydał okrzyk radości.

— Marta jest!... zawołał. I wybiegł.

Weronika została, drżąc całem ciałem.

— Moja wnuczka... wyjąkała z uniesieniem.

— Babciu! Babciu! odpowiedziało dziecko, wchodząc do pokoju, prowadzone przez Henryka.

Rzuciła się w objęcia niewidomej, która ją przycisnęła do serca i pokryła pocałunkami.

Magloire, Berthout i agenci ukazali się na progu.

— Widzicie, zawołał Magloire, powiedziałem, że ją znajdę, i oto ją macie!...

— Ale zkąd przychodzisz, nieszczęśliwe dziecko? zapytała pani Sollier. Cóżeś ty uczyniła? Dokąd ty mnie zaprowadziłaś?

— Ja nic nie wiem. Sama się obudziłam w jakiejś piwnicy. Kto mnie tam zaniósł? Ja nie wiem.

— Pozwólcie, państwo, że ja ją wypytam, rzekł Daniel Savanne, przyciągając dziecko do siebie. Coś wczoraj robiła, moja pieszczoszko, przy babce?

— Wieczorem opatrzyłam oczy babci, później życzyłam babce dobrej nocy, ucałowałam ją i położyłam się spać...

— Która to była godzina.

— Trzy kwadranse na dziesiątą.

— Jesteś tego pewna?

— Tak. Nastawiłam właśnie zegar.

— Czy podczas dnia nie widziałaś się z kim obcym?

— Z nikim.

— Czyś zaraz zasnęła?

— Tak, byłam bardzo znużona.

— Jakim więc sposobem wstałaś przed północą, obudziłaś babcię, powiedziałaś babci, że pan Henryk oczekuje, ażeby wyleczyć ją, i zaprowadziłaś ją na most kolejowy w Champigny?

Marta wydawała się najzupełniej oszołomioną.

— Ja... ja... ja to uczyniłam? wyjąkała. Ależ ja nie wychodziłam z domu. Ja spałam.

— I nikt ci nie kazał zaprowadzić babci na most w Champigny o północy?

— Nikt. Nikogo nie widziałam.

— Przynajmniej powinnaś wiedzieć, kto cię zaprowadził do domu, gdzie byłaś zamknięta?

— Nie, nie wiem.

— Przestań wypytywać Martę, mój stryju, rzekł w tejże chwili Henryk. Ona ci nic nie odpowie, nie może odpowiedzieć.

— A to dlaczego? zapytał pan Savanne źdźiwiony.

— Dlaczego? Ja już odgadłem. Ponieważ bezwiednie posłuszną była woli tajemniczej i wszechwładnej. Znajdowała się ona pod wpływem suggestji i po obudzeniu nie może pamiętać nic o rozkazach, jakie jej były dane, ani o ich wykonaniu.

Urzędnicy spojrzeli po sobie z pewnym przestrachem.

— Rozumiem! rozumiem! zawołała Weronika. Magnetyzer! ten z ulicy Zwycięztw! O'Brien!

— O'Brien! powtórzył Daniel Savanne, wspólnik morderców Ryszarda Verniere!...

— To nazwisko człowieka, u którego znaleźliśmy dziecko, rzekł inspektor Berthout, podchodząc i stawiając na stole walizę, którą przyniósł jeden z agentów. Waliza ta, przezemnie zabrana, zawiera różne dokumenty, znaczną sumę w papierach wartościowych i sporo listów, zaadresowanych do doktora O'Briena, ulica Zwycięztw w Paryżu. Urządziłem ładną pułapkę w willi, gdzie mieszkał. Wszystkie drzwi, któreśmy pootwierali znów są zamknięte. Dwaj agenci ukryli się w domu.

— Dobrze, odpowiedział sędzia śledczy, przejrzę zawartość tej walizy przy sposobnej chwili. Poczem, zwracając się do Henryka, dodał:

— Sądzisz więc, że to dziecko było najprzód zahypnotyzowane, a potem działano na nie suggestją?

— Mam najzupełniejszą pewność...

*
* *

Wieczorem, Henryk zawiózł panią Sollier do szpitala, gdzie miała się odbyć operacja z jej oczyma, dla przywrócenia wzroku.

Sędzia pojechał również do Paryża, ażeby się widzieć z prokuratorem, przed odjazdem zaś polecił, ażeby nikt nie mówił o odnalezieniu Marty.

XXI.

Tegoż dnia w willi Neuilly Filip de Nayle pracował żarliwie nad czytaniem obszernego tomu Traktatu Kryptografji. Właśnie zajęty był ostatnią częścią tego dzieła, w której opisywano: Metody i systemy, używane w dyplomacji, metodę Juljusza Cezara, metodę japońską, metodę równoległoboków, metodę Scootha, metodę Walerego Grousfelda, metodę lorda Bacona, metodę dzielników, i t. d.

Zatopił się w czytaniu wszystkich tych systemów, ale żaden z nich nie objaśnił go dostatecznie.

Wtedy przeszedł do ogólnych uwag.

Jeden z paragrafów zastanowił go bardzo:

„Kilka gabinetów posługuje się dla korespondencji cyfrowanej z góry oznaczonym słownikiem, którego wydanie bądź w języku francuskim lub w obcym jest ściśle wskazane. Wtenczas dosyć dwóch cyfr, dla oznaczenia strony i miejsca wyrazu“.

Filip drgnął.

— Dwie cyfry, rzekł. To musi być metoda słownikowa. Ale jaki słownik? angielski? włoski? francuski? jak się dowiedzieć?

Oczy jego zatrzymały się na literach P. L., stojących na czele po lewej stronie pierwszej cyfry.

— P. L. Co mogą oznaczać te dwie litery? Czy wskazują jakie dzieło, czy jaki słownik?

Błyskawica przeszła mu przez głowę.

— Piotr Larousse! rzekł nagle. Gdyby to było?

Młodzieniec miał w swej bibljotece cały komplet licznych tomów wielkiego słownika Laroussa. Wziął z

półki pierwszy tom i rozłożył go przed sobą.

Dwie pierwsze liczby, oznaczone w liście, połączone znakiem + i zawarte w dwóch znakach = były = 217 + 7 = Otworzył tom, poszukał strony 515, policzył siedm pierwszych wyrazów na pierwszej kolumnie i czynił tak dalej, stosownie do wskazówek podręcznika.

Oczekiwał go zawód. Rezultat tej pracy nie miał żadnego sensu. To samo było z drugim tomem, to samo z trzecim. A jednak zdawało mu się, że jest na dobrym tropie.

Ułożył tomy na miejscu; przyjrzał się znów owym dwom cyfrom: P. L. i w ciągu kilku sekund myślał. Nagle ręka jego wyciągnęła się ku narożnikowi biurka, gdzie się znajdowała mała książeczka w czerwonej oprawie płóciennej. Było to skrócenie Wielkiego Słownika, którego radził się napróżno.

— P. L. wyszeptał. Petit Larousse (Mały Larousse), może... zobaczymy.

I rozpoczął znów pracę, dotąd bezużyteczną. Po upływie chwili okrzyk tryumfu wyrwał mu się z ust.

— Tak, to to! wyrzekł. Znalazłem!

Praca była długa i mozolna, wreszcie jednak dotarł do celu, i Filip przeczytał nie bez przestrachu, dosłownie to, co nam już jest wiadomem:

„Niech Wasza ekscelencja ma baczne oko na kapitana artylerji D., zaliczonego do ministerjum wojny. Ma wydać plan uruchomienia armii francuskiej w razie wojny. Wypłacić pięćkroć sto tysięcy franków na potrzeby różne. Dowiedzieć się o prochu bezdymnym. Kule nowe. Torpedy marynarskie“.

Młodzieniec, kończąc to czytanie, zbladł. Sens tego listu ukazywał mu się w całej zgrozie. Żądano kupienia, skradzenia tajemnicy uzbrojeń francuskich.

I coraz bardziej młodzieniec zadawał sobie to pytanie: Jakim sposobem dokument taki znajdować się mógł w ręku jego ojczyma?

Różne myśli przychodziły mu do głowy. To chciał zwierzyć się matce, to pomówić z Robertem Verniere, to ostrzedz rząd. Wreszcie wyrzekł:

— Jeszcze się namyślę.

I schował starannie list cyfrowany jak i dokonane przezeń tłómaczenie.

*
* *

Pan Savanne udał się do swego gabinetu w sądzie, gdzie nań już czekali, naczelnik policji i komisarz policji z Joinville. Zdali mu sprawę z daremnych poszukiwań, zarządzonych w parku Saint-Maur i w sąsiednich wioskach, i z rezultatu rewizji, dokonanej w willi Kasztanów, gdzie O'Brien wcale się nie pokazał. Głównym rezultatem tych poszukiwań było wykrycie zasobnej garderoby, dowodzącej widocznie, że magnetyzer najrozmaitszych używał przebrań.

— Łotr, dowiedział się, że Marta została odnaleziona, zawołał Daniel. Teraz ucieka i zapewne znajduje się już po za Francją. Trzeba jednak na wszystko baczną zwracać uwagę.

Pan Savanne pozostawszy sam w gabinecie przystąpił do szczegółowego obejrzenia walizy O'Briena, przyniesionej z willi Kasztanów.

Waliza zawiera tylko pieniądze i papiery. Pieniądze

w banknotach i złocie wynosiły dość znaczną sumę. Wśród papierów znajdowały się różne listy, zawiązane gumką, lecz treści podrzędnej. Oglądając raz jeszcze walizę, zauważył sędzia kieszonkę, dotąd niedostrzeżoną, i wyjął z niej list, jedyny. Spojrzawszy nań, zadrżał. List ten adresowany był do jego ekscelencji pana ambasadora niemieckiego w Paryżu.

Koperta szeroka, kwadratowa, miała na sobie stempel pieczęci z herbem pruskim. Sędzia rozerwał kopertę i wyjął z niej list cyfrowany.

— List cyfrowany z adresem do ambasadora niemieckiego, w ręku tego człowieka, wyrzekł. Muszę się dowiedzieć, co to znaczy.

Sędzia włożył list do koperty, i przyłączywszy ją do innych papierów, wydobytych z walizy, zamknął w szufladzie biurka.

*

* *

W następny czwartek można było czytać w dziennikach paryskich pod tytułem:

Epilog potrójnej zbrodni w Saint-Ouen. Posępny dramat, o którym donosiliśmy czytelnikom około pół roku temu, otrzymał epilog niemniej złowrogi i niemniej tajemniczy od swego dramatu. Weronika Sollier, jedna z ofiar i jedyny świadek zbrodni, odźwierna, która mogła przyjść z pomocą sprawiedliwości, ponieważ widziała jednego z morderców Ryszarda Verniere, przyjętą została, jak i jej wnuczka, do willi w parku Saint-Maur, przez sędziego śledczego Daniela Savanne, który ma powierzone śledztwo w sprawie Saint-Ouen. Tam odbywała przygotowawczą kurację,

poprzedzającą zamierzone zdjęcie katarakty z jej oczu, bo zaślepła skutkiem rany otrzymanej w nocy z dnia 1. na 2. stycznia, gdy ratowała swego pana. Pomyślny wynik operacyi pozwoliłby jej poznać i wskazać zbrodniarza. W nocy z dnia 16. na 17. tegoż miesiąca, pani Sollier, wciąż jeszcze niewidoma, i jej wnuczka zostały porwane z mieszkania sędziego śledczego. Po najtroskliwszych poszukiwaniach nabrano pewności, że Weronika Sollier wrzuconą została do Marny i że jej wnuczka doznała tegoż losu. W różnych punktach rzeki, odbywa się sondowanie, w celu odnalezienia obu ciał. Jeszcze jedna zbrodnia, której sprawcy pozostaną bardzo prawdopodobnie nieznanymi".

Artykuł ten sprawił w Paryżu głębokie wrażenie, ponieważ nikt nie zapomniał jeszcze w zupełności zbrodni w Saint-Ouen, a złowroga wiadomość o śmierci Weroniki Sollier i Marty przypominała jeszcze bardziej wszystkie dawniejsze szczegóły dramatu. W Saint-Ouen, w restauracyi pod „Katarynką" Magloire odgadł w artykule tym fortel policji, ale strzegł się z wypowiedzeniem swej myśli i posłuszny zaleceniom sędziego, przybrał zasmuconą minę. Niebawem otrzymał depeszę od Daniela, wzywającą go na bulwar Malesherbes o 8mej wieczorem.

Prawie jednocześnie Filip de Nayle dostał podobną depeszę, lecz z wezwaniem na godzinę siódmą.

Klaudjusz Grivot czytał także gazety, a wiadomość o śmierci babki i dziecka przejęła nędznika niepomierną radością. Więc wszystko ostatecznie skończyło się. Robert i on nie mieli się już czego lękać.

Punktualnie o godzinie 7 Filip stawił się w gabinecie Daniela. Pierwsze słowa młodzieńca były zapytaniami, o ile prawdziwemi są doniesienia dzienników.

— Tak, moje dziecko, odpowiedział sędzia, fatalność nas prześladuje.

— Czy pozwoli mi pan sędzia zapytać o cel mego wezwania?

— Dowiedziałem się od Henryka, że w chwilach wolnych zajmujesz się kryptografią.

— Czy o list cyfrowany panu sędziemu chodzi?

— Tak! Ale proszę cię o najzupełniejszy sekret.

Daniel wyjął list, znaleziony w walizie O'Briena, i pokazał go Filipowi.

Na widok pieczęci z herbem pruskim, młodzieniec zbladł. Koperta była zupełnie podobną do listu, odcyfrowanego przezeń przed kilku dniami.

— Otwórz tę kopertę, moje drogie dziecko, rzekł doń sędzia, i zobacz, co zawiera.

Filip od pierwszego spojrzenia poznał, że ten sam system kryptograficzny użyty był do obu listów.

— Czy odcyfrujesz ten list?

— Postaram się przynajmniej.

— Będę ci nieskończenie wdzięczny za tę przysługę. Zabierz ten list tajemniczy, moje drogie dziecko. Zobaczę się z tobą w sobotę.

Filip pożegnał się z sędzią.

W dziesięć minut później Henryk wraz Magloirem wszedł do stryja. Zamknęli się i rozmawiali długo.

*

* *

W willi Neuilly, Filip około godziny dziesiątej wieczorem wszedł do swego gabinetu i zabrał się niezwłocznie do odcyfrowania listów. Wreszcie około godziny drugiej zrana, z bólem serca przesylabizowawszy każdy wyraz i podstawiwszy go pod każdą cyfrę, a każdy z tych wyrazów był dlań odkryciem, uderzeniem pioruna, młodzieniec odczytał w całości list przetłomaczony, uzupełniając go tu i owdzie:

„Pilnujcie fabryki Ryszarda V., inżyniera w Saint-Ouen. Kupić człowieka, jeśli da się sprzedać, oraz jego wynalazki dla marynarki. Brat jego, Robert V.. nasz agent tajny, pewien jest, że Ryszard mógłby nam służyć. Trzeba trafić do majstra Klaudjusza G. Potrzeba mieć w sztabie wojennym plany nowych fortów od granicy wschodniej. Zobaczyć się z porucznikiem inżynierji X. w ministerjum. Zapłacić nawet drogo. Dzięki za wskazówki o nowych karabinach. Potrzeba mieć model. Zobaczyć się z kapitanem artylerji D. w ministerjum wojny, to nasz człowiek. Pokazać ten list naszemu przedstawicielowi wojskowemu."

Wszystko to było jasne, dokładne, nie pozostawiało żadnej wątpliwości w umyśle Filipa. Fabryka Ryszarda V., której miano pilnować, była to fabryka Ryszarda Verniere. Brat jego Robert V. był to Robert Verniere, majster Klaudjusz G. był Klaudjuszem Grivot; Robert był agentem tajnym niemieckim.

Kto wie, czy Ryszard Verniere nie przypłacił życiem odmowy sprzedania się Niemcom? Kto wie, kto był jego mordercą? Syn Aurelii zadawał sobie te pytania lecz nie śmiał na nie odpowiedzieć. Nagle inna myśl

przebiegła mu przez głowę jak błyskawica. Robert prosił go o wykonanie planów kartaczownicy nowego systemu, bomb dla marynarki i t. p. Straszne podejrzenie obudziło się w nim.

Filip się położył, ale nie mógł zasnąć. Wstał i ubrał się, a o piątej przybył do fabryki, w chwili gdy dzwoniono na robotników do rozpoczęcia pracy.

Podczas nieobecności Roberta, tylko Filip miał prawo wchodzić do jego gabinetu, od którego posiadał podwójny klucz. Filip wszedł do gabinetu ojczyma i zamknął drzwi za sobą na zasuwkę.

Plany drogocenne były ułożone po porządku w kartonach ponumerowanych. Filip sam je uporządkował. Były one sporządzone w trzech egzemplarzach. Jeden z nich dostarczony został do ministerjum, winny więc były pozostać jeszcze dwa. Poszukał ich gorączkowo. Znalazł jeden.

W gabinecie powinny się były znajdować również podwójne modele bomb i model kartaczownicy. Modeli bomb nie było wcale. Model kartaczownicy znajdował się, lecz Filip przypomniał sobie nagle, że widział, jak Klaudjusz Grivot pracował nad wykonaniem drugiego egzemplarza. Wtedy przekonany był, że majster czyni to z rozkazu jego ojczyma, więc się tem nie zajmował, teraz ukazywała mu się straszna prawda!

Robert Verniere i Klaudjusz Grivot byli wspólnikami. Niezawodnie sprzedali oba sekrety fabryki Saint-Ouen Niemcom, których byli tajnymi agentami.

Filip zgnębiony upadł na krzesło. Co miał czynić? Czy ma pozostawić bezkarną tę zbrodnię?

Z Robertem Verniere traktował niezawodnie szef szpiegów niemieckich w Paryżu, ten list cyfrowany wskazuje to dostatecznie.

Filip w tej chwili nie myślał ani o matce, ani o Alinie, ani o Danielu, który powierzył mu dla przetłomaczenia ten list cyfrowany.

Dzielne dziecko Lotaryngii, Francuz z urodzenia, serca i duszy, myślał tylko, jak obronić przed Prusami ojczyznę swego ojca, swego dziadka, męczennika swego patrjotyzmu, Francję, matkę swoją!

Z całym wysiłkiem uzbroił się w zimną krew. Z kartonu, który otworzył, wziął plan i wyliczenia. Włożył je do kieszeni, jak i rewolwer, nabity sześcioma kulami. Następnie wsiadł do powozu, który go zawiózł do willi Neuilly.

Filip postanowił odnaleźć szefa szpiegów niemieckich w Paryżu i przypuszczał, że w papierach ojczyma znajdzie coś, co może go naprowadzić na ślad mieszkania tego działacza. Skoro przyjechał do Neuilly, zamknął się w gabinecie Roberta Verniere i bez skrupułu względem takiego nędznika otworzył dobranym kluczem biurko ojczyma. Po dłuższych poszukiwaniach, wśród papierów znalazł bilecik, znany już czytelnikom i zawierający te słowa:

„Panie Robercie Verniere! W pańskim interesie, w interesie przyszłości pańskiej fabryki i spokoju pańskiej rodziny, proszony jesteś o przybycie jak najśpieszniej na ulicę Verneuil nr. 4 między godziną 9 i 10 zrana.

Nie opóźniaj się na to wezwanie, którego winieneś

pan zrozumieć całą doniosłość i przyjm moje ukłony.
Baron Wilhelm Schwartz."

Filip nie miał wątpliwości. Wiedział, że baron Schwartz pełni w ambasadzie niemieckiej poważne obowiązki. Pojechał na ulicę Verneuil.

Wilhelm Schwartz siedział w swym gabinecie, odczytując korespondencje, nadesłane mu z ambasady: Jeden z tych listów, wskazywał mu jaką drogą ma przesłać nabyte od Roberta plany i modele do Niemiec. Właśnie leżały one w kącie gabinetu, gotowe do upakowania.

Oprócz wywiadowców niemieckich i zaprzedańców francuskich nikt nie przestąpił progu tego gabinetu.

Była godzina dziewiąta. Dzwonek od ulicy dał się słyszeć. Lokaj poszedł otworzyć, a znalazłszy się wobec osoby nieznajomej, zapytał po niemiecku:

— Czego pan sobie życzy?

W tymże języku odpowiedział Filip:

— Widzieć się z panem baronem Schwartzem.

Służący zawahał się przez chwilę, poczem odparł:

— Pana barona niema.

Filip zauważył to wahanie i podchwycił:

— Wiem, że pan twój jest w domu. Muszę się koniecznie zobaczyć z nim w pilnym interesie. Uprzedź go o mem przybyciu.

Ta pewność siebie zaimponowała lokajowi.

— Czy pan przychodzi w imieniu czyjem? zapytał.

Filip odrzekł śmiało na to półgłosem:

— Od pana Roberta Verniere z Saint-Ouen...

Zaledwie wymówił nazwisko ojczyma, służący otwo-

rzył i wpuścił gościa do pałacyku.

— Kogo nam oznajmić panu baronowi.

— Oto mój bilet wizytowy.

Pozostawiwszy gościa w przedsionku, lokaj zapukał do drzwi gabinetu swego pana.

— Ktoś do pana barona od Roberta Verniere z Saint-Ouen.

Przedstawiciel Niemiec drgnął. Wziął bilet wizytowy i przeczytał: Hrabia Filip de Nayle. Znał doskonale to nazwisko, jako pasierba Roberta Verniere. Czyżby młodzieniec był nietylko wspólnikiem fabryki, ale i zdrady? Wizyta zdawała się to stwierdzać najzupełniej.

— Może przychodzi się użalać, że nie dostał swej części? wyszeptał Schwartz. Potem dodał głośno: Proś!

Po chwili Filip de Nayle wszedł do gabinetu. Na pozór był tak spokojny jak zwykle, tylko trochę bledszy. Od pierwszego spojrzenia zauważył w gabinecie skrzynkę otwartą, modele i plany.

— Nic nie stracone! rzekł do siebie, przybywam jeszcze na czas!

Wilhelm Schwartz, głaszcząc piękną brodę jasnowłosą, palcami, obciążonymi pierścieniami, postąpił dwa kroki na spotkanie młodzieńca.

— Czemu mam przypisać, panie hrabio, zaszczyt pańskich odwiedzin? zagadnął, kłaniając się.

— Oddano panu baronowi mój bilet?

— Tak, panie, i wiem, że jesteś pasierbem wielkiego przemysłowca Roberta Verniere. Ale to mnie jeszcze nie objaśnia...

— Po co przychodzę? Zaraz panu powiem... Przy-

chodzę w imieniu mego ojczyma i z jego polecenia, ażeby powetować opłakaną omyłkę, jaką popełnił.

— Opłakaną omyłkę? powtórzył baron.

— Tak, panie. Ale możliwą do naprawienia.

— Dlaczegóż sam nie przyszedł?

— Ponieważ zmuszony był wyjechać wczoraj wieczorem niespodziewanie do Anglii. Liczył na mnie, że go zastąpię... Nic mi nie jest obcem z układów, zawartych między panem i moim ojczymem i zsolidaryzowałem się zupełnie z jego postępkami. Możesz więc pan rachować na mnie jak na niego.

Wilhelm Schwartz skłonił się z uśmiechem.

— Ależ wreszcie, panie hrabio, rzekł, o jakiej to omyłce mówisz i dla kogo ona jest opłakaną?

— Dla mego ojczyma, gdyż mogłaby poddać w podejrzenie dobrą jego wiarę, i dla pana również, gdyż z pewnością oskarżono by pana u wyższej władzy o niedbalstwo i nieudolność.

Dygnitarz niemiecki drgnął.

— O niedbalstwo, nieudolność! wyszeptał. Doprawdy! Ale o cóż więc chodzi?

— Mój ojczym traktował z panem o sprzedaż pańskiemu rządowi planów pocisków wojennych i obliczeń co do nabijania tych pocisków.

— A więc?..

— A więc, oddając panu rzeczy sprzedane, pomylił się w planach i rachunkach.

— Czy podobna, wielki Boże! zawołał urzędnik niemiecki, podnosząc obie ręce ku sufitowi.

— Dał panu wyliczenia naszych pierwszych prób,

zamiast przyjętych przez ministra wojny. Filip dodał, wskazując zwitek papieru, trzymany w ręku. Przynoszę panu prawdziwe, prosząc, ażebyś pan oddał te, które na nic się nie zdadzą, chyba, że pan jużeś je wysłał do Berlina.

— Nie, dzięki niebu, nie jeszcze, wyrzekł baron Schwartz, bardzo zmieszany tem, o czem się dowiedział. Ale je miałem zaraz wysłać. A wtedy co za straszna odpowiedzialność zaciężyłaby na mnie. Na samą myśl drżę! A! jest Opatrzność, i ona się mną opiekuje widocznie. Oddam panu pańskie formuły i plany w zamian za te, które mi pan przynosisz.

Zasadzka była tak dobrze zastawiona, że przedstawiciel niemiecki wpadł w nią bez najmniejszego podejrzenia. Zbierał wszystkie dokumenty, podczas gdy młodzieniec rozwijał zwolna papier w który był zaopatrzony.

— Oto, panie hrabio, wyrzekł Wilhelm Schwartz, kładąc przed synem Aurelii plany i wyliczenia, sprzedane przez Roberta. Zobacz, czy jest wszystko.

Filip wziął papiery poukładane, rozgatunkował je, dla przekonania się, czy rzeczywiście nie brakowało żadnego, zwinął je i włożył do kieszeni.

Niemiec wyciągnął rękę, ażeby dostać wzamian przyrzeczone dokumenty.

— Wybaczy pan baron, odrzekł syn Aurelii, cofając się o krok, dokumenty, które mi pan oddał, należą do mnie, i nie będziesz miał żadnych.

— Co pan robisz? wyjąkał baron zsiniały.

— Odbieram w posiadanie przedmioty skradzione, których pan byłeś przechowywaczem.

— A! to tak! zawołał prusak, który wreszcie zrozumiał.

Baron przyskoczył do biurka i pochwycił rewolwer, który nabił.

Filip zbliżył się do okna, wychodzącego na ulicę Verneuil. Otworzył je, i obracając się, zawsze spokojny, trzymając w ręce również nabity rewolwer, rzekł głosem stanowczym:

— Przy pierwszym strzale, danym czy to przez pana czy przezemnie, agenci, którzy mnie eskortowali, wtargną do pańskiego domu, bo przy nim pilnują.

Niemiec, trzęsąc się cały wykrzyknął:

— To zasadzka, mój panie!

— Ja to nazywam odwetem.

— Pan sprzedałeś te plany, te obliczenia. Dostałeś pan za nie pieniądze!

— Robert Verniere może, ale nie hrabia Filip de Nayle!

— Jesteś pan wspólnikiem swego ojczyma...

— Ażeby służyć swemu krajowi, lecz nie aby go zdradzać.

— Zgubimy pana!

— Nie boję się was!

— Pański ojczym dostał miliony.

— To niech je wam zwróci.

— On jest złodziejem i mordercą!

— To rzecz sądu a nie moja.

— My go napiętnujemy, a hańba spadnie na pańską matkę i na pana!

— Żadna skaza nie może dosięgnąć mej matki, ani

mnie! No, panie baronie, dosyć tych groźb! Powiedz pan sobie, że to interes chybiony, i wytłomacz się swemu rządowi, jak ci się wyda najlepiej.

Niemiec zgnębiony pochylił głowę.

— Przywołaj pan służącego, rzekł Filip.

Schwartz nie odpowiedział. Ściskał rewolwer w palcach. Głowę mu rozsadzała myśl: zabić tego człowieka, który go tak wywiódł w pole i obezwładnił.

Młodzieniec zrozumiał, co się dzieje w nim. Jednym skokiem wpadł na barona, schwycił za rękę uzbrojoną, zanim tenże zdołał się spostrzedz, wyrwał rewolwer, i przyłożywszy lufę do skroni, wyrzekł:

— Jeżeli nie będziesz pan posłuszny, to klnę się na Boga, roztrzaskam ci głowę! Zawołaj pan lokaja!

Trzeba się było poddać. Baron nacisnął dzwonek. Służący wszedł.

— Weź te trzy kule, rozkazał Filip, i zanieś do powozu, a także zabierz i to...

Wskazał kawałki rozebranej kartaczownicy.

Służący się nie poruszył.

— Każ mu pan być posłusznym! zawołał.

— Bądź posłuszny panu, wybełkotał Wilhelm.

Lokaj spełnił rozkaz.

— Teraz, panie baronie, zwracam panu broń, podchwycił syn Aurelii. Nie mówię do widzenia, bo wątpię ażebyśmy się jeszcze zobaczyli.

I rzucając rewolwer niemca na biurko, wyszedł, wsiadł do powozu i kazał się wieźć do Neuilly.

W chwili gdy powóz ruszał z miejsca, dał się słyszeć strzał.

Specjalny sekretarz ambasady roztrzaskał sobie głowę, przekładając śmierć nad upokarzające wyznanie o swojem śmiesznem niepowodzeniu, i nad następstwa tego wyznania, gdyż Niemcy nie przebaczyłyby mu tej porażki, ani straconyh milionów.

— To najlepsze, co mógł uczynić, szepnął Filip, odgadując, co się stało.

XXII.

Filip przybywszy do willi, kazał złożyć przywiezione rzeczy do gabinetu, przytykającego do jego pokoju. Następnie zjadł śniadanie z matką i obiema panienkami, i nikt z jego twarzy nie mógłby był wyczytać bolesnego niepokoju.

Spodziewano się przyjazdu Roberta Verniere w ciągu dnia, lecz około godziny drugiej Aurelia otrzymała depeszę. Robert skutkiem nieprzewidzianych okoliczności, zmuszony był opóźnić przyjazd, powrócić ma jednak w sobotę zrana. To opóźnienie nie miało zresztą znaczenia, ponieważ pan domu przybędzie zrana dla przyjęcia gości.

W Portsmouth Robert wyczytał w gazetach francuskich wiadomość o zniknięciu Weroniki i małej Marty, co potwierdziło opowiadanie O'Briena, o którego zresztą prawdziwości nie wątpił.

Amerykanin również przeczytał artykuł w Genewie dokąd przybył bez przeszkód, lecz bynajmniej nie był z niego zadowolony. Chciano wpoić mniemanie w śmierć dziecka, które widział żyjące; musiała być w tem niezawodnie zasadzka ze strony policji. Popełniłby więc

jak największą nieostrożność, gdyby powrócił do Francji, dla podniesienia w Paryżu z domu bankierskiego Rotszylda sumy, przekazanej mu czekiem, podpisanym przez Roberta Verniere. Musiał poprzestać na dwustu pięćdziesięciu tysiącach franków, otrzymanych w restauracji. Było to niewiele, wobec jego nadziei, zwłaszcza, że stracił pokaźną sumkę, schowaną w walizie, którą agenci policyjni zabrali w willi Kasztanów.

— Ledwie kilka tysięcy franków zyskałem, mała mi się wymknęła, wyszeptał z wściekłością. Miejmy nadzieję, że się doczekam odwetu.

I marząc o tym odwecie, udał się do Włoch, ażeby się połączyć z panną Ewą Mariani.

* *
*

Była sobota zrana. Od paru dni przygotowywano się w willi Neuilly do przyjęcia gości.

Ponieważ jadalny pokój nie był dość obszerny, dla pomieszczenia spodziewanych gości, pani Verniere kazała postawić szeroki namiot na rozległej murawie wśród wielkich drzew i kwater kwiatowych. Obok mniejszy namiot przeznaczony był dla orkiestry cygańskiej. Wieczorem światło elektryczne oświetlić miało stół zastawiony kryształami, srebrem i kwiatami. Wielki salon willi przemieniony został w salę kwiatową, a sala jadalna służyć miała do palenia cygar.

Godzina dziewiąta wybiła, a Robert jeszcze nie przyjechał. Pani Verniere zaczynała się dziwić i niepokoić i zwierzyła się z tem synowi.

Filip z twarzą uśmiechniętą, pomimo nawału bolesnych myśli, uspokoił ją, upewniając, że ojczym w ra-

zie jakiego wypadku przysłałby telegram.

O jedenastej przybyli pierwsi goście. Aurelia z synem przyjęła ich, tłómacząc nieobecność mimowolną i chwilową pana domu.

Klaudjusz Grivot ukazał się, towarzysząc najstarszym robotnikom fabrycznym. Ukłonił się pani Verniere i wyciągnął rękę do Filipa. Posępnie zaświeciły się źrenice młodzieńca przez chwilę, miał jednak tyle odwagi, że się uśmiechnął i dał sobie uścisnąć palce przez wspólnika ojczyma.

Daniel Savanne razem przybył z Henrykiem. Otoczono ich natychmiast, wypytując o szczegóły złowrogiej wiadomości, ogłoszonej w pismach. Sędzia odpowiedział, że śledztwo nie daje żadnego rezultatu, że musi się obawiać, iż prawda nie zostanie wykrytą.

Nareszcie dał się słyszeć turkot powozu, który zatrzymał się przed bramą i Robert wbiegł, okryty kurzem, ściskając ręce, ku niemu wyciągnięte, i prosząc o dziesięć minut dla zmiany ubrania. Ucałował żonę, uścisnął rękę Filipowi, który zbladł i znikł z willi.

Daniel Savanne i Henryk skierowali się ku naczelnemu lekarzowi kliniki, który zbliżył się do nich.

— Cóż się dzieje? zapytał go sędzia półgłosem.

— Wszystko jak najlepiej. Operacja udała się doskonale. Henryk zapewne panu powiedział.

Upłynęło dziesięć minut i Robert ukazał się już przebrany. Zbliżył się do Daniela.

— Drogi panie Savanne, rzekł doń, czytałem w Portsmouth w gazecie francuskiej o nowej zbrodni, spełnionej u pana w parku Saint-Maur. Biedna Weronika i jej

wnuczka porwane zostały z pańskiego domu. Czy to wszystko prawda?

— Niestety.

— Czy przynajmniej wykryto jakie poszlaki przeciw złoczyńcom?

— Nic...

Oznajmienie o podaniu śniadania, przerwało rozmowę.

Potrawy były wytworne, wino jaknajlepsze, biesiada odbywała się bardzo wesoło.

Robert rozmawiał z werwą i ochoczo, jak człowiek, którego myśli wolne są od wszelkich trosk.

Daniel liczył biesiadników. Wszyscy ci, którzy, znajdowali się u niego przed dwoma tygodniami, byli i tutaj!

Około godziny trzeciej, po kawie, zapalono cygara, wstano od stołu i goście Roberta rozproszyli się po krętych alejach i pod rozłożystemi drzewami ogrodu.

Bratobójca, zbliżywszy się do Klaudjusza Grivot, zamienił z nim szybko te kilka wyrazów:

— Czy wiesz o wszystkiem? Weronika i Marta...

— Poszły na lepszy świat, dla otrzymania nagrody za cnoty. Możemy więc teraz spać spokojnie.

Rozeszli się

Filip ani na chwilę nie tracił z oczu ojczyma. Zdaleka widział krótką jego rozmowę z majstrem.

— Dość mi powiedzieć słowo, pomyślał, a sąd schwyta tych dwóch nędzników! Cierpliwości! Trzeba unikać skandalu, przez wzgląd na matkę.

Wybiła godzina czwarta. Daniel Savanne pogrążony w głębokich rozmyślaniach, skierował się mimowiednie

do bramy willi. Wtem ocknął się, usłyszawszy przy sobie czyjś głos.

— Panie Savanne, mówił do niego ogrodnik pani Verniere, szedłem właśnie, ażeby panu oznajmić, że u mnie w izdebce jakiś pan pragnie się z panem sędzią natychmiast widzieć.

— Czy powiedział swe nazwisko?

— Tak, nazywa się Berthout.

Daniel drgnął. Berthout w willi Verniere. Po co tu przyszedł? Co się stało tak nagłego? Udał się niezwłocznie do mieszkania ogrodnika. Na jego widok, policjant wyszedł na próg i odezwał się półgłosem:

— Wyjdźmy ztąd. Opowiem wszystko.

Sędzia śledczy otworzył furtkę przy bramie i wyszedł z policjantem.

— Wracam od następcy Dutaca, antykwarjusza. W jednym ze starych regestrów, zapomnianych przez Dutaca, znalazłem nazwisko osoby, która kupiła brelok pozostawiony w ręku Weroniki Sollier przez mordercę pana Ryszarda Verniere.

— Jakże się ta osoba nazywa?

— Hrabia Henryk de Nayle.

— Mylisz się, wyrzekł Daniel drżąc cały.

Agent odpiął surdut i wyjął z kieszeni notes.

— Oto dosłowny tekst rachunku, zapisanego w regestrze, który zresztą jest do rozporządzenia pana sędziego.

I przeczytał: „23 stycznia 1859 r. sprzedano hrabie Henrykowi de Nayle staroświecki brelok roboty włoskiej, wyobrażający leżącego lwa, cyzelowanego ze srebra, trzymającego w szponach szmaragd, stanowiący

pieczątkę. Przesłano do hotelu przy ulicy Richelieu; dziesięć tysięcy franków."

Daniel Savanne miał czoło pokryte potem.

— Czy wiesz pan, kto jest ten hrabia Henryk de Nayle? zapytał.

— Nie, panie sędzio, należy on jednak do rodziny pana Filipa de Nayle, pasierba pana Roberta Verniere.

Sędzia śledczy był zgnębiony. Usiłował nic nie rozumieć. Nawet nie chciał podejrzewać. A jednak trzeba było wszystko rozświetlić.

— Czy masz pan kopię breloku? zapytał.

Berthout wyjął kopię i podał sędziemu.

— Potrzebuję oryginału, rzekł tenże. Ile czasu panu potrzeba, ażeby pojechać do mnie do parku Saint-Maur i powrócić tutaj?

— Przynajmniej cztery godziny.

Daniel spojrzał na zegarek.

— Teraz pół do piątej, rzekł. Będziesz pan mógł powrócić o dziewiątej i pół.

I w notesie policjanta napisał sędzia te słowa:

„Proszę okaziciela tego pisma wpuścić do mego gabinetu i pozwolić mu otworzyć biurko, od którego daję mu klucz. Daniel Savanne".

— Oto klucz, dodał. Brelok znajduje się w pierwszej szufladzie biurka z prawej strony.

Policjant oddalił się.

* *
*

Godzina ósma wybiła. Siedziano przy stole już od godziny. Jedzono niewiele, ale natomiast szampan miał wielu zwolenników. Orkiestra cygańska wygrywała naj-

nowsze utwory, oraz melodje narodowe, wśród których od czasu do czasu dawał się słyszeć walc, zachęcający młodzież do tańca. Dzięki szampanowi i dźwiękom orkiestry, wesołość i ożywienie panowały pod namiotem.

Trzy tylko osoby, Daniel Savanne, Henryk i Filip, nie podzielały tej wesołości. Siedzieli zamyśleni, ale wśród rozmów i wybuchów śmiechu, nikt nie zwracał uwagi na ich wymuszone postawy.

Nagle odezwały się zdaleka dźwięki katarynki. Daniel z synowcem spojrzeli po sobie. Robert Verniere, pochłonięty rozmową, nie słyszał nic. Klaudjusz Grivot drgnął. Muzyka katarynki nie podobała mu się, gdyż przypominała mu Weronikę Sollier, jego ofiarę, ale ten dreszcz nerwowy po chwili go ominął i już o tem nie myślał.

Henryk Savanne siedział na końcu stołu. W kilka chwil po zamienionem spojrzeniu ze stryjem, powstał, podniósł jednę z firanek namiotu i znikł, zapuściwszy ją za sobą.

W tejże chwili orkiestra cygańska grała jakiś taniec niezmiernie skoczny. Wesołość stawała się coraz hałaśliwszą i Robert Verniere, wydawał się najweselszym wśród wszystkich obecnych.

Nikt nie spostrzegł, że płótno namiotu, właśnie tam, którędy Henryk był wyszedł, rozchyliło się i że wśród firanek ukazała się czyjaś blada głowa.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk, a jednocześnie firanki podniesione opadły. Rozmowy ustały raptownie i każdy zwrócił się w stronę, zkąd rozległ się krzyk. Pani Verniere powstała z miejsca i skierowała się w

stronę namiotu, naprzeciw siedzącego męża. Wtem firanki rozchyliły się w tem miejscu i ukazał się Henryk Savanne. Blady był jak trup i jakby chwiał się na nogach.

— Czy to pan tak krzyknął? zapytała Aurelia.

— Tak, pani odrzekł. Źle stąpnąłem i noga mnie tak zabolała, że mimowoli krzyknąłem.

— Czy jeszcze pana boli?

— Trochę, ale to przejdzie.

I kulejąc bardzo wyraźnie, powrócił na poprzednie miejsce i usiadł.

Nikt nie mógł podejrzewać, że Henryk skłamał. Tylko Daniel Savanne zrozumiał i rzekł do siebie:

— Morderca został poznany!

. . . .

Obiad się skończył. Pani Verniere dała znak powstania od stołu i skierowała się do salonu, gdzie miał się odbyć koncert. Matylda, Alina, zaproszone damy i kilku mężczyzn podążyło za nią.

Inni pozostali w namiocie, paląc, rozmawiając i słuchając Roberta, którego werwa nie ustawała ani na chwilę. Filip nie tracił go z oczu, a chwilami dziwny blask świecił w źrenicach młodzieńca.

Daniel wstał, ażeby podążyć za bratankiem, który tylko co wyszedł. Spotkali się o dwa kroki od namiotu, tuż obok miejsca, o które w namiocie stał oparty Filip.

— Nie pytaj mnie, stryju o nic, odezwał się Henryk pocichu. Później dowiesz się o wszystkiem.

Chociaż Henryk mówił cicho, Filip za płótnem, które go zasłaniało, poznał jego głos. Nie poruszył się, tylko

pochylił głowę, ażeby lepiej słyszeć.

— Więc morderca Ryszarda Verniere? podchwycił pan Savanne, którego głos Filip również poznał.

— Jest tutaj. Wiem, kto on jest i stryj wkrótce się też dowie. Ale nie powinniśmy poprzestać na pierwszem doświadczeniu. Trzeba nam jeszcze innego, bardziej stanowczego, i będziemy je mieli tej jeszcze nocy. Unikajmy zbytecznego skandalu.

— A jeżeli ten człowiek nam się wymknie?

— Nie wymknie się. Ja nad nim czuwam.

— Może to doświadczenie rozstrzygające, którego pragniesz, ja uskutecznię jeszcze wcześniej, niż ty, rzekł pan Savanne. Nie oddalaj się ztąd, ażebym cię mógł znaleźć w każdej chwili.

I sędzia opuścił Henryka, który wrócił do namiotu i usiadł naprzeciw Roberta.

Filip słyszał wszystko. Morderca Ryszarda Verniera znajdował się w willi Neuilly wśród gości ojczyma! Poznano go! Ale któż to może być. Pilnowano go i chciano jeszcze odbyć doświadczenie poważniejsze. I nagle młodzieniec drgnął od stóp do głowy.

— A! ja go także znam, wyszeptał. Nie wiem jakiego doświadczenia spróbują, lecz ten człowiek nie ucieknie, bo i ja nad nim czuwam!

Sędzia śledczy, rozstawszy się z Henrykiem podążył do domku, zamieszkałego przez ogrodnika.

Berthout powróciwszy z parku Saint-Maur przed kwadransem, czekał na niego koło domku.

— Daj mi ten brelok, rzekł Daniel.

Agent potrząsł głową i odpowiedział:

— Ja nic panu nie przywiozłem. Nie znalazłem.

— Boś źle szukał! zawołał sędzia gniewnie.

— Wybaczy pan sędzia, German i ja, szukaliśmy dobrze. Przetrząsnęli wszystkie szuflady.

— Ha, to go skradziono, rzekł pan Savanne, bo nie mógł się zarzucić. Ale jak? Ale kto?

— Chyba nietrudno zgadnąć! Złodziejem jest ten, kto miał w tem interes, ażeby znikł!

— Berthout, zostaniesz tu u ogrodnika, podchwycił sędzia, może będę cię potrzebował.

Policjant udał się, według zlecenia, a Daniel powrócił do willi i poszukał panią Verniere. Znajdowała się w salonie, gdzie się odbywał koncert, w towarzystwie młodych kobiet.

Sędzia zbliżył się do tego towarzystwa.

Aurelia zobaczyła go i podeszła ku niemu.

Ojciec Matyldy był trochę blady. Twarz miał zasępioną. Pani Verniere to spostrzegła.

— Czy pan nie jest cierpiący, zapytała żywo.

— Bynajmniej, droga pani, ale pragnę z panią pomówić.

Pani Verniere na te słowa ujęła poufale Daniela pod rękę i rzekła:

— Może pójdziemy do ogrodu i będziemy rozmawiali chodząc?

— Droga pani Verniere, odpowiedział sędzia, mam z panią pomówić o rzeczy bardzo drażliwej i obawiałbym się niedyskretnych uszu.

Spojrzała na pana Savanne niespokojnie.

— Pan mnie przestrasza.

— Niech się pani nie lęka, ale gdzie moglibyśmy mówić tak, ażeby nas nikt nie słyszał?

— Pójdźmy do gabinetu męża.

Po chwili weszli do gabinetu, który oświetlała lampa stojąca na biurku.

— Cóż pan chce mi powiedzieć?

— Wszak mąż pani pierwszy nazywał się Henryk de Nayle?

— Tak, odrzekła Aurelia, a owładnęło nią nagle przeczucie nieszczęścia.

— Wszak pieczątka, której używał do pieczętowania listów nosiła dwie cyfry? pytał Daniel. Niech pani sobie przypomni. Czy na tej pieczątce nie były wyryte: H. N. ?.

Pani Verniere była coraz niespokojniejszą.

— Nie pamiętam, rzekła.

Pan Savanne, wyjąwszy z kieszeni kamizelki kopię breloka, pokazał go Aurelii i zapytał:

— Wszak pani powinna pamiętać klejnocik, który do niego należał?

Rzeczywiście, od pierwszego spojrzenia Aurelia poznała przedmiot, który jej pokazał sędzia. Jednakże, przeczuwając nieszczęście i nie wiedząc, co odpowiedzieć, patrzyła na Daniela z przerażeniem.

— Nie wiem, wyjąkała.

— A jednak ja jestem tego pewny.

— Na czem pan opiera swą pewność?

— Na rachunku handlarza. Dnia 23. stycznia 1859 roku klejnocik ten sprzedany został panu hrabiemu Henrykowi de Nayle przy ulicy Richelieugo.

— Dlaczego pan tak szuka nazwiska właściciela?

— Bo ten przedmiot oddany mi został przez Weronikę Sollier, która w walce z mordercą Ryszarda Verniere oderwała mu ten brelok od łańcuszka zegarka.

Teraz Aurelia zrozumiała. Światło straszliwe, światło oślepiające, zastąpiło raptownie ciemności! To ona dała klejnocik ten Robertowi. Więc jej pierwsze podejrzenia były usprawiedliwione. Człowiek, którego nazwisko nosiła teraz, był mordercą swego brata! Miałaż go zgubić! Czy też próbować go ocalić? Wszak badał ją sędzia śledczy. Gdyby się przyznała, że zna ten klejnocik, rusztowanie stawało dla jej męża i wstyd ze zbrodni potwornej padał na syna i na nią. Trzeba tego było uniknąć za jakąbądź cenę. Aurelia, podtrzymywana miłością macierzyńską, powściągnęła przestrach i z odzyskanym nagle spokojem odparła:

— Ja nigdy nie widziałam tego breloka u hrabiego Henryka de Nayle, zapewne należał do niego przed naszem małżeństwem, lecz albo się go pozbył, albo mu go skradziono, i gdybym go kiedy widziała, niezawodnie byłabym go poznała. I dodała, zwracając brelok sędziemu. Zatem, kochany panie Savanne, trzeba poszukać innego śladu.

— Udam się do tego, który mi go skradł.

— Skradł? powtórzyła Aurelia drżąc.

— Tak, skradł oryginał, bo to jest tylko kopia. Oryginał skradziono mi z szuflady biurka.

— I kogoż pan o to oskarżasz?

— Kogo logika oskarża, odparł Daniel, powstając. Wybaczy mi droga pani, że ją zaniepokoiłem. Czy mogę

panią odprowadzić do salonu?..

— Nie. Mam jeszcze wydać różne rozkazy przyjdę za kilka chwil.

Daniel odszedł, mówiąc do siebie: Ona skłamała!

Pani Verniere, pozostawszy sama, padła na krzesło. W głowie się jej mąciło, bliską była obłędu. Ale zapanowała nad sobą, wstała, z oczyma błyszczącemi od gniewu, i zadzwoniła.

Lokaj Roberta wszedł prawie natychmiast.

— Pan Verniere jest w ogrodzie lub w salonie, rzekła, powiedz mu, żeby natychmiast przyszedł do mnie w bardzo pilnym interesie.

. . . .

Klaudjusz Grivot, spacerując po ogrodzie ze starym Szymonem, zbliżył się przypadkowo do domku ogrodnika i mimowolnie zajrzał przez okno do izdebki. Ku wielkiemu zdziwieniu, zobaczył tam Berthouta, inspektora policji. Przestrach go zdjął.

— Ho! ho! tu jest jakieś niebezpieczeństwo, szepnął, przejęty podejrzeniem a rzaczej przeczuciem.

Oddalił się od Szymona, poszedł do przedsionka, i wziąwszy paletot, wyszedł pośpiesznie.

. . . .

Gdy lokaj oznajmił Robertowi, że go żona prosi niezwłocznie, przeprosił gości i wyszedł z namiotu.

Za nim też wyszli: Filip i Henryk. Młody doktor udał się w stronę pawilonu w ogrodzie; Filip zbliżył się do młodzieńca.

— Mój drogi Henryku, odezwał się gorączkowo, dążymy dziś do tego samego celu. I ja także jak pan cze-

kałem chwili, kiedy będziemy mogli zdemaskować mordercę Ryszarda Verniere. Ja wiem o wszystkiem! mówił Filip. Doświadczenie stanowcze wykonamy w gabinecie mego ojczyma. Niech pan idzie po Alinę i Matyldę i wejdzie z niemi do pokoju, obok gabinetu pana Verniere. Ja poszukam pana Savanne.

I skierował się do willi.

. . . .

Z uśmiechem na ustach wszedł Robert do swego gabinetu i zbliżył się do żony.

— Cóż to tak pilnego, moja droga przyjaciółko, że mnie zmuszasz opuścić gości?

— Długo cię nie zatrzymam. Chcę cię tylko zapytać: Co się stało z brelokiem pieczątką, który ci dałam z zegarkiem i łańcuszkiem, wkrótce po ślubie?

Pomimo niezwykłej przytomności umysłu, Robert zgiął się pod tak niespodziewanym ciosem.

— Dlaczego mnie o to pytasz? zapytał głosem, pomimo całej odwagi nieco drżącym.

— W twoim własnym interesie. Nie nosisz już tego breloku.

— Nie. Kółeczko, na którym się trzymał, już się zużyło, i musiałem brelok odłożyć, ażeby go nie zgubić, coby mi było bardzo przykro, gdyż pochodził od ciebie. Ale dlaczego mnie o to zapytujesz w chwili tak mało stosownej.

— Powtarzam, że w twoim własnym interesie.

— A ja powtarzam, że nie rozumiem! Ten brelok w niczem nie może dotyczyć moich interesów.

— A gdyby on się znalazł w nocy 1-go stycznia w

ręku Weroniki Sollier?

Robert zbladł.

— W ręku niewidomej, dziś nieżyjącej! zawołał, wzruszając ramionami. Co to za bajka?

— Niestety, to nie bajka! Prawdą jest najzupełniejszą, że Weronika Sollier, walcząc z mordercą twego brata, wyrwała mu ten brelok. I czy wiesz, jaki ztąd można wyciągnąć wniosek?

— Nie!

— Że jesteś mordercą, którego na próżno szukają od pół roku? Czy pan wreszcie rozumiesz?

— Rozumiem, że to czyste szaleństwo, powtórzył Robert z akcentem tryumfu, i mogę tego dowieść.

— A to jak?

Robert wyjął z kieszeni klucz, otworzył szufladę biurka, wydobył pieczątkę i podał żonie, dodając:

— Widzisz więc, że jeżeli przestałem nosić ten brelok, to przynajmniej nie rozstawałem się z nim...

— A złodzieju!.. złodzieju i morderco! zawołała pani Verniere, przestając panować nad sobą.

— Pani... pani... strzeż się! rzekł nędznik, głosem głuchym i świszczącym, zbliżając się w postawie groźnej do nieszczęśliwej kobiety.

Pomimo jednak tej postawy, pomimo wściekłości, błyszczącej w oczach tego człowieka, którego uznawała za gotowego na wszystko, Aurelia ciągnęła dalej:

— Ta pieczątka stanowiła dowód gubiący ciebie! Ukradłeś ją w parku Saint-Maur, tego dnia, kiedy znalazłeś się sam w gabinecie pana Savanne, pod pozorem napisania listu! Weronika Sollier i jej wnuczka były

groźbą dla ciebie i zabiłeś je! Kłamstwami i obłudą potrafiłeś odwrócić podejrzenia moje w Berlinie. Dziś już mnie nie oszukasz i dość będzie jednego słowa, ażeby sąd cię pochwycił i zaprowadził na rusztowanie, które na ciebie czeka!

— Tego słowa ty nie powiesz, wyrzekł Robert, rzucając się na Aurelję i chwytając ją za ręce, które ścisnął, ledwie nie druzgocząc.

— Powiem.

— Nie, jeżeli nie chcesz, azeby twój syn nie został zhańbiony jak ja!

— A w czem hańba Roberta Verniere mogłaby dosięgnąć Filipa de Nayle?

— Filip jest solidarnie odpowiedzialny za mą zbrodnię! Jest moim wspólnikiem.

— Kłamiesz! nie wierzę ci!

— A ja ci powtarzam, że on jest moim wspólnikiem! Jeżeli powiesz jedno słowo gubiące mnie, ja go z sobą zgubię. Możesz ocalić nas obu, mówiąc sędziemu, że nie widziałaś nigdy tego breloka!

— Nigdy!

— Dobrze! W takim razie sąd przysięgłych sądzić będzie Filipa de Nayle o zdradę Francji.

— Filip miałby zdradzić swoją ojczyznę!

— Jako wspólnik Roberta Verniere. Wszystkie plany, sprzedane Prusom, były przez niego zrobione! objaśnienia ręką jego napisane! Widzisz więc, że będziesz musiała milczeć!

Aurelja nie zdążyła odpowiedzieć.

W tejże chwili drzwi od przedsionka otworzyły się

nagle i na progu ukazała się Weronika Sollier.

— A czy i mnie zmusisz pan do milczenia? zawołała.

Na te słowa odpowiedziały dwa okrzyki zgrozy, wydane przez bratobójcę i Aurelję. Oboje cofnęli się, przerażeni ukazaniem się kobiety, którą uważali za nieżyjącą. Robert nieprzytomny wyjąkał:

— Weronika Sollier! Żywa! Zkąd przychodzi? Czego chce? Kto ją przyprowadził tutaj?

— Wola wymierzenia sprawiedliwości na mordercach Ryszarda Verniere! odparła Weronika, podchodząc ku niemu.

— Ta kobieta jest warjatką!

— Warjatką nie jestem, i poznałam pana dobrze.

— Ażeby poznać, trzeba widzieć, a ty jesteś ślepą!

— Ślepą! powtórzyła babka Marty, zbliżając się ciągle. Na to pan liczyłeś. Dlatego, że byłam ślepą i że mogłam nią już nie być, chciałeś mnie pan zamordować! Ślepa! Nie, ja nią już nie jestem! Ja pana widzę tak, jak widziałam w noc pożaru fabryki w Saint-Ouen. Widzę pana bladego, drżącego, z oczyma błędnemi! A tu na pańskiem ubraniu czy ta plama czerwona, którą widzę, to krew brata pańskiego? Nie, to wstążka, godło honorowe, które pan bezcześcisz i które ja z pana zdzieram.

To mówiąc, pani Sollier, łącząc czyn ze słowem, zdarła wstążeczkę czerwoną z surduta Roberta i, skrzyżowawszy ręce, dodała:

— Czy powiesz jeszcze, że jestem ślepą?

Bratobójca wydał okrzyk wściekłości, wziąwszy z biurka nóż ze stali damasceńskiej do rozcinania pa-

pieru, zamierzył się na oskarżycielkę, która ani się nie poruszyła dla uniknięcia ciosu. Ale pani Verniere rzuciła się, zasłaniając ją sobą.

— Zanim ją uderzysz, mnie zabijesz! wyrzekła.

Przez drzwi w głębi nowa osoba niespodziewana wbiegła, wołając:

— Nie bój się, pani, on nikogo nie zabije! Ja tu jestem!

Był to Magloire, a za nim biegła Marta.

Jedyną ręką dzielny mańkut schwycił Roberta za ramię i rozbroił go, podczas gdy Marta, przybiegłszy do Weroniki, objęła ją rączkami i szeptała.

— Nie bój się, babciu, my tu jesteśmy! Nasz przyjaciel Magloire czuwa nad tobą.

Teraz się otworzyły drzwi boczne od gabinetu.

Z lewej strony wszedł Henryk wraz z Aliną i Matyldą. Z prawej Daniel Savanne i Filip de Nayle.

Robert cofnął się, chwiejąc. Nogi się pod nim uginały. Czuł, że jest zgubiony.

Filip się zbliżył.

— Doświadczenie już nastąpiło, rzekł Filip zbliżając się i zwracając się do sędziego i jego bratanka, i udało się zupełnie. Słyszeliście, co powiedział ten człowiek, tu wskazał na Roberta, słyszeliście, jak przed chwilą przyznał się mej matce do zbrodni, mordercą Ryszarda Verniere jest on!

Zbrodniarz, odzyskując nieco siły, miał odwagą wykrzyknąć:

— Kłamstwo!

— To prawda, zawołała Weronika. Ja z panem wal-

czyłam w nocy pożaru w chwili, gdy brat pański, zabity przez pana, padł u nóg pańskich. Ja z pana zerwałam ten klejnot, który pana oskarża! Potem, zwracając się do Aliny, mówiła dalej: Ten człowiek, zabił ojca pani! On podpalił fabrykę. Ja żądam sprawiedliwości i zemsty.

— Bratobójca! wyjąkała Alina oszołomiona.

— Bratobójca, złodziej i podpalacz! krzyknął Magloire.

— A ten bratobójca jest jeszcze i szpiegiem, wyrzekł Filip. O! nie znacie go jeszcze zupełnie. Wykonał i sprzedał Francji skuteczne uzbrojenia, a gdy dostał pieniądze, gdy go nagrodzono i w sposób honorowy za jego rzekomy patrjotyzm, sprzedał i wydał te same plany, te same modele Niemcom i wziął za to pieniądze. Człowiek ten jest zdrajcą, i to nie od wczoraj! Oddawna już, lata całe. Ten list tego dowodzi, panie sędzio śledczy, ten list adresowany do ambasadora niemieckiego, o którego odcyfrowanie pan mnie prosił. Młodzieniec oddał list Danielowi i ciągnął dalej: Na szczęście, wykryłem, że ten nikczemnik, sprzedał kraj nasz wrogowi. Fortelem potrafiłem odebrać agentowi niemieckiemu, co mu wydał za złoto! Plany, modele, wyliczenia, wszystko to wróciło do mych rąk! To wyrzutek, najpodlejszy z ludzi.

Bratobójca wydał okrzyk dzikiego zwierzęcia i jak jaguar chciał się rzucić na pasierba. Lecz Filip, cofając się o krok, wyjął z kieszeni nabity rewolwer i wymierzył w niego, mówiąc:

— Ani kroku! bo strzelę!

Aurelja krzyknęła ze zgrozy.

— W imię nieba, Filipie! oszczędź go! Bez krwi! Nie bądź ojcobójcą!

— Ojcobójcą! powtórzył młodzieniec z wyrazem pogardy. Zapominasz, moja matko, że ja się nazywam Filip de Nayle! Ten człowiek, dzięki Bogu, nie jest moim ojcem. Nie lękaj się, matko, ja nie wykonam wyroku śmierci na tym szpiegu, na tym mordercy, ale spodziewam się, że będzie miał tyle odwagi, iż to sam uczyni. No, panie, ciągnął dalej syn Aurelji, podając swój rewolwer Robertowi, uniknij sądu i placu kaźni! Oszczędź wstydu mej matce! Zabij się.

— O! Filipie... Filipie, wyjąkała pani Verniere, wyciągając ręce ku synowi.

— Czybyś wolała, matko, nosić żałobę po gilotynowanym? odpowiedz. Następnie zwracając się do Roberta: Zabij się! Przez cześć dla pamięci twego brata, zamordowanego przez ciebie, nie wlecz jego nazwiska na rusztowanie.

— Nie... nie... wyjąkał bratobójca, a zęby szczękały mu ze strachu.

— W takim razie, panie sędzio śledczy, ja wydaję panu tego człowieka. Zawołaj pan swych agentów.

— A niech się dzieje sprawiedliwość! poparła Weronika.

— Do sądu ze szpiegiem! na gilotynę z hultajem! zawołał Magloire.

Pani Verniere, oszalała z rozpaczy i przestrachu, padła na kolana i błagalnie wyjąkała:

— Łaski! Łaski! Bez sędziów... nie wydawajcie go sędziom... nie posyłajcie go na rusztowanie... Łaski dla

mnie, jeżeli nie dla niego... Weroniko, przebacz mu... Alino, przebacz mu.

Ci, do których się zwracała, odwrócili głowy. Aurelja powstała, drżąca, i podeszła do męża.

— Ponieważ nie możesz się spodziewać przebaczenia, zabij się więc, wyrzekła.

Obłok krwawy przesłonił oczy Roberta. Wyciągnął rękę do Filipa.

— Dawaj! wyrzekł głucho.

I pochwycił rewolwer, cofnął się o krok, wziął na cel pasierba, nacisnął cyngiel, strzelił.

Potem zwrócił broń ku sobie, roztrzaskał sobie głowę i runął na dywan.

Dwa strzały nastąpiły tak prędko po sobie, że jakby tworzyły jeden.

Filip stał.

Kula, która go miała zabić, na dwa palce przeleciała od czoła i strzaskała lustro przy ścianie.

Kobiety krzyknęły z przerażenia i padły na kolana.

Pani Verniere straciła przytomność.

— Sprawiedliwości stało się zadość! wyrzekła Weronika tryumfująco.

Marta drżąca ujęła babkę za rękę.

— Umarł, babciu, szepnęła jej do ucha. Niech mu Bóg przebaczy. Pomódlmy się za niego.

W tejże chwili kilku gości weszło do gabinetu, zwabieni odgłosem strzałów.

Filip zapanował nad sobą.

Młodzieniec z twarzą zmienioną pod wpływem wzruszenia, do zrozumienia łatwego, podszedł do ciekawych.

— Panowie, rzekł do nich, zabawa, rozpoczęta tak wesoło, skończyła się w sposób bardzo smutny. Pan Verniere umarł!

— Umarł!.. powtórzono ze zdumieniem.

— Odebrał sobie życie. Biedna moja matka, jak panowie widzicie, straciła przytomność. Wybaczycie mi, panowie, że nie będę się dłużej rozwodził nad tą katastrofą i nad potrzebą pozostania w samotności.

Po chwili wszyscy goście dowiedzieli się o tej złowrogiej nowinie i opuścili willę przygnębieni.

Panią Verniere zaniesiono do jej pokoju i położono na łóżku, wciąż omdlałą. Przy niej czuwały Weronika i Marta, Alina i Matylda.

Daniel, Filip, Henryk, Magloire i agent Berthout, którego sędzia śledczy wezwał, przeszli do pokoju przyległego do gabinetu, gdzie nastąpiło samobójstwo.

Sędzia przeczytał uważnie dokonane przez Filipa tłomaczenie listu cyfrowanego.

— Drogie moje dziecko, rzekł do syna Aurelji, gdy skończył. Ojczym twój miał wspólników, wiedzieliśmy już o tem, aleśmy ich nie znali. Teraz znamy ich, dzięki temu listowi. Spólnikami tymi są: magnetyzer O'Brien i Klaudjusz Grivot. O'Brien jest teraz niezawodnie zagranicą, a więc nic nie możemy uczynić mu. Ale mamy i powinniśmy pochwycić Klaudjusza Grivot.

— To on strzelił do pani Sollier, jestem tego tak pewny, jak gdybym go widział! zawołał Magloire. A! łotr! Niech go uwiężą!..

— Drogi panie Savanne, rzekł Filip zastanów się dobrze. Aresztowanie Grivota, stawienie jego przed są-

dem przysięgłych, to błoto, obryzgujące nazwisko, które nosi moja matka, przecież Grivot może być ścigany tylko jako wspólnik Roberta Verniere. To okropny rozgłos, potworny skandal, które powinnyby zagaszone być krwią nieszczęśliwego, co sobie wymierzył sprawiedliwość. Biedna moja matka tego nie przeżyje. I po cóż wszczynać ten skandal?

— Mój stryju, wtrącił Henryk Savanne, ja się w tej prośbie przyłączam do Filipa. Główny winowajca już nie istnieje. Ryszard Verniere został pomszczony. Miej litość nad Aliną. Oszczędź im męczarni głośnego procesu, niech nie będzie wiadomem, że noszą nazwisko takie same jak podły szpieg, nikczemny bratobójca.

— Główny winowajca nie istnieje już, rzekł Daniel, ale ja nie mam prawa pozostawić spólnika bezkarnie. Nie obiecuję wam nic, prócz zareferowania o tem prokuratorowi i, w razie potrzeby, odwołania się do władzy jeszcze wyższej.

Magloire szepnął tak, że go nikt nie mógł słyszeć:

— Odwołuj się, do kogo chcesz, zacny panie Savanne, ja odwołam się tylko do siebie, i sam się załatwię z łotrem.

*
* *

Widzieliśmy, jak Klaudjusz Grivot, przestraszony obecnością agenta Berthout w domku ogrodnika, opuścił pośpiesznie willę Neuilly, przed rozegraniem się strasznego dramatu, który zakończył bal. O dramacie tym dowiedział się nazajutrz zrana w Saint-Ouen, i dowiedział się jednocześnie, że Weronika żyje i że nie jest już ślepą. Zdjęty przestrachem szalonym chciałby

był jak najprędzej uciec, zniknąć. Ale go zatrzymało zastanowienie.

Jeżeli Robert Verniere się zabił, to z pewnością dlatego, że go poznała Weronika i że mu nie pozostawała żadna droga ocalenia, lecz on miał tysiąc szans, że w chwili przerażenia i zgnębienia przed samobójstwem, nie wymienił go jako spólnika. Ponieważ zaś Weronika go nie widziała, nie mogła go więc oskarżyć, a zatem nie istniał przeciw niemu żaden dowód. Uciekać w takich warunkach, byłoby to oskarżyć samego siebie, przyznać się do winy, a w takim razie, policja, puściwszy się za nim w pogoń, prędzej czy później potrafiłaby go odnaleźć.

Pozostał więc, a z zachowania się względem niego upewnił się, że nikt ani nie myślał go podejrzewać.

Tak więc wszystko szło dobrze, tylko tracił swój udział w skradzionych 550,000 franków. Tak jak magnetyzer O'Brien i on pracował za darmo.

Upłynęły cztery dni.

Komisarz policji z Neuilly spisał protokół z samobójstwa, które przypisano nagłemu obłędowi.

Pogrzeb Roberta odbył się przy udziale licznym robotników fabryki, która odtąd miała nosić firmę: Filip de Nayle i S-ka.

Piątego dnia o godzinie jedenastej zrana Magloire przybył do sądu, prosząc, ażeby mógł się zobaczyć z sędzią śledczym.

Zacny mańkut miał rękę lewą, jedyną rękę, na temblaku. Po chwili wpuszczony został do gabinetu Daniela Savanne.

— I cóż, mój dzielny Magloire, zagadnął tenże, czy masz mi powiedzieć coś nowego i ważnego.

— Tak, panie Savanne.

— W jakim przedmiocie?

— W przedmiocie Klaudjusza Grivot.

— Ja się nim zająłem.

— I ja także, i przyrzekam panu, że odtąd nie będzie pan miał z nim wcale kłopotu.

— Jakto?

— Zabiłem go wczoraj między godziną szóstą i pół a siódmą.

Daniel zerwał się z miejsca.

— Zabiłeś go, nieszczęśliwy, zawołał, i przychodzisz mi to oświadczyć! Morderstwo!

— Morderstwo! powtórzył Magloire. Ja dawny żołnierz marynarki! Spodziewam się, że pan sędzia nie uważa mnie za zdolnego. Zabiłem go, ale w sposób uczciwy.

— Wytłomacz się.

— Po to umyślnie przyszedłem. Oto cała historja. Ja miałem już moją myśl, od czasu tej całej awantury w Neuilly i pilnowałem łotra. Wczoraj wieczorem, po zamknięciu fabryki, widziałem, jak przed obiadem wybrał się na przechadzkę po wybrzeżu Sekwany, Zapewne dla nabrania apetytu. Wsunąłem do kieszeni dwa rewolwery i poszedłem za nim. Dognałem go w kąciku ustronnym, bardzo ładnym, jakby umyślnie na to przeznaczonym, on się odwraca. Dzień dobry, panie Magloire! Dzień dobry, panie Grivot. Pan tak spacerem, panie Magloire. Nie, ja pana szukam, panie Grivot.

A czy pan ma do mnie jaki interes? Mam pana o coś zapytać, panie Grivot. A o co, panie Magloire? A o to: Co pan zrobił z rewolwerem, który panu posłużył do zabicia na wpół Weroniki? Nie mogłeś go pan przecież sprzedać Prusom, ponieważ nie był nowego modelu, wynalezionego przez nieboszczyka zbrodniarza, twego wspólnika, Roberta Verniere. Grivot zbladł jak płótno. Wiesz pan, że mnie znieważasz! zawołał. Na co ja odpowiedziałem: Czy można znieważać hultaja takiego rodzaju? Czy można znieważać wściekłego psa? Kiedy się go spotyka, to go się zabija. Jednocześnie wyjąłem z kieszeni rewolwery. Wtedy Grivot głosem drżącym zapytał mnie: Czy chcesz mnie pan zamordować? Ja cię nie chcę zamordować, ponieważ nie jestem ani mordercą, ani zbrodniarzem, ani podpalaczem, jak ty. Ja ci wyświadczę wielki zaszczyt, że będziesz się bił ze mną, tak jak gdybyś był uczciwym człowiekiem. Weź ten rewolwer, ja mam drugi, policzymy dwadzieścia kroków i palniemy do siebie. On wziął broń, ja wyciągnąłem drugi rewolwer i cofnąłem się, ale nie odwracając się tyłem do łotra. Ostrożność! byłby mnie pewnie zastrzelił z tyłu. O dwadzieścia kroków zatrzymałem się. Raz! dwa! trzy! Pal! Strzelił jednocześnie ze mną. Zręczny był ptaszek. Kula jego przeszyła mi mięśnie w ramieniu, podczas gdy moja przebiła mu skroń. Taka sama rana, jaką zadał Weronice. Padł trupem na miejscu. Podniosłem rewolwer, pchnąłem nogą ciało bandyty do Sekwany, gdzie go ryby jedzą, i tyle.

— Magloire! rzekł Daniel Savanne. Chodź ze mną do prokuratora i opowiedz mu, coś mi opowiedział.

Prokurator wysłuchał, i kiedy Magloire skończył, wypowiedział swą opinię:

— Pojedynek bez świadków, jest to czyn przestępny, to pewne, ale zachodzą okoliczności niezmiernie łagodzące. Sprawie nie nada się biegu.

ZAKOŃCZENIE

Upłynął rok.

Oto główne wypadki, zaszłe w ciągu tych dwunastu miesięcy.

Minister wojny, zawiadomiony przez Daniela Savanne o postępku Filipa de Nayle, o wydarciu agentowi niemieckiemu planów, modeli i wyliczeń, sprzedanych przez nikczemnego ojczyma, wyjednał dla młodzieńca krzyż legii honorowej.

Zasłużył na to zupełnie.

Poszukiwania drobiazgowe, zarządzone w willi Neuilly, dla przekonania się, czy niema jakich podejrzanych przedmiotów, pochodzących od Roberta, wykryły w głębi skrytki, starannie zasłoniętej meblem, torbę podróżną bratobójcy.

Torba ta zawierała około 900,000 franków, to jest 550,000 franków, skradzionych z kasy Ryszarda Verniere w nocy 1-go stycznia i 300,000 franków „Depozytu Gabrjela Savanne".

Majątek Marty został odnaleziony.

Tajemnica kapitana przestała być tajemnicą dla

wszystkich. Henryk powiedział:

— To moja siostra! Kochajcie ją, jak mnie kochacie!

Marta i Weronika zamieszkały u Daniela Savanne przy Henryku i Matyldzie.

Dom bankierski Rotszylda zawiadomił panią Verniere, że ma u siebie złożone kilka milionów na imię nieboszczyka Roberta Verniere, skutkiem czego fundusz ten stanowił po nim spadek.

Pochodzenie tych pieniędzy nie było wątpliwém. Była to zapłata za zdradę.

Aurelia podniosła te miliony, pochodzące z Niemiec i przelała je do kasy „Stowarzyszenia kobiet francuskich dla niesienia pomocy rannym podczas wojny". Tak te pieniądze będą oczyszczone.

O'Brien, opuszczony przez pannę Mariani, wałęsał się po Europie, prowadząc żywot awanturniczy i przykry.

Prędzej czy później i jego dosięgnie sprawiedliwość.

Dnia 16. czerwca 1895 roku odbyły się dwa śluby w starym kościele w Saint-Ouen: Filipa de Nayle z Matyldą Savanne i Henryka z Aliną Verniere. Dwie pary ładne i kochające się szczerze...

Nie zdziwimy nikogo, twierdząc, że uczta weselna odbyła się w restauracji, nad brzegiem Sekwany pod szyldem: „Pod Kataryneką". Dawniej Aubin. Magloire. Następca.

Gdy Weronika zobaczyła to dawne mieszkanie, serce jej zabiło bardzo mocno, a Marta rozpłakała się z rozrzewnienia.

Droga Marcia jest bogata, kochana, szczęśliwa i

wychowywa się na pannę wykształconą; z lepszego towarzystwa.

I dziecko, może nawet niechcący, przypomina sobie nieraz, często z westchnieniem żalu, te dalekie wędrówki za rogatką, kiedy ciągnęła katarynkę dzielnego Magloira i sprzedawała kabały.

I usta jej nucą, prawie bezwiednie, ten walczyk, którego ją nauczył:

„Cieszcie się, chłopcy dziewczęta
Wesoło zatańczcie już,
W gaju śpiewają ptaszęta,
Nadszedł czas wisien i róż".

KONIEC.

